

Graham Joyce

REQUIEM

Przełożyła
Martyna Plisenko

SOLARIS

Stawiguda 2010



Requiem

tyt. oryginału: *Requiem*

Copyright © 2008 by Graham Joyce

All Rights Reserved

ISBN 978-83-7590-034-7

Projekt i opracowanie graficzne okładki

Jacek Wiśniewski

Redakcja *Ewa Umińska-Plisenko*

Korekta *Bogdan Szyma*

Skład *Tadeusz Meszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11 -034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax 089 541 31 17

e-mail: agencja@solarisnet.pl

sprzedaż wysyłkowa:

www.solarisnet.pl

ŚMIERĆ NIE ZAWSZE OZNACZA KONIEC

Dla Sue, która powiedziała „Zobaczmy, co jest tutaj!”.

Akrotiri, Korynt, 11 października 1988. Około 4 nad ranem.

Spis treści

<u>1.....</u>	<u>6</u>
<u>2.....</u>	<u>12</u>
<u>3.....</u>	<u>15</u>
<u>4.....</u>	<u>19</u>
<u>5.....</u>	<u>25</u>
<u>6.....</u>	<u>26</u>
<u>7.....</u>	<u>31</u>
<u>8.....</u>	<u>32</u>
<u>9.....</u>	<u>37</u>
<u>10.....</u>	<u>38</u>
<u>11.....</u>	<u>43</u>
<u>12.....</u>	<u>47</u>
<u>13.....</u>	<u>52</u>
<u>14.....</u>	<u>55</u>
<u>15.....</u>	<u>58</u>
<u>16.....</u>	<u>59</u>
<u>17.....</u>	<u>63</u>
<u>18.....</u>	<u>68</u>
<u>19.....</u>	<u>70</u>
<u>20.....</u>	<u>72</u>
<u>21.....</u>	<u>79</u>
<u>22.....</u>	<u>83</u>
<u>23.....</u>	<u>87</u>
<u>24.....</u>	<u>89</u>

<u>25.....</u>	<u>94</u>
<u>26.....</u>	<u>95</u>
<u>27.....</u>	<u>101</u>
<u>28.....</u>	<u>102</u>
<u>29.....</u>	<u>104</u>
<u>30.....</u>	<u>107</u>
<u>31.....</u>	<u>113</u>
<u>32.....</u>	<u>126</u>
<u>33.....</u>	<u>127</u>
<u>34.....</u>	<u>131</u>
<u>35.....</u>	<u>134</u>
<u>36.....</u>	<u>137</u>
<u>37.....</u>	<u>139</u>
<u>38.....</u>	<u>145</u>
<u>39.....</u>	<u>149</u>
<u>40.....</u>	<u>158</u>
<u>41.....</u>	<u>164</u>
<u>42.....</u>	<u>168</u>
<u>43.....</u>	<u>169</u>
<u>44.....</u>	<u>175</u>
<u>45.....</u>	<u>181</u>
<u>46.....</u>	<u>187</u>
<u>47.....</u>	<u>190</u>
<u>48.....</u>	<u>195</u>
<u>49.....</u>	<u>199</u>

<u>50</u>	<u>203</u>
<u>51</u>	<u>209</u>
<u>52</u>	<u>211</u>
<u>53</u>	<u>215</u>
<u>54</u>	<u>220</u>
<u>55</u>	<u>235</u>

To był dla Toma przełomowy rok. Przyjęcie zorganizowane na zakończenie semestru, wymykało się spod kontroli. Zapas alkoholu coraz bardziej się kurczył, toteż Tom, zanim poczłapał do toalety, schował szklankę z piwem pod fotel. Wrócił z niemałym trudem i stwierdził, że pomieszczenie pełne jest ludzi pogrążonych w tanecznym transie. Musiał opaść na czworaki, aby wydobyć ukryte pod fotelem piwo. Jednak zamiast szklanki, wyciągniętą dłonią namacał nieruchomą i całkiem kształną kostkę czyjejś nogi.

Kostka łączyła się z równie kształną łydką. Obleczone w gładki nylon elektryzujący się pod dotykiem palców, przechodziła w najbardziej oszałamiające udo, jakie w życiu widział. Dziesięć minut później nadal trzymał tę kostkę i próbował inteligentnie zagadać do jej właścicielki, która tymczasem całkowicie go ignorowała.

- Skoro nie masz zamiaru odczepić się od mojej stopy - powiedziała wreszcie Katie - to lepiej się przedstawię.

Chociaż był pijany - co nie zdarzało mu się często - od chwili, kiedy zdołał przenieść wzrok z kostki na udo, a potem na zaplecione w warkocz blond włosy o miodowym odcieniu, Tom wiedział, że *to jest to*. W owym czasie Tom mocno wierzył w *to jest to*.

Jednak Katie bynajmniej nie myślała, że *to jest to*. Myślała wówczas tylko tyle, że jakiś pijak trzyma ją za nogę. Przez pierwszych kilka minut starała się zignorować uścisk na kostce w

nadziei, że zniknie. Ale nie zniknął. Z uniesioną wysoko brwią zaczęła więc słuchać, jak Tom niezdarnie próbuje nawiązać konwersację. Wydawało się, że nagle, w tajemniczy sposób wytrzeźwiał. W końcu zdołał ją nawet przekonać, aby podała mu numer swojego telefonu. Podczas następnych kilku miesięcy Katie zaczęła myśleć, że *tak, to może być to*. Po roku od pierwszego spotkania byli małżeństwem.

Trzydzieści lat temu.

Przez pierwsze dwa lata, Tom - metaforycznie - nie puścił jej kostki. Nie mógł uwierzyć, że ta piękna, gorąca kobieta wkroczyła w jego życie; od czasu do czasu spoglądał w niebo szukając miejsca, z którego mogła spaść. W owym czasie był bardzo zaborczy, każdego samca w okolicy podejrzewał, że chce mu ją odbić.

Zaborczość Toma odpowiadała potrzebom Katie. Bez trudu przyjmowała jego oddanie, a choć inni ludzie mogliby się poczuć zmęczeni taką obsesyjną uwagą, Katie w najmniejszym stopniu to nie przeszkadzało. Rozkwitała w intymności wykluczającej wszystko i wszystkich. Jego miłość niczym ambrozja sprawiła, że stała się jeszcze piękniejsza, bardziej świetlista i pewna siebie.

Katie pracowała w małej firmie jako konsultantka do spraw marketingu. W porównaniu z zawodowym światem Toma jej świat wydawał się dynamiczny i twardy. Oczywiście w najmniejszym nawet stopniu Katie taka nie była. Wkrótce Tom zaczął zdawać sobie sprawę z tych elementów jej życia, które ukształtowały jej kondycję: z mrocznych, śliskich sekretów, tkwiących w głębokich, wilgotnych

studniach jej dzieciństwa, przyczajonych, nienasyconych, domagających się większych porcji miłości, niż te, które mógł im dać.

Największym błędem, jaki popełnił w czasie trwania ich związku było to, że nie pomógł Katie w oswojeniu jej mrocznych tajemnic. Raz spróbował, ale opór był tak silny, że już nigdy nie ponowił próby. Owe tajemnice sprawiały, że trzymała się go z taką mocą, iż bał się, co mogłoby się stać, gdyby coś się między nimi zepsuło. W końcu uznał, że skoro osiągnęli równowagę, w której dawała mu miłość i brała ją w porównywalnych proporcjach, to po co ją naruszać?

Nie przewidywał, ani nie podejrzewał, że któregoś dnia nie podoła tej miłości. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia, ponieważ Katie nie żyła.

- Jeżeli powodem twojej decyzji - mówił Stokes - jeżeli powodem twojej decyzji są słowa nasmarowane kredą na tablicy...

Bez większego przekonania próbował go zatrzymać.

- Nie, nie o to chodzi - powiedział Tom.

- Zapewniam cię, sporo ich widziałem w swoim czasie. I już się nie pojawiają. Zapamiętaj moje słowa, nie pojawiają się od dawna.

Tom odpowiedział, wyglądając w zamyśleniu przez okno.

- Nie. Po prostu jestem gotów na zmianę.

Kończył się upalny czerwiec. Był to ostatni dzień letniego semestru w Dovelands. Absolwenci wyjechali, a boisko smagał deszcz uniemożliwiający jakiegokolwiek letnie imprezy zaplanowane przez pozostałe w szkole dzieciaki. Tom Webster posprzątał biurko i

poszedł do biura dyrektora. Na mokrym trawniku leżała samotna bomba z mąki, widział ją przez okno klasy. Leżała tam, moknąc na deszczu, mały niewypał zepsutej zabawy.

Po ostatnim zebraniu, kiedy uczniowie w szkolnej kaplicy bardzo głośno i bardzo fałszywie śpiewali „Jeruzalem” na zakończenie mszy, Tom pożegnał się i szybko wyszedł z pokoju nauczycielskiego. Nie mógł znieść przedwakacyjnej gorączki; sposobu, w jaki koledzy w obliczu urlopu robili się dla siebie mili; sposobu, w jaki oddychali z ulgą, a skończony semestr ześlizgiwał im się z pleców jak ciężki plecak. Odświętna atmosfera naznaczona była zaskakującym smutkiem, perspektywą rychłej nieobecności kolegów, którzy zazwyczaj byli raczej źródłem nudy niż zadowolenia. Tom nie mógł tego wytrzymać.

- Co będziesz robił? - pytali ze współczującym błyskiem w oczach. Wszyscy sądzili, że ma to coś wspólnego ze śmiercią Katie, o której nie mogli przestać rozmawiać. Zbył więc pytanie wzruszeniem ramion i uniesieniem brwi, co bynajmniej nie zaspokoilo ich ciekawości.

Zanim udał się do spartańskiego biura Stokesa, otworzył swoją dawną klasę, aby zabrać kilka osobistych drobiazgów. Zajrzał do szafki na tyłach pomieszczenia. Było tam parę taśm i slajdów, kilka książek, jakieś gazety. Zostawił wszystko swojemu następcy. Zaczął opróżniać szuflady biurka. Poniewierały się tam tylko skrawki papieru i album ze zdjęciami ze szkolnych wycieczek. Znalazł antologię

opowiadań science fiction - między jej kartkami tkwiła karteczka. Wyciągnął zakładkę. Widniał na niej napis: *Życie tak pędzi. Kup chleb i mleko, a będę Cię kochać, xxx*

Pismo Katie. Książka leżała tu prawie rok, z zakładką zrobioną z listy zakupów. Prawie rok, a te małe, bezładne widma ciągle kręciły się po szufladach, szafach, szafkach i pudełkach. Ludzie umierają i zostawiają za sobą drobinki, pył zaledwie, popiół, zaśmiecający życie tych, którzy muszą żyć dalej. Nie można ich po prostu posprzątać. Wspomnienia zaczepiły się o pajęczyny za szafami; chowały się za grzejnikami; czaiły się na półkach; jak odłamki stłuczonego kieliszka czekały, aby wbić się głęboko we wrażliwą, odsłoniętą skórę.

Jakoś radził sobie z bolesnymi wspomnieniami, ale wraz z nimi ciągle pojawiał się skurcz gardła, a pod powiekami zbierała się wilgoć. Sterczał w swojej klasie i miał w rękach widmową notatkę. Nagle uświadomił sobie, że w drzwiach ktoś stoi.

Była to jedna z jego uczennic, Kelly McGovern. Bogate matki zazwyczaj nadawały swoim dzieciom imiona sławnych Amerykanów; chłopcy mieli na imię Dean lub Wayne, jak młodociani przestępcy ze złotymi kolczykami w uszach; dziewczynki nosiły sztucznie słodkie, ale twarde jak paznokcie imiona Kelly i Jodie. Kelly McGovern miała piętnaście lat. Tylko piętnaście.

Odejdź, pomyślał napastliwie Tom. Wynoś się stąd, ty śliczna, błyszcząca, mała dziwko.

- Cześć, Kelly - powiedział z uśmiechem.

Zawahała się przy drzwiach. W ręce trzymała jakiś przedmiot owinięty w papier. Miała na sobie regulaminowy czarny blezer, krótką czarną spódnicę i czarne rajstopy. Szkolna odznaka, wyhaftowana na kieszonce blezera nad jej niedojrzałą piersią, miała formę jasnoczerwonej róży o płatkach tak jaskrawych, że wyglądały jak skąpane w szkarłatnej krwi. Pod różą wiło się motto *Nisi Dominus Frustra*. Nie potrafił sensownie go zinterpretować, co przyspieszyło jego rezygnację, choć nie było jej powodem.

- To łaciński cytat pochodzący z jednego z psalmów. „Jeśli Pan miasta nie ustrzeże, strażnik czuwa nadaremnie”. To znaczy: bez Boga świat jest niczym.

- Jakiego miasta?

Faktycznie, jakiego? Zadawali pytania. Miasta ludzkich serc, chłopcy. Nie musicie wiedzieć, jakiego. To tylko motto waszej szkoły. Nie musicie wiedzieć, co oznacza.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Kelly? - zapytał.

- Przyniosłam panu prezent pożegnalny. Proszę.

Weszła wreszcie, podając mu zawiniątko i nie patrząc mu w oczy. Zamiast tego jej spojrzenie zatrzymało się na otwartej szafce. Zamknął ją, przekręcając klucz w zamku. Potem wziął paczkę i odwinął papier.

Było to nowe wydanie wierszy poetów z Liverpoolu, McGougha, Henriego i Pattena. Jego własny egzemplarz ktoś ukradł. Zatrzymał klasę po lekcjach zachwycony, że ktoś jeszcze kradnie poezję.

Poniekąd zachęcił uczniów do kontynuacji tego niecnego procederu. Potem ich zwolnił.

- To bardzo miłe z twojej strony. Nie wiem, co powiedzieć.

Wciąż nie patrzyła mu w oczy. Szarpała swoje pofarbowane na rudo włosy i stała krzyżując nogi w kostkach. Czuł jej napięcie. Wydawało się, że nie ma ochoty wyjść.

- Kelly, muszę tu pozamykać.

- W porządku.

- Zanim wyjadę, muszę jeszcze porozmawiać z dyrektorem.

Wreszcie na niego popatrzyła, światło przenikało jej szaroniebieskie oczy. Potem się odwróciła i wyszła z klasy, zamykając za sobą drzwi. Z głośnym westchnieniem ulgi pozbierał drobiazgi, które chciał ze sobą zabrać i poszedł do gabinetu Stokesa.

- Jeszcze może pan wycofać swoją rezygnację - mówił Stokes. - Nawet na tym etapie. Chcę przez to powiedzieć, że jest pan świetnym nauczycielem. Nie chcę pana stracić. Przykro mi. Wszystkim nam będzie przykro.

Tom nigdy nie lubił dyrektora. Teraz pochylał się nad swoim biurkiem, wielkie ręce złożył jak do modlitwy i wytrzeszczał oczy, jakby to była najważniejsza rozmowa na świecie - i w istocie taka była. Toporny umysł Stokesa ledwie pozwalał mu trafić do biura, a Tom pogardzał jego polityką edukacyjną. Dyrektor szkoły Dovelands wierzył w ABC: Apele, Blezery i Czyny, wartości odzwierciedlające etos rodem ze szkół poprzedniego stulecia. Wskrzesał apele oparte na

tradycji chrześcijańskiej, chociaż co trzeci dzieciak był Hindusem, Sikhiem albo muzułmaninem; pełen mundurek szkolny był rygorystycznie wymagany nawet podczas upałów; a enigmatyczny czyn był traktowany jak kaftan bezpieczeństwa. Surowych zasad strzegli nawet najbardziej kreatywni nauczyciele.

Tom miał na koncie małe akty sabotażu przeciwko temu reżimowi, chociaż zgodził się nauczać religii, podczas gdy nikt inny nie chciał się tego podjąć. Nie miał zamiaru przypochlebiać się dyrektorowi. Pomyślał sobie cynicznie, że teraz Stokes jest przerażony, bo pewnie nie znajdzie nikogo, kto by się tym zajął.

- Tom, nie zakończył pan jeszcze żałoby, prawda? Proszę.

Powiedział to, na co nie zdobył się nikt inny. Tom nie mógł zaprzeczyć, że po śmierci Katie, Stokes był miły, tolerancyjny, nawet pobłażliwy.

- Nie. Ale to nie ma nic wspólnego z moją decyzją.

- I jest pan pewien, że to nie kwestia tego napisu na...

- Nie. Jak powiedziałem wcześniej, dojrzałem do zmian.

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

Stokes wstał. Zaskrzypiało pod nim krzesło. Wyszedł zza biurka i wyciągnął do niego rękę.

- Jeśli będzie pan potrzebował dobrych referencji...

- Zapamiętam.

I już go nie było.

Był nauczycielem od trzynastu lat. Miał trzydzieści pięć lat, a czuł się jak emeryt. W czasie ostatnich dwunastu miesięcy na jego głowie pojawiły się pierwsze siwe włosy. Wsiadając do porzewiałego forda eskorta wciąż miał w uszach wyuczone wersy hymnu szkoły. Wokół szkoły nadal kręciło się kilku uczniów. Wśród nich była Kelly. Skinął jej głową i wrócił wzrokiem na drogę. Potem wcisnął pedał gazu i opuścił szacowny przybytek edukacji.

Tom wyciągnął się na łóżku. Obudził się wypoczęty, chociaż było dopiero po szóstej. Tym razem spał spokojnie. Próbował zadzwonić do Sharon. Słyszał w słuchawce sygnał połączenia międzynarodowego, ale nikt nie odbierał. Od kilku miesięcy nie rozmawiał z Sharon.

Wsunął rękę do kieszeni szukając karteczki, którą odkrył w swoim szkolnym biurku: *Życie tak pędzi...* Na piętrze, w dodatkowej sypialni stała kanapa ze skrzynią na pościel, którą zamienił w kapliczkę swojej zmarłej żony. Znajdowały się tam wszystkie przedmioty, których nie chciał mieć wokół siebie, ale nie mógł się zdobyć, aby je wyrzucić. Zdjęcia, listy, programy teatralne, rzeczy o szczególnym znaczeniu, nawet taśma z automatycznej sekretarki, na której nagrany był jej głos. Każdy przedmiot był zimny, samotny, bezużyteczny i piękny, odległy jak kawałek księżycowej skały.

Wsunął notkę do teczki pełnej innych papierów. Otwieranie skrzyni było ryzykowne; kiedy podnosił wieko, wieczór znikał pod stertą pamiątek, przy których opróżniał butelkę szkockiej.

Zdjęcie zrobione na cudownej plaży na wschodnim wybrzeżu było takim kawałkiem skały księżycowej. Przez kilka minut utrzymywał go w stanie bliskim hipnozy. Trzymał je przed sobą tak długo, aż wąska, biała ramka fotografii rozmyła się i zniknęła, a dwie sylwetki na fotografii ożyły. Jedną z nich była Katie, piękna, ale z

ustami zaciśniętymi w wyrazie goryczy. Drugą postacią był Tom. To ich ostatnia, wspólna fotografia. W tle ujęcia piętrzył się wrak statku. Wyjechali wtedy na długi weekend - pomysł Toma - do kurortu na wschodnim wybrzeżu, aby przekonać się, czy są w stanie naprawić szkody.

Tom podał swój aparat jakiemuś turyście, który zrobił im zdjęcie. Odwrócili się i poszli plażą w stronę statku. Pod ich stopami chrzęściły kamyczki. Morze i niebo miały kolor zimnej stali. Było już dawno po sezonie, sztorm wzburzył wodę, a ostry wiatr hulał po plaży. Musieli unieść kołnierze, aby ochronić twarze przed piaskiem.

- Mam nadzieję, że nie jest za późno - powiedziała Katie.

Okrażył ją, zapadając się w kamykach, złapał trzepoczące poły jej płaszcza.

- To był błąd. Oboje to wiemy. Wszystko może się ułożyć.

- Obyś miał rację, Tom - powiedziała. Wiatr zdmuchnął na jej twarz kosmyk blond włosów. - Mam wrażenie, że nasz czas się skończył.

Potem zawróciła i poszła przez plażę mówiąc coś o załatwianiu swoich spraw, jednak on nie słyszał jej zbyt wyraźnie. Wiatr porywał słowa z ust jak kawałki piany z grzbietów fal.

Poszedł plażą przed siebie. Na piasku, przechylony na bok leżał wrak, sto lat temu skazany na zagładę na tym skrawku lądu. Tom przysiadł na murszejącym kadłubie. Samotna mewa pikująca w stronę szarego oceanu, pod stalowym niebem wrzasnęła rozdzierająco i odleciała. O kamienistą plażę biły fale.

Scena rozmyła się w pamięci Toma, a zdjęcie przedstawiało zwykłą parę na wakacjach, iluzję zatrzymaną na celuloidzie za pomocą chemikaliów.

Księżycowa skała.

Skrzynia w kanapie była ich pełna.

Gdyby okoliczności śmierci Katie były inne, może byłby w stanie zakończyć żałobę. Ale absurdalność tego wypadku pozostawiła w nim koszmarne poczucie niesprawiedliwości. Burza wyrwała z korzeniami drzewo, które zmiażdżyło jej samochód. Gdyby zginęła w wypadku drogowym, w katastrofie samolotu, lub w pożarze, Tom przynajmniej mógłby przypisać tę tragedię błędowi człowieka, lub usterce maszyny. Oczywiście nadal czułby gniew i żal, ale teraz nie mógł znieść całkowitej przypadkowości tego zdarzenia. Żadnego błędu człowieka. Żadnej usterki maszyny. Po prostu jedna część natury zniszczyła inną, która przez przypadek znalazła się w pobliżu. Tom mógłby zrozumieć chorobę jako czynnik eliminujący, albo klęskę żywiołową, trzęsienie ziemi czy powódź. Ale drzewo spadające na samochód?

Nie, to musiało być coś osobistego, coś co było wymierzone właśnie w niego. Jak palec sędziego.

Opuścił wieko skrzyni w kanapie. Potem jeszcze raz wykręcił numer do Sharon. Wciąż nie odbierała. Zastanowił się nad różnicą czasu. Chyba nie wynosiła więcej, niż dwie godziny. Może tylko godzinę.

Katie nie od razu zaakceptowała jego przyjaźń z Sharon, którą znał jeszcze z college'u.

- Stare ogniska powinno się gasić - powiedziała. - Co powiedziałbyś, gdybym co miesiąc odgrzewała znajomość z któryms z moich dawnych chłopaków?

- Nie powinno się zrywać kontaktów z kimś, kogo się kiedyś kochało tylko dlatego, że teraz kocha się kogoś innego.

- To wydaje się nieco dziwaczne.

- Nie ma w tym nic dziwnego.

- Dla mnie to jest dziwaczne.

Z Tomem jednak trudno było się spierać, a chociaż rozumiał podejrzliwość Katie uparł się, by mimo wszystko utrzymywać niewinny w końcu i nieregularny kontakt z Sharon. Z czasem Katie w małżeństwie poczuła się bezpieczniej i kilka razy spotkała się z nią, zaczęła mu ufać i zaakceptowała ten związek, a także odkryła w Sharon przyjaciółkę. Stworzyły własną bliskość, i chociaż nigdy nie było to coś, co wykluczałoby Toma, jego dawny układ z Sharon uległ wyraźnej przemianie.

Od śmierci Katie Sharon dwa razy dzwoniła i napisała dwa listy, ale Tom nie czuł się na siłach, aby jej odpowiedzieć.

Teraz był gotów spotkać się z nią. Była jedną z niewielu osób, z którymi był w stanie rozmawiać.

Wyjął dodatek reklamowy z niedzielnej gazety, znalazł w nim promocyjne ceny biletów lotniczych. Zaznaczył jedną z nich, a

ponieważ funkcjonowała tam całodobowa obsługa telefoniczna, zadzwonił.

Pięć minut później miał zarezerwowany i opłacony lot. Samolot startował następnego popołudnia. Zaczął się pakować, z pośpiechu i emocji lekko drżały mu ręce. Z półki nad kominkiem z aprobatą uśmiechała się ze zdjęcia Katie. Odwrócił zdjęcie do ściany. Nie chciał, aby patrzyła, jak się pakuje.

Podenerwowanie przed podróżą sprawiło, że tej nocy spał źle. O trzeciej nad ranem jak zwykle obudziło go pukanie do drzwi. Nie podniósł się. Leżał przytomny i nasłuchiwał, chociaż miał pewność, że dźwięk się powtórzy. Wiedział też, kto puka. Już wcześniej wielokrotnie podchodził do drzwi i nigdy nikogo nie udało mu się zobaczyć. Wiedział, że ktoś będzie pukał do drzwi dokładnie do czwartej piętnaście. Potem odejdzie.

Tej nocy pukanie wydawało mu się bardziej naglące. Nie otworzył jednak. Wiedział, kto puka.

Samolot wylądował na lotnisku pod oślepiająco niebieskim niebem Tel Awiwu, wypuszczając pasażerów na rozgrzaną płytę lotniska. Wciąż nie udało mu się skontaktować z Sharon, wsiadł jednak do autobusu i pojechał do Jerozolimy. Wsiadł na dworcu autobusowym kipiącym energią i aktywnością. Był zdumiony liczbą młodych kobiet w oliwkowych, wojskowych mundurach. Ulice były pełne ładnych, izraelskich dziewcząt hołubiących na piersiach maszynowe pistolety uzi.

Wpatrywał się w jedną z nich, w tym czasie jakiś chłopiec w okularach przeciwsłonecznych i ze słuchawkami walkmana na uszach wcisnął mu do ręki ulotkę. Zachęcała do zatrzymania się w pobliskim hotelu i kusila darmowym piwem. Wciąż ją czytał, kiedy stary chasyd z siwymi pejsami i rozwichrzoną brodą uśmiechnął się do niego spod szerokiego randa czarnego kapelusza i wsunął mu do ręki kolejną kartkę. Ulotka była po hebrajsku; na odwrocie można było przeczytać po angielsku: „AMERYKANIE = AMALEKICI¹. *Przeto, że się wyniosły córki syjońskie, a chodziły wyciągnąwszy szyję, i pomrugując oczyma chodziły i płaszały, chodziły nogami swymi i wyniosłym krokiem postępowały DLA NOWEGO LOTNISKA - NIE!*

Tomowi wydawało się, że rozpoznaje ten cytat.

- Izajasz?

¹ Amalekici: lud semicki, zamieszkujący tereny płw. Synaj aż do Negewu, wymieniony w Starym Testamencie.

Stary chasyd wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie rozumie angielskiego. Potem wcisnął ulotki w ręce dwóch zdezorientowanych Australijczyków z plecakami.

Tom zatrzymał taksówkę, podał kierowcy adres Sharon i ruszyli wzdłuż średniowiecznych murów Starej Jerozolimy. Nad murem Starego Miasta na wietrze trzepotały proporce, flagi i chorągiewki. Złota Kopuła na Skale prężyła się na tle niebieskiego nieba. Miodowe światło barwiło chmury, lizało antyczną cegłę, rzucało długie cienie w starożytnych portalach. Wyglądało to jak obrazek z połączanymi brzegami, które zbierał jako dziecko w szkółce niedzielnej. Obrazek, który miał przed oczami, zamykał serię.

Pierwszy raz widział Jerozolimę. *Jesteś piękna, miłości moja, cudna jak Jerozolima, straszna jak armia niosąca sztandary.*

Była to Jerozolima, która nie istniała. Jerozolima, jakiej nigdy nie zobaczy. Chciał powiedzieć kierowcy, aby się zatrzymał, chciał wysiąść z taksówki, przejść przez mieniącą się, złocistą ramę swojej wizji i wejść w historię. Zamiast tego patrzył, jak cudowna wizja znika w tylnym oknie samochodu. Słyszał głosy dochodzące zza murów miasta. *Jesteś piękna.* Stopniowo, kiedy taksówka przesuwała się wzdłuż ulicy Shekhem na północnym wschodzie miasta, stara cytadela chowała się za wzgórzem. *Straszna jak armia niosąca sztandary.* W widoku za oknem taksówki rzeczywistość przeplatała się z mitologią. Zobaczywszy swoje odbicie w przyciemnianej szybie drzwi do mieszkania Sharon pomyślał, że wygląda jak *golem*. Niedokończony człowiek. Adam, czekający na tchnienie Boga. Czuł

się w jakiś sposób niekompletny, jakby zabrakło mu niezbędnej do życia iskry.

Nacisnął dzwonek. Pociła mu się dłoń, w której trzymał skórzany uchwyt walizki. Nikt się nie pokazywał. Nacisnął sąsiedni przycisk i wreszcie przez domofon usłyszał zaspany głos.

Tom pochylił się do mikrofonu.

- Mówi pan po angielsku?

- Tak. Ehm.

- Szukam Sharon. Z mieszkania obok.

- Wyjechała. Ehm.

- Co? Co pan powiedział?

- Wyjechała. Wyjechała na wakacje. Ehm. Wraca za kilka dni.

Niskie buczenie domofonu ucichło. Wyobraził sobie sennego Izraelczyka wracającego do łóżka. Było południe.

Gapił się bezmyślnie na gorącą, zakurzoną ulicę. Przesępował z nogi na nogę, ściskając wilgotną rączkę walizki. Słowo *golem* huknęło w jego mózgu jak wystrzał na pustyni. Powoli schodził z marmurowych schodów budynku, z czoła spływał mu pot. Wyszedł z chłodnego cienia bramy na jaskrawe słońce ulicy.

Gdzie podziewała się Sharon? Spontaniczna decyzja o przyjeździe do Jerozolimy jeszcze przed chwilą wydawała się fantastyczna i uzasadniona. Teraz zakrawała na skrajną głupotę. Nie znał tutaj nikogo poza Sharon. Był daleko od domu, samotny i bardziej niż trochę przestraszony. Pożałował, że się w ogóle na to zdecydował. Poczuł się jak cel czyjejś manipulacji.

Na ulicy pojawiła się kolejna taksówka szukająca okazji do zarobku. Zatrzymał ją i kazał kierowcy zawieźć się z powrotem do centrum nowej Jerozolimy.

- W tym bloku, spod którego mnie pan zabrał - zapytał po drodze - mieszkają w większości Żydzi czy Arabowie?

Taksówkarz obejrzał się przez ramię i pokazał w uśmiechu usta pełne złota. Najwyraźniej uznał jego pytanie za zbyt niedorzeczne, aby na nie w ogóle odpowiedzieć. Tom pokazał ulotkę hoteliku, którą dostał na dworcu autobusowym.

- To dobre miejsce, aby tam się zatrzymać? Kierowca rzucił okiem.

- Może być niezbyt czysto.

- A może pan polecić jakiś hotel?

- Hotel będzie pana kosztował dużo kasy. Bardzo dużo kasy.

- Nie mam za dużo pieniędzy.

- Mam pomysł - powiedział kierowca, trąbiąc na pieszych. - Mają tam tylko podstawowe wygody. Ale za to daleko od arabskich ruder.

Hotel mieścił się na północy, tuż przy Me'a She'arim, skrajnie ortodoksyjnej dzielnicy Jerozolimy, niedaleko Starego Miasta. Na rogu ulicy wznosiła się wielka tablica z napisem:

**CÓRY JEROZOLIMY:
ZAWSZE UBIERAJCIE SIĘ SKROMNIE**

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem z szarej cegły. Był prosty, raczej czysty i wyglądał na schronisko dla młodzieży. Młody człowiek z czarnymi loczkami, w czapeczce *kipah*² na głowie i z wystraszonymi oczami, przysłoniętymi okularami o grubych szklach, zaprowadził go do pokoju. Wewnątrz pachniało rozgrzanym kurzem. Tom z powątpiewaniem dotknął pożąłkłych prześcieradeł. Młodzieniec zapewnił go, że pomimo wątpliwej prezencji zostały uprane. Zaakceptował pokój i dostał zniżkę za to, że zapłacił w funtach szterlingach.

Tom otworzył okiennice. Pokój przecięty długie promienie popołudniowego słońca i podświetliły drobiny kurzu unoszące się w powietrzu. Nie przeszkadzało mu to. W końcu był to starożytny, mistyczny kurz. Taki sam jak w czasie Abrahama, Jezusa i Mahometa. Był jak tchnienie religii.

Pod oknem rósł krzew jaśminu, jego orzeźwiająca woń mieszała się z organicznym zapachem pyłu. Nie spał prawie dobie, czuł się wykończony. Chciał położyć się w łóżku i odpłynąć, bał się jednak, że jeśli to zrobi, znów zacznie się pukanie do drzwi. Modlił się, aby nie doścignęło go tutaj.

Był ogromnie podekscytowany obecnością w Jerozolimie. Jego ekscytacja była prawie erotyczna. Mimo zmęczenia zdecydował się wyjść. Chciał się przejść po najświętszym mieście świata.

² Kipah: jarmułka, mycka.

- Witam, monsieur³!. Zapraszamy! Enchante⁴!

Ta przesadna galanteria sprawiła, że Tom zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił jakiegoś błędu. Aby wyjść z pokoju musiał przejść przez dużą, wspólną kuchnię, gdzie drobna postać o białych włosach pochylała się nad zlewem, myjąc łyżeczkę i spodek. Stary mężczyzna odwrócił się w jego stronę.

- Nie pomylił się pan, to ogólna kuchnia. Proszę z niej swobodnie korzystać. Kawa nie da się pić, o herbacie nie ma co mówić. Ale są za darmo.

Wskazał na parujący termos, jakby pokazywał skarby Salomona. Potem wyciągnął małą dłoń.

- Dawid Feldberg. Jest pan Żydem?

- Nie.

- Cóż, nie każdy może nim być.

Miał na sobie przepocony kardigan i przynajmniej o dwa numery za duże kapcie. Spodnie podtrzymywane wąskim, skórzanym paskiem, raczej zamotanym, niż zapiętym, sięgały mu niemal po pachy. Usta rozciągnął w szerokim uśmiechu ukazując kilka pożółkłych, krzywych jak kołki w płocie zębów, zawsze na posterunku, jak starzy, ale lojalni towarzysze. Miał posturę chłopca,

³ Monsieur (fr.): pan.

⁴ Enchante (fr.): jestem zaszczycony, zachwycony.

ale sposobem bycia przypominał zwawego profesora ze starej powieści.

Tom instynktownie go polubił.

- Czy stąd można dojść do Starego Miasta?

- Właśnie na piechotę jest najlepiej. W holu są jakieś mapy.

Proszę mi pozwolić.

Wyciągnął mapę turystyczną i rozłożył ją na stole, wskazując na niej punkty długopisem wydobytym z kieszeni spodni.

- Oto my i nasze marne żywoty. - Polizał obsadkę długopisu. - Proszę iść tędy, a z pewnością trafi pan do Bramy Damasceńskiej.

Brama Damasceńska! Każda nazwa w Jerozolimie była elektryzująca. Dawid zaczął zaznaczać inne interesujące miejsca, ale dał sobie spokój, wyczuł niecierpliwość Toma.

- Jest tam od tysiący lat. Nigdzie się nie wybiera - uśmiechnął się i złożył mapę.

Tom podziękował i skierował się do drzwi.

- *Monsieur*, czy myślał pan o przejściu wzdłuż murów?

- Tom. Mam na imię Tom. Dlaczego pan pyta?

- Nie chcę cię niepokoić, ale o tej porze dnia to nie jest najlepszy pomysł. Zdarzają się wypadki. Ataki na turystów. Arabowie znaleźli nowy sposób na rozchwianie ekonomii. Lepiej przejść się z rana, wtedy jest tam dużo ludzi. Oczywiście, gdybym był młodszy, z wielką przyjemnością poszedłbym z tobą. Ale z moją nogą...

Tom uśmiechnął się, myśląc o staruszkę w roli ochroniarza.

- Rozumiem. Dziękuję za radę.

Dawid Feldberg odprowadził go do drzwi hotelu.

Wszedł na szczyt wzgórza i zobaczył Stare Miasto w całej okazałości. Mury w kolorze kości zwieńczone blankami, Złotą Kopułę pod jaskrawoniebieskim niebem. Miasto było zbudowane z wypolerowanego, fasetowanego kamienia, pokrytego perłowym nalotem osadzającym się przez stulecia. Historia była opalizującą tkanką w ciągłym procesie odradzania się miasta.

Powiewające wzdłuż murów flagi, proporczyki i chorągiewki zniknęły. Zaczął myśleć, że może wcale ich tam nie było. Może je sobie wyobraził, patrząc przez okno taksówki. A może sprawiła to euforia wywołana widokiem murów obronnych. Wiedział, jak łatwo jest zobaczyć coś, czego nie ma.

Przy Bramie Damasceńskiej jak zwykle pełno było ludzi, istne kłębowisko kolorów, form i dźwięków. Most, przerzucony nad starożytną fosą, okupowali handlarze. Sprzedawcy herbaty dźwigali na plecach wielkie, zdobione srebrem termosy. Sprzedawcy przypraw konkurowali z kwaciarzami i handlarzami owoców. Ze straganów z falafelami⁵ unosił się zapach gorącego oleju. Dywany, tysiące mieniących się koralików i egzotycznych ozdób roztaczały wokół bogactwo barw i form. Zapach rozgrzanego kurzu mieszał się z wonią przypraw i gorącej oliwy z oliwek. Gardłowe arabskie frazy unosiły się w niebo.

Tom poczuł czyjeś spojrzenie. Uniósł wzrok i wysoko na murze zobaczył izraelskiego żołnierza. Do biodra miał przytroczony automatyczny karabin. Stał na tle słońca, jego twarz i mundur były

⁵ Falafel: popularne danie arabskie, rodzaj kotleczków z bobu, lub ciecierzycy z sezamem.

pograżone w cieniu. Wyglądał, jakby stał tam od zawsze; równie dobrze zamiast karabinu żołnierz mógł trzymać krótki, rzymski miecz. Mógłby być krzyżowcem, albo jednym ze strażników Saladyna⁶. Był Żołnierzem na murze. Zawsze tam był.

Ktoś na niego wpadł - owionął go mocny zapach męskiego ciała, przypominający zapach wilgotnej ziemi. Przełożył portfel do innej kieszeni. Poczul na pośladku czyjaś dłoń. Rozejrzał się, ale wszyscy byli zaabsorbowani handlem. Gapił się na niego tylko mały, arabski chłopiec, dmuchający z zapalem w gwizdek. Dopiero kiedy przeszedł pod łukiem bramy uświadomił sobie, że w obronie przed tym zmasowanym atakiem na zmysły, cały czas wstrzymywał oddech.

Za bramą, na ulicy było chłodniej i odrobinę ciszej. Zapuscil się w labirynt alejek. Kupił sobie falafel od ulicznego przekupnia. Zdawał sobie sprawę, że ryzykuje zdrowiem, chciał jednak poczuć autentyczność przypraw i zapachów.

Na zatłoczonym arabskim suku⁷ kręciły się grupki Arabek w czarnych purdah⁸. Wyczuwał, że ścisk się zmniejsza. Po jego udzie przesunęła się czyjaś ręka; odwrócił się gniewnie, ale tak jak poprzednio, na pierwszy rzut oka wszyscy byli bardzo zajęci.

Wyszedł z suku przeciskając się ciemnowymi, brudnymi i wąskimi uliczkami, aż znalazł się na Via Dolorosa, którą niegdyś szedł Chrystus dźwigający krzyż. Święta droga! Spojrzał na tablicę opisującą jedną ze stacji drogi krzyżowej.

⁶ Saladyń: ur. 1137 lub 1138 w Tikricie w Mezopotamii, wódz i polityk muzułmański pochodzenia kurdyjskiego, sułtan Egiptu, władca imperium rozciągającego się od Sudanu po Syrię, od Jemenu przez Półwysep Arabski, północny Irak, do wschodniej Turcji.

⁷ Suk: targ.

⁸ Purdah: strój zakrywający kobietę od stóp do głów.

Podszedł do niego przystojny, młody Arab.

- Piękne, prawda?

Wciąż rozglądał się z zachwytem.

- Wspaniale.

- Anglik? Lubię Anglików. To jeszcze nic. Chodź. Pokażę ci coś naprawdę zdumiewającego.

Tom natychmiast zrobił się podejrzliwy.

- Co takiego?

- Zaufaj mi. To tylko kilka metrów dalej.

Arab wszedł trochę wyżej na pochyłość Via Dolorosa i wskazywał coś na ziemi. Tom ostrożnie podszedł. Arab pokazywał prążki na bruku.

- W tym miejscu - oznajmił z dumą - rzymscy żołnierze grali w kości o szaty Jezusa.

- Żartujesz! - wykrzyknął Tom, przyklękając, aby lepiej się przyjrzeć. Rzeczywiście, były tam nierówne rysy, bez wątpienia antyczne, kwadraty i kółka wryte na kamiennych płytach.

- Nie żartuję - powiedział chłopak. - To słynne miejsce. Grało się za pomocą kości.

Tom przesunął palcem po wgłębieniach w ciepłym kamieniu. Kiedy znów się podniósł, podeszło dwóch innych chłopców zaciekawionych tym, co robił.

- Podoba ci się? - spytał pierwszy.

- To niesamowite.

- Cieszę się. Lubię pokazywać to przyjaciołom z Anglii.

- Dziękuję.

Uśmiechnął się szeroko. Jego przyjaciele również się uśmiechnęli, kiwając głowami z zadowoleniem.

- Chcesz przewodnika?

Toma nagle oświeciło. Cofnął się.

- Nie. Przepraszam. Nie stać mnie na przewodnika. Młody mężczyzna nadal się uśmiechał.

- Naprawdę? Jestem dobrym przewodnikiem. Wiem o tym mieście wszystko.

- Dziękuję, ale nie.

Twarz Araba pociemniała. Twarze jego przyjaciół również.

- Jesteś mi za to coś winien - powiedział.

- Za co?

- Za to, co ci pokazałem.

Wyciągnął stwardniałą dłoń po pieniądze. Teraz nie wydawał się już taki przystojny. Tom rozejrzał się dookoła. W pobliżu nikogo nie było.

Tom był postawnym mężczyzną, i choć agresja była mu obca lubił myśleć, że potrafi o siebie zadbać. W tym jednak nie było za grosz sensu. Wyciągnął kilka szekli i dopisał je do kosztów doświadczenia.

- To za mało - powiedział Arab podchodząc.

Tom spojrzał mu prosto w oczy.

- Więc może zamiast tego rozwalę ci głowę o mur?

Cofnął rękę z monetą, Arab skoczył w jego stronę, ale Tom ruszył przed siebie, ignorując złorzeczenia.

Wiedział, że jeżeli pójdzie Via Dolorosa, trafi wreszcie do Świętego Grobu, ale spotkanie z arabskimi młodzieńcami nieco go zdenerwowało. Szedł szybkim krokiem ignorując tablice pamiątkowe, historię i starożytność kipiące wszędzie dookoła. Tutaj było więcej turystów. Kolejny Arab wydał z siebie syczący dźwięk i pomachał ręką. Tom udał, że nie słyszy.

Przy Świętym Grobie przeraził go tłum pielgrzymów czekających na możliwość wejścia do środka. Do bazyliki, wielkiej, sklepionej budowli należącej do ortodoksyjnego kościoła greckiego, można było wejść omijając samą kryptę. Powietrze było ciężkie od zapachu kadzidła; w rdzawym mroku połyskiwały ikony. W tłumie działo się coś dziwnego. Umundurowani strażnicy kościoła ciągnęli zawodzącą, starą Greczynkę we wdowiej czerni, która najwyraźniej nie chciała wyjść z grobowca. Pielgrzymi wyglądali na zażenowanych; ale strażnicy zachowywali się tak, jakby to była codzienność.

Tom poczuł się lekko zniesmaczony tą sceną. Obszedł grób i na jego tyłach znalazł małą kapliczkę wpuszczoną w podłogę. Zajrzał do środka, popatrzył na maleńki ołtarz pełen złotych i srebrnych ikon. Migotały świece, wszędzie snuł się kadzidlany dym. Garbiąc się mocno zdołał wcisnąć się do środka.

- Witaj!

Z mrocznej wnęki wyłonił się gruby, czarny pajak z ludzką głową. Tom cofnął się gwałtownie i uderzył głową o skałę.

- Witaj!

Pajakiem okazał się odziany w czarną szatę ksiądz w prawosławnym kapeluszu, przycupnięty w drugim końcu kapliczki. Miał siwą, sięgającą do pasa brodę. Z błyszczącymi oczami entuzjastycznie machał do Toma.

- Kurwa! - powiedział Tom, masując głowę. Słowo odbiło się echem. - Kurwa!

Potem przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

- Cholera! O Jezu - powiedział.

- Tak! Witaj! - to najwyraźniej były wszystkie angielskie słowa znane kapłanowi. Pajakowaty ksiądz wyciągnął rękę i dotknął brwi Toma. Szybko cofnął dłoń, syknął i potrząsnął głową.

- Źle!

Potem wepchnął w dłoń Toma mały, plastikowy krucyfiks.

- Datek! - powiedział wyciągając dłoń i uśmiechając się radośnie.

Tom wysupłał parę szekli. Ksiądz przyjął je i dał mu kolejny plastikowy krzyż. Jestem zmęczony, pomyślał Tom wychodząc z Bazyliki Świętego Grobu. To za dużo jak na jeden dzień.

Wpatrywał się w mapę szukając najkrótszej drogi do Bramy Damasceńskiej. Słońce chowało się za szczytami dachów. Stare budynki rzucały długie cienie. Uliczki i alejki były teraz opustoszałe. Z wahaniem wodził palcem po mapie, czuł, że popełnił błąd.

Przeszedł pod splekanymi łukami, a potem wąską, stromą, brukowaną ulicą cuchnącą moczem, chlorem i gnijącymi warzywami. Kroki odbijały się echem między domami. Szedł pospiesznie pustą ulicą. Znow się zatrzymał, aby spojrzeć na mapę. Ulica powinna biec prosto jak strzała, tymczasem już dwa razy zakręciła w lewo. Wszedł w jakąś mroczną strefę Starego Miasta. Pomyślał, że chyba nigdy nie dociera tu słońce.

Kilka jardów dalej alejka kończyła się pod kamiennym łukiem jak ucięta nożem. Dostrzegł jakiś ruch. Zobaczył zatrzaśniętą, rozpadającą się bramę. Stojąca w jej cieniu Arabka z zasłoniętą twarzą kiwała w jego stronę palcem. Gest był słaby, ale nagły. Instykt kazał mu nie zwracać na to uwagi, jednak jakiś przedziwny magnetyzm tego ruchu nie pozwalał mu odejść. Zrobił krok w jej stronę i uderzył go zapach przypraw, głęboki i ostry, jak balsam.

Kobieta miała na sobie wystrzępione szaty. Czarny welon kończył się poniżej podbródka. Była stara, jej dłonie były ciemne i poskręcane. Przez zasłonę dostrzegł błysk oka.

Było w niej coś niepokojącego. Tom poczuł ucisk w żołądku. Coś w tej staruszce go przeraziło.

Znow skinęła dłonią. Uniosła ją do ust, przez czarny materiał dotykając kościstym placem języka. Powoli się obróciła i palcem wskazującym napisała coś na murze. Pod jej dotykiem zwietrzały kamień osypywał się w pył.

Była to litera D.

- Muszę iść - spróbował Tom. - Muszę...

Kobieta nie przestawała pisać. Na ścianie pojawiały się kolejne kształty, jakby wyryte przez masonów. Litery jednak były obce, może hebrajskie, lub arabskie i Tom nie potrafił ich odczytać. Zapach przypraw doprowadzał go niemal do mdłości. Upuścił mapę i pośpiesznie odszedł. Stara kobieta nadal pisała coś na ścianie.

W kilka chwil znalazł Bramę Damasceńską. Zatrzymał się i oparł o mur. Oddychał ciężko i wstydził się za siebie. Minęło go dwóch chłopców na grzbiecie osła.

Na wspomnienie starej kobiety znów poczuł skurecz w żołądku. Czuł się idiotycznie. Przeszedł przez bramę i ruszył przed siebie. Tłum zniknął już z ulic. Chylące się ku zachodowi słońce przeświecało przez skłębione chmury.

Dotarł do swojego pokoju w hotelu, zamknął za sobą drzwi na klucz i zatrzasnął okiennice. Zdjął buty, położył się na łóżku i pomyślał o Katie. Zanim zapadł w sen, rozplakał się.

Potem usłyszał głos.

- Próbuję ci wyjaśnić, co się stało - powiedziała Katie...

- Po prostu. Zrezygnowałem.

- Ależ, *monsieur*. Nauczyciel to stan umysłu. To nie jest toga, którą można zakładać i zdejmować. Nie przestaje się być nauczycielem, ponieważ ten czy inny rząd postanowił nie płacić.

- Proszę mi mówić Tom.

- Czy można spytać, dlaczego zająłeś się tą prestiżową i satysfakcjonującą pracą?

- Może zrobię więcej kawy? - podniósł się Tom. - Nigdy nie była prestiżowa, a satysfakcjonująca tylko czasami.

Dawid Feldberg, jak dowiedział się Tom, żył dla rozmowy. Czaił się w kuchni czekając na ludzi. Miał łatwość przechodzenia od nieszkodliwych tematów, jak pogoda, do kwestii bardziej kontrowersyjnych, aż delikwent nagle orientował się, że nie wiadomo kiedy został wciągnięty w zawiłą dyskusję. Jakby człowiek znalazł się nad planszą do tryktraka, z dłonią lekko obejmującą kubek z kośćmi. Taki rodzaj konwersacji miał swoje ramy i określone zasady: żadna uwaga nie mogła przejść bez echa, słowa musiały być starannie dobierane, a każdy komentarz rzucał dodatkowe światło na poruszane kwestie.

Tego ranka Tom znów zastał Dawida w kuchni. Wyrażając się bardziej precyzyjnie, to Dawid czekał tam na niego i udawał, że płucze kubki. Natychmiast zaproponował Tomowi porządną kawę

zamiast błota serwowanego za darmo w hotelu. Minutę później nalegał, aby zjedli razem śniadanie składające się z francuskich rogalików i ciastek z pobliskich delikatesów. Tom zaproponował, aby poszli tam razem, jednak Dawid zdecydowanie nie chciał wyjść z hotelu.

Tom poszedł więc sam, a Dawid w tym czasie nakrył stół. Kawa była już zaparzona. Po śniadaniu staruszek niepostrzeżenie wyciągnął z Toma różne informacje: o tym, że jego żona nie żyje, że ma trzydzieści pięć lat, że mało podróżował i że nagle porzucił nauczanie z powodów, o których wolałby nie mówić.

Tom z kolei dowiedział się, że Dawid urodził się w Grecji, mieszkał w Paryżu, Londynie i francuskiej Algierii, i że poza językami używanymi w tych krajach włada hebrajskim i arabskim. Spędził życie, jak powiedział, jako kiepsko opłacany tłumacz dokumentów akademickich.

- Więc jakie masz wrażenia - zapytał Dawid, wężąc za tematem
- z pierwszej wizyty w Świętym Mieście?

- Rozczarowujące - Tom dolał sobie kawy.

- Z jakiegoś powodu odnoszę wrażenie, że twoja wizyta w Jerozolimie ma szczególne znaczenie?

- Pytasz mnie, czy jestem chrześcijaninem? Tak, jestem. Ale próbuję o tym zapomnieć. Pracuję nad tym.

- Dlaczego jesteś rozczarowany?

- Wszędzie, gdzie szedłem, ktoś próbował mnie oskubać. Chrześcijanie, muzułmanie, Żydzi. Jakby to był ich cel.

- Dlaczego cię to zaskakuje? Czy to nie w tym mieście wasz Pan poprzewracał stoły przekupniów? Niewiele się poprawiło od tamtego czasu.

Podejście Dawida wywołało uśmiech na twarzy Toma.

- Miałem jednak nadzieję, że coś poczuję. W środku.

- I nie poczułeś?

- Na początku tak. Widok miasta bardzo mnie poruszył. Potem to odczucie skalali ludzie. Niespecjalnie umacnia to wiarę, co? O ile w ogóle wierzysz.

- Wiara? Ależ *monsieur*, wiara to pomost łączący nadzieję z brudem tego świata. Skoro tak łatwo runął, to z czego go zbudowałeś?

- Jako Żyd jesteś wierzący?

Wycelował palec w sufit i oparł się wygodnie.

- Kiedy mam dobry dzień. Kiedy mogę napić się dobrej kawy, zjeść świeże ciastka i porozmawiać z kimś inteligentnym, jak w tej chwili. Jakie masz plany na dziś?

Plansza do gry w konwersację została odsunięta.

Tom powiedział mu o Sharon, wspominając, gdzie mieszka.

- Czy to żydowska dzielnica?

- Oczywiście. Arabowie tam nie mieszkają.

- Przepraszam. Czasami Żydzi i Arabowie wyglądają dla mnie tak samo. Na ulicy widzę Żydów o jasnych włosach i niebieskich oczach, albo o ciemnej skórze i oczach brązowych. Jednak Żydzi stanowią jedną rasę. Jak to właściwie jest?

Dawid wyciągnął przed siebie ręce i zamknął oczy. To pytanie wyraźnie otwierało nową partię tryktraka. Tom zmienił temat i opowiedział mu o swoim spotkaniu z arabską kobietą. Dawid słuchał uważnie.

- Czy to było w dzielnicy chrześcijańskiej?

- Nie wiem. Mogłem być już w arabskiej. Tak, kobieta była chyba Arabką. Przestraszyła mnie, ale prawdopodobnie chciała tylko trochę grosza za pokazanie kawałka starożytności.

- Prawdopodobnie - powiedział Dawid.

Tom nie miał zamiaru dopuścić, aby Jerozolima go onieśmieliła. Ledwie zdążył ją poczuć, a Stare Miasto było przecież grubym katalogiem duchowych i archeologicznych ciekawostek, labiryntem religijnym o powierzchni przynajmniej mili kwadratowej. Chciał pływać w jego tajemnych basenach i badać jaskinie. Chciał stanąć w jego centrum.

Katie zawsze chciała tu przyjechać i nigdy tego nie zrobiła.

Czy to miasto miało wielką tajemnicę? Czy w ogóle była tu tajemnica? Krzyżowcy uważali Jerozolimę za centrum świata, kolebkę wielkich religii monoteistycznych przetaczających się nad nią jak potężne fale pływowe, walczące i przelewające krew wiernych od zarania dziejów aż po dzień dzisiejszy.

Trwała niezłomnie, wciąż wznosząc się na granicy Europy i Afryki, opierając się na nich jak na rozstawionych nogach, za głowę mając Azję niczym główkę dziadka do orzechów, wyluskującą jądro miasta jak słodko-gorzki orzech.

Było w nim *coś* niepokojącego, lepkiego, złowrogiego. Sączyło się między kamiennymi blokami i wiekowymi budowlami, spływało w dół tunelami starożytnych ulic pod stopy mieszkańców miasta. Szemrało pod podłogami ich domów. Tutaj nawet kurz był żywy, jak substancja radioaktywna. Przywierał do sandałów, wbijał się pod paznokcie, wżerał w skórę, wysuszał gardło i powodował pragnienie.

Jerozolima była wszechmocna. Ale nie sprawiała, że ludzie stawali się lepsi. I nie mogła przywrócić życia Katie.

Tym razem Tom wszedł do Starego Miasta przez inną bramę. Wzdłuż murów szła para młodych ludzi ubrana w oliwkowe mundury, z uzi przewieszonymi przez ramiona. Widok młodych kobiet w mundurach intrygował go. Dziewczęta były piękne, silne, pewne siebie, w jakiś sposób nietykalne. Był zniesmaczony tą demonstracją emancypacji i jednocześnie dziwnie podekscytowany. Broń sprawiała, że stawały się jeszcze bardziej godne pożądania.

Brama Nowa prowadziła prosto do dzielnicy chrześcijańskiej. Zabrał z hotelu kolejną mapę i kupił przewodnik. Kiedy dotarł do Bazyliki Świętego Grobu uformowała się tam nowa kolejka zwiedzających, a obok druga, złożona z ludzi na wózkach inwalidzkich.

Usiadł na kamiennych schodach i zabrał się za studiowanie przewodnika. Już po kilku sekundach nagabywało go dwóch mężczyzn, którzy chcieli mu pokazać miasto.

- Zejdźcie mi z oczu! - krzyknął.

Co dzieje się z tym miastem? Nie można przysiąc nawet na chwilę, trzeba być w ciągłym ruchu. Bezruch najwyraźniej był tutaj słabością. Należy się ruszać, albo dać cię ukąsić. Trzeba umykać jak mała rybka przed większymi rybami czyhającymi za każdą skałą.

Wrócił do swojego przewodnika. Był nieprzyjemnie zdziwiony, że nie ma pewności co do położenia Świętego Grobu. Jako alternatywne miejsce ukrzyżowania i zmartwychwstania Jezusa wskazywano punkt na północ od Bramy Damasceńskiej. Jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że Święty Grób może nie być autentyczny. Odwrócił przewodnik, aby sprawdzić nazwisko autora i przekonać się, czy był Żydem, czy Arabem, kimś, kto miał powód, by przeinaczyć prawdę.

Święte miejsce, jak twierdził ów autor, zawsze leżało w obrębie murów, jakkolwiek według przekazu, Jezusa ukrzyżowano poza miastem. Spojrzał na rzędy wózków inwalidzkich, jakby gotowych do wyścigu, i miał nadzieję, że ich właściciele przybyli we właściwe miejsce. Obecne miejsce kultu, mówiła książka, zostało wybrane przez Helenę, matkę Konstantyna, Cesarza Bizancjum, trzy i pół wieku po ukrzyżowaniu. Helena odbyła pielgrzymkę do Jerozolimy, zawiedziona brakiem świątyń postanowiła to zmienić i wybudowała jedną z nich.

Tom z trzaskiem zamknął książkę. Znow wszedł do kościoła. Strażnicy nadal poganiali ludzi kręcących się po kaplicy. Pająkowaty kapłan był zajęty wciskaniem plastikowych krzyży w dłonie turystów. Tom wyszedł.

Odwiedził Świątynię na Skale i przeczytał, że Złota Kopia została przetopiona, aby spłacić długi kalifa⁹ i teraz pokryta jest stopem aluminium i brązu imitującym złoto. Stamtąd wrócił do Bramy Damasceńskiej przez wąskie uliczki dzielnicy muzułmańskiej, przepychając się pomiędzy straganami pełnymi mat, przypraw i egzotycznych owoców. Gdy przystawał tu i ówdzie, aby popatrzeć, przekupnie natychmiast próbowali go zatrzymać. Umknął przed nimi, kryjąc się w zacienionym, sklepionym przejściu w cichym, ślepych zaułku. Miejsce wydało się Tomowi jakoś znajome.

To przecież tutaj spotkał starą Arabkę. Nerwowo przełknął ślinę. Tylko kilka jardów dalej był ostatni łuk i kamień, na którym wydrapywała litery. Dziś jej nie było. Tom podszedł do pogrążonego w mroku kamienia ciekawy, czy zdoła zobaczyć to, co próbowała mu pokazać.

Wokół nie było nikogo. Z handlowych uliczek za łukami dobiegał stłumiony gwar. Podszedł bliżej i nagle rozpoznał przytłaczająco słodki zapach, który tak poruszył go wczoraj. Na ścianie nie było żadnych śladów. Miał przed oczami zwyczajny, betonowy blok, liczący nie więcej niż dwadzieścia, trzydzieści lat. Spodziewał się zobaczyć coś jeszcze, może starą cegłę, kamień sprzed wieków. Cokolwiek stara kobieta napisała na ścianie, zniknęło bez śladu.

Jednak nie miał wątpliwości, widział to wyraźnie. Pisała na kamieniu, który kruszył się pod jej palcem jak kreda.

⁹ Kalif: świecki i duchowy przywódca muzułmański, uważany za następcę Mahometa.

U stóp muru leżała mapa, którą upuścił uciekając. Podniósł ją. Wciąż była złożona tak, że widać było drogę powrotną do hotelu. Teraz jednak hotel był zaznaczony ciemną, owalną plamą.

Tom podniósł mapę do światła. To, co wziął za plamę, w rzeczywistości było odciskiem czyjegoś kciuka na papierze. Uznał, że ktoś dotknął mapy tłustymi palcami.

Usłyszał dochodzące z góry miękkie gruchanie. Uniósł wzrok i zobaczył Araba w turbanie gapiącego się na niego z przejścia. Arab mlasnął językiem i znów zagruchał. Był starym, tęgim mężczyzną, ale jego oczy były czujne i nagłe. Tom pochylił się i ruszył do wyjścia. Arab, zaskoczony jego reakcją, krzyknął coś niezrozumiałego.

Nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł do Bramy Damasceńskiej. W silnym świetle słonecznym spojrzął na mapę.

Odcisk był niezwykły. Z pewnością był to ślad kciuka, jednak wyglądał, jakby zostawił go ktoś, kto miał dłoń pokrytą węglowym pyłem.

Rozejrzał się dookoła w złudnej nadziei, że w tłumie zgromadzonym w Bramie Damasceńskiej znajdzie odpowiedź. Jednak turyści i handlarze ignorowali go. Spojrzął na blanki na murach miasta. Stare, kamienne umocnienia wydawały się nieprzyjemnie wilgotne, jakby pociły się w nieubłaganym, suchym żarze.

Tom schował poplamioną mapę do kieszeni i ruszył w stronę hotelu.

- Próbuję ci powiedzieć, co się stało, ale nie słuchasz. Przestałeś mnie słuchać.

- Nie, nie przestałem.

- Owszem, przestałeś - powiedziała Katie. - Wiesz, jakie to trudne? Kiedy coś ci się wyślizguje zanim zdążysz zauważyć? Jak trudno to coś zatrzymać?

Jej głos drżał. Szare oczy były lodowate, potem topniały, zamarzały, znów topniały.

- Nie wiesz, jaki to wysiłek. Jakbym była w otchłani. Wiesz, jakie to dla mnie trudne? Mówiąc do ciebie, cierpię. Za każde słowo z tej otchłani muszę zapłacić.

- Agorafobia¹⁰ - powiedział Dawid. - Rynek jest moim lękiem i przekleństwem.

Dosłowny przekład został podany z szelmowskim uśmiechem i jednoczesnym podciągnięciem spodni.

W trakcie ich rozmowy spodnie Dawida stopniowo zsuwały się spod pach gdzieś poniżej bioder.

- Kiedy ostatnio byłeś na zewnątrz?

- W Dzień Niepodległości, w 1978.

- Żyjesz w ten sposób od piętnastu lat? Jak sobie dajesz radę?

Dawid machnął ręką.

- Ludzie są mili.

Tego ranka Tom wrócił z przechadzki po Starym Mieście i chciał sobie uciąć drzemkę. Czerwcowe słońce było bezlitosne. W powietrzu wisiał kurz Starej Jerozolimy i zapach spalin. Jednak chasydzi i arabskie kobiety nosili ciężkie, czarne ubrania; najwyraźniej w Jerozolimie łatwiej jest się męczyć, niż wzbudzać niemożliwe do zaspokojenia żądze.

Po drzemce zastał Dawida na stanowisku w kuchni, pochylonego nad wymęczonym egzemplarzem *Reader's Digest*. Opowiadając o tym, jak minął mu poranek, Tom nie wspomniał o poplamionej mapie. Zamiast tego nawiązał do tradycyjnych kobiecych strojów.

¹⁰ Agorafobia: lęk przed otwartą przestrzenią. Agora (gr.): rynek w miastach starożytnej Grecji.

Dawid lekko się zachnął.

- Niegdyś w Rzymie...

- Czy każdy mężczyzna w tym mieście kieruje się wyłącznie rozpasaną żądzą, że kobiety nie mogą pokazać nawet łokcia?

- Wzywam was, córki Jerozolimy, nie czyńcie zamętu, nie budźcie mojej miłości - Dawid poprawił okulary na nosie.

- Tak, znam Pieśń nad Pieśniami. Ale to nie zmienia faktu, że kobiety muszą się gotować zamotane w koce, ponieważ błysk kawałka ręki jest dla mężczyzn nie do zniesienia.

W tym punkcie Dawid wspomniał, że wyjście na zewnątrz musi być przyjemnym doświadczeniem.

- Ludzie są mili - powtórzył, składając luźne strony *Reader's Digest*. Potem podniósł się i człapiąc wyszedł z kuchni. Tom zaczął się zastanawiać, czy go coś nie obraził albo nie zasmucił.

Postanowił przejść się na Wzgórze Oliwne do Getsemani, korzystając z chłodu wczesnego wieczora. Wiedział, że jeśli chce wrócić przed zmierzchem, musi wyjść natychmiast. Nagły impuls wyгнаł go na zewnątrz. Wrócił z dwoma porcjami lodów, jedną dla siebie, drugą dla Dawida. Nie wiedział tylko, w którym pokoju go szukać.

Z lodami, spływającymi po palcach, potrząsnął dzwonkiem wzywającym młodego recepcjonistę. Tom zapytał o numer pokoju Dawida. Chłopak z kręconymi włosami i w grubych okularach spojrzał na niego dziwnie. Wydawało się, że nie chce mieć z tym nic wspólnego.

- Na miłość boską, to tylko lody!

Odwołanie się do boskich mocy pozwoliło uzyskać informację. Tom zapukał lekko do drzwi. Dawid otworzył, spojrzał na różowo-brązowe strumyczki na palcach Toma, zdjął okulary i westchnął. Odwrócił się i usiadł w starym fotelu - z jego oparcia wyłaziło końskie włosie. Tom bez zaproszenia poszedł za nim.

Na wszystkich ścianach stały regały wypełnione książkami. Były tam też drzwi do drugiego pokoju, w którym widać było niezaścielone łóżko.

- Przyniosłem ci lody - powiedział niepotrzebnie Tom.

Dawid odetchnął i otarł oczy niezbyt czystą chusteczką.

- Przepraszam, *monsieur*. Proszę usiąść - podniósł się i z drugiego krzesła usunął stertę papierów.

- Weźmiesz ode mnie tego loda, zanim kompletnie się roztopi?

- Ależ oczywiście.

Przyjął lody w taki sposób, jakby w każdej chwili miały się zamienić w motyla. Tom z ulgą wetknął wreszcie język w topniejącą masę.

- Kiedy zobaczyłem, jak tam stoisz, ktoś mi się przypomniał. Jakaś scena z odległej przeszłości. Chociaż nawet nie wyglądasz tak jak on. Miał skórę o piaskowym odcieniu, ciemniejszą niż ty. I brązowe oczy, a ty masz niebieskie. Ale te lody, spływające ci po palcach. *C'est extraordinaire*¹¹. I jeszcze coś w twoim geście. To była nasza ostatnia, szczęśliwa, wspólna chwila.

- Kto to był?

¹¹ *C'est extraordinaire* (fr.): to nadzwyczajne, niesamowite.

- Mój ojciec. Straciłem go dawno temu.

- W jaki sposób?

- W strasznym miejscu zwanym Belsen.

Tom zamknął oczy. W jego wyobraźni przesuwały się obrazy historii jak kadry w starej kronice filmowej. Przeliczył szybko czas, jaki upłynął od momentu wyzwolenia obozów koncentracyjnych do dziś i doszedł do wniosku, że Dawid musi mieć około siedemdziesięciu pięciu lat. Duchy przeszłości. Były wszędzie wokół.

- To stare dzieje - powiedział Dawid, uwalniając go od tych myśli. - To miasto jest pełne takich historii, gdybyś kiedykolwiek chciał ich szukać. Popatrz, moje lody zniknęły!

Nagła zmiana tematu zbiła Toma z tropu.

- Tyle książek. Czy mógłbyś mi pożyczyć coś o Jerozolimie?

Dawid zdjął z półki ciężki wolumin.

- Gdyby to było możliwe, pozwoliłbym ci swobodnie korzystać z tej biblioteki. Są tu jednak rzeczy, których nie powinieneś widzieć. Podejdź tutaj.

Otworzył szafkę, z której wyjął plik plastikowych teczek. Położył je na stole. W przezroczystych, plastikowych koszulkach były szare kawałki pergaminu pokryte wyblakłym hebrajskim pismem.

- Wiesz, co to jest? Kawałki zwojów znad Morza Martwego.

- Są oryginalne?

- Oczywiście.

- Co z nimi robisz? To znaczy, chciałem powiedzieć, czy one nie są bezcenne? Myślałem, że naukowcy już dawno się nimi zajęli.

- *Monsieur*, najwyraźniej nie zdaje pan sobie sprawy, ile takich fragmentów znaleziono.

Tom przyjrzał się bliżej wyblakłym kawałkom pergaminu. Nie objawiły mu się żadne tajemnice. Cofnął się, Dawid pozbierał skrawki i na powrót zamknął.

- Trzymam je w tej szafce - powiedział. Zabrzmiało to trochę dziwnie, prawie jakby zachęcał Toma do kradzieży.

- Muszę już iść - powiedział Tom. - Chciałbym dojść do Getsemani przed zmrokiem.

- Jeśli masz zamiar iść na piechotę, zmrok zaskoczy cię zanim dotrzesz do Wzgórza Oliwnego.

- Mimo wszystko spróbuję.

- Nie zapomnij książki. I dziękuję za lody.

Wyszedł za późno, aby odbyć wycieczkę do ogrodu, w którym zdradzono Jezusa. Według Nowego Testamentu, żołnierze przybyli do Getsemani w nocy by pojmać go po zdradzie Judasza; to tam Jezus pocił się krwią; to tam poszły w ruch miecze, zanim go wyprowadzono. Tom też wolałby odwiedzić to miejsce w nocy; mógłby wejść do ogrodu i rozkoszować się ciepłym zmierzchem i słodkimi zapachami wieczoru.

Jednak miasto go rozstroiło. Wibrująca wokół przemoc skutecznie zniechęciła go do samotnych, nocnych spacerów. Turyści byli łatwym celem i gdyby nawet zdążył dojść do ogrodu przed zachodem słońca, nie zdołałby wrócić przed zmrokiem. Stał, mając za

plecami masywne bloki wschodniego muru. Za nim, w świetle zachodzącego słońca lśniła pokryta fałszywym kruszcem Złota Kopuła. W dolinie, u stóp Góry Oliwnej, wznosiła się wieżyczka grobu Absaloma i ciemne portale grobowców Jakuba i Zachariasza. Za nimi, na zboczach Góry, widniały popękane nagrobki żydowskiego cmentarza dusz czekających, by w dniu Sądu Ostatecznego powitać Mesjasza.

Kości i pył.

Tom zadrżał. Jak dotąd, Jerozolima kojarzyła mu się z rozedrganiem, jakby jej suchy klimat i falujące, gorące powietrze sprawiały, że czuł się jak we wnętrzu kubka trzymanego drżącą ręką. Gdy na chwilę przymykał oczy, czuł wyraźne wibracje.

Rezygnując ze spaceru do Getsemani odwrócił się, aby spojrzeć na mur. To, co na nim zobaczył sprawiło, że znów poczuł gwałtowny skurcz żołądka.

Słońce świeciło z przeciwnej strony miasta, podświetlało chmury i wysyłało promienie światła, jak na rysunku stworzonym ręką dziecka. Migotały odbite od złotej kopuły ponad umocnieniami. Kamienne bloki nabrały barwy spłowiałego pergaminu. Na murze, w połowie wysokości między blankami a ziemią, jak nietoperz lub ptak polujący na owada, uczepiona skały wisiała Arabka w powiewających na wietrze szatach.

Dwanaście stóp nad ziemią.

Nie było tam żadnych stopni. Ściana była gładka i doskonale pionowa. Jednak kobieta jakimś cudem wspięła się na nią, za pomocą

samych tylko rąk i paznokci. Miała na sobie tę samą brązową szatę, ten sam czarny welon opadający poniżej podbródka. Kiwała w jego kierunku, jak wtedy, gdy spotkał ją pierwszy raz.

Wnętrznosci Toma skurczyły się gwałtownie. Na udzie poczuł gorącą kroplę moczu, ziemia zadygotała pod jego stopami, w uszach usłyszał grzmot. Na błękitnym niebie pojawiła się zmarszczka, jakby nagle ugięło się pod ogromnym ciężarem. Znajomy zapach przypraw prawie go obezwładnił.

Literami wysokimi na stopę, wisząca kobieta pisała coś po arabsku na murze. Potem przeszła na alfabet łaciński i starannie zaczęła kreślić litery DE PR...

Ściana pod jej dotykiem zamieniała się w pył. Jednak litery były wyraźne, głęboko wyryte dwanaście stóp nad ziemią. Kobieta w czarnym welonie niewzruszenie drapała miękki kamień zakrzywionym palcem.

- Tom! Tom!

Usłyszał, że ktoś go woła. Głos mógłby równie dobrze dobiegać z innego kontynentu. Był odległy, przytłumiony, dochodził gdzieś spoza chmur, jak krzyki mew.

- Tom!

Poczuł rękę na ramieniu. Świat wrócił do normy. Znow zaczął oddychać.

- Tom, co się stało? Co się z tobą dzieje?

Za nim stała Sharon. Tom odwrócił się, próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie sformułować myśli i artykułować

słów. Kobieta z muru zniknęła. Litery nakreślone na kamieniu wyblakły, rozmyły się, niczym słowa napisane na piasku i uniesione wiatrem.

- Biegam za tobą po całym mieście. Sąsiad mi powiedział, że szukał mnie jakiś Anglik. Dlaczego nie zostawiłeś adresu, jakiegoś kontaktu?

- Nie... nie wiedziałem, co robić. - Tom był zdezorientowany. Znowś spojrzął na mur.

- Co się dzieje? Dobrze się czujesz?

- Myślałem, że...

- Niedobrze z tobą, co? Niech ci się przyjrę.

- To tylko żołądek. Naprawdę.

- Normalna rzecz - uśmiechnęła się Sharon. - Masz skurcze? Coś na to poradzimy. Chodź, zaparkowałam niedaleko.

Tom pozwolił się poprowadzić. Z brwi kapały mu krople potu. W dłoni Sharon połyskiwały kluczyki. Tom znowś spojrzął na mur.

- Chodźże już. Zabieram cię do siebie.

- Pamiętasz? Pamiętasz, kiedyś wcześniej wróciłam do domu i przyłapałam cię? - powiedziała Katie. - Przyłapałam cię na czytaniu Pieśni nad Pieśniami. Pomyślałam sobie, mój Boże, Tom znowu czyta Biblię. Pamiętasz, jak z ciebie drwiłam? Jak mnie to zdenerwowało? Powiedziałeś, że to najpiękniejsze dzieło literackie, jakie kiedykolwiek powstało.

- Nie pamiętam, żebym mówił coś takiego.

- Powiedziałeś. Poprosiłam cię, abys mi poczytał. Nie zrobiłeś tego. To właśnie wtedy zrozumiałam. To właśnie wtedy *naprawdę* zrozumiałam.

- Co rozumiałaś? - zapytał Tom.

- Najpierw zabiorę cię z tej wylęgarni pcheł - Sharon trzaskała filiżankami, kubkami i spodeczkami, gdzieś w tle sączyła się muzyka.

Sharon była głośna i ekspresyjna. Na początku ich znajomości właśnie ta cecha zafascynowała Toma najbardziej. Podczas pierwszego roku w szkole nauczycielskiej w jakiś nieodgadniony sposób przypadli sobie do gustu, chociaż los mógłby połączyć dwie bardziej do siebie przystające dusze. Sharon spóźniła się na pierwsze zajęcia z angielskiego i z impetem opadła na miejsce obok Toma. Niewiele usłyszał z tego wykładu. Był zbyt zafascynowany tą hałaśliwą dziewczyną o burzy blond loczków i w swetrze z nieczesanej wełny, z rękawami sięgającymi połowy jej smukłych palców.

W połowie wykładu szturchnęła go mocno w ramię i powiedziała:

- Pożycz no mi ołówek, co?

Toma z miejsca uwiódł jej akcent. Nigdy nie odzyskał ołówka, ale za to zyskał najbardziej lojalną przyjaciółkę, jaką można sobie wyobrazić.

W ich wzajemnym przyciąganiu nie było nic seksualnego. Później zdarzyło im się uprawiać seks, ale ich przyjaźń przetrwała nawet to. W tamtych czasach Tom był pełen wahań i rozterek, brakowało mu doświadczenia i - jak licealista - miał problemy z

trądzikiem. W jakiś sposób udawało im się pozostawać w przyjaźni i unikać typowych damsko-męskich napięć. Kiedy ktoś o to pytał, z lubością mówili o teorii sterylności Platona. Poza tym Sharon zawsze mawiała: „Plutoniczne. To jest plutoniczne”. I nikt, łącznie z Tomem nie wiedział, co miała na myśli.

Tom powiesił nad swoim łóżkiem *Dezyderatę*¹². Sharon przyszła kiedyś na kawę, przeczytała ją na głos z tym swoim wyraźnym manchesterskim akcentem, doszła do wersu: *Unikaj głośnych i napastliwych - są udręką ducha* i powiedziała:

- Cóż, to jasne, mam spadać, nie? Zaraz potem Tom zdjął *Dezyderatę* i wyrzucił ją.

- Właściwie to mi się nigdy nie podobało - powiedział.

- Dostałem ją od dziewczyny.

Sharon, która uznała to za dowód wielkiej wspaniałomyślności, była wzruszona. Począwszy od tamtej chwili między nimi kwitła niczym niezmacona przyjaźń. Łącząca ich więź okrzepla i nic jej nie mogło osłabić.

Różnili się od siebie, jeśli chodzi o poglądy i temperament, jednak w imię przyjaźni bez trudu radzili sobie z tym.

- Idę na spotkanie Unii Chrześcijańskiej - powiedział Tom podczas tamtego, pierwszego tygodnia. - Gdybyś poszła ze mną, znaczyłoby to dla mnie bardzo dużo.

Sharon wzruszyła ramionami i poszła bez sprzeciwu.

- Jak ci się podobało? - zapytał potem Tom.

¹² Dezyderata: poemat napisany przez Maksa Ehrmanna w 1927 r. zawierający wskazówki, jak żyć szczęśliwie.

- Chcesz, żebym była szczerą?

- Oczywiście.

- Śpiewy były beznadziejne. Gitary powinno się rozbić. Piosenki były gówniane, a pieczone ziemniaki obrzydliwe. Poza tym czułam się głupio trzymając świecę przez całą noc. Tom, naprawdę, jeśli tak pojmujesz dobrą zabawę, to cieszę się, że jestem Żydówką.

Tom zarumienił się po cebulki włosów. Nieświadomie zabrał Żydówkę na wieczór Unii Chrześcijańskiej. Nic dziwnego, że kapelan przywitał ją jakoś dziwnie.

- Tom, bądźmy poważni. Bar jest jeszcze czynny. Dużo by dla mnie znaczyło, gdybyś poszedł ze mną.

Tak więc ich znajomość przetrwała. Z czasem, spotkania Unii Chrześcijańskiej stały się dla Toma czymś w rodzaju *Dezyderaty*. „Zapominał” na nie chodzić. Nie w tym rzecz, że stracił wiarę jako chrześcijanin - tłumaczył; po prostu stracił ochotę na pieczone ziemniaki. Nie osądzali się wzajemnie, ani nie prosili o nic w imię kompromisu. Ludzie czasem pytali „właściwie dlaczego się z nim/nią trzymasz?”. Odpowiadali wtedy: „ponieważ on/ona nigdy mnie nie obgaduje za moimi plecami” w taki sposób, że natychmiast uciszało to pytającego.

W college’u Sharon zmieniała się średnio co tydzień. Raz była blondynką, raz brunetką, albo brunetko-blondynką, bywała ruda, kruczoczarna, marchewkowa i jakkolwiek można by określić kogoś, kto miał włosy jaskrawozielone. Teraz, w hotelu, kubkami i talerzykami hałasowała blondynka ze srebrzystymi pasmami we

włosach. Jej twarz przez ostatnie lata wyraźnie zaznała zbyt dużo słońca, ale semickie brązowe oczy przywodziły na myśl młode kobiety oddające się niegdyś sakralnej prostytucji.

- Jesteś nader pociągająca - powiedział Tom.

- Co? - roześmiała się Sharon, odgarniając z oczu blond kosmyki.

- Powiedziałem, że jesteś nader pociągająca. Zawsze byłaś pociągająca. Dlatego mężczyźni nie chcą zostawić cię w spokoju.

Tom obserwował to z dość bliskiej perspektywy. Prawda była taka, że i Sharon nie potrafiła zostawić mężczyzn w spokoju. Miała serce, które mogło pęknąć i wrócić do normy w ciągu kilku dni. Jeszcze w studenckich czasach Tom często zastawał ją w powodzi łez; co gorsza, czasami pocieszał też różnych młodych ludzi rozpaczających z powodu Sharon. W tamtych czasach w jego własnym życiu miłosnym działo się bardzo niewiele.

- Te romanse - powiedział jej raz - nikomu chyba nie dają *szczęścia*.

- Szczęścia? - Sharon przestała płakać, żeby wydmuchać nos. - To nie o szczęście tutaj chodzi.

- W takim razie o co?

Cisza.

- O doświadczenie.

Jeszcze długo potem Tom sądził, że może to jego życie podąża niewłaściwym torem.

- Więc rzuciłeś nauczanie? - zapytała Sharon. Tom był nauczycielem od czasu uzyskania dyplomu. Sharon z kolei nigdy nie wykorzystwała swoich kwalifikacji. Była przewodnikiem wycieczek w Hiszpanii, pracowała w klubie na Wyspach Kanaryjskich, prowadziła hotel sieci Butlins Redcoat, obozy przetrwania, żyła w kibucu... Teraz mieszkała w Izraelu i pracowała jako doradca kobiet z problemami alkoholowymi. Gdzieś po drodze zrobiła dyplom z psychoterapii.

- Kiedy przeczytałam twój list, nie mogłam w to uwierzyć.

- Aha. Po prostu zrezygnowałem.

- Powiesz mi, dlaczego?

Sharon zobaczyła na jego twarzy cień niechęci, więc szybko zmieniła temat.

- Dobra, zajmijmy się kwestiami praktycznymi. Jest tutaj wolny pokój. Zostań, jak długo zechcesz.

- A co z czynszem?

- Nonsens! W rewanżu wkładaj coś do lodówki. Skończ herbatę i pojedziemy po twoje rzeczy. Jak ci się podobało mieszkanie tak blisko Me'a She'arim?

- Wszyscy tam wyglądają jak Mojżesz w surducie.

- Chasydzi. - Sharon wymówiła to słowo, jakby miała coś paskudnego na końcu języka. - Nie osądzaj Żydów na podstawie ich zachowania. Izraelczycy w większości są zlaicyzowani i nie znoszą ich. Wiesz, że niektóre z tych chasydzkich sekt nawet nie uznają

Izraela? Nie płacą podatków; nie pozwalają swoim synom iść do wojska; z pewnością jednak chcą ochrony przed Arabami.

- To dlaczego tam żyją?

- Czekają na Mesjasza - ale nie na waszego Mesjasza: Jezus nie był nim w wystarczającym stopniu - a dopóki Mesjasz się nie objawi, nie ogłoszą istnienia Izraela.

- Skąd będą wiedzieć, że się objawił?

- Nie będą wiedzieć. Ale będą się o to kłócić.

- Poważnie. Jeśli ktoś twierdzi, że jest Mesjaszem, to skąd będą wiedzieć, że tak jest?

- Znaki. Będą znaki. Znasz mój, swój i nawet arabski punkt widzenia na te sprawy. To jest Jerozolima, miasto znaków.

W hotelu, podczas gdy Sharon czekała na zewnątrz w samochodzie, Tom pozbierał swoje rzeczy. Chciał pożegnać się z Dawidem, ale nie zastał go w kuchni. Poszedł do jego pokoju i zapukał lekko do drzwi. Nie doczekał się odpowiedzi, ale wewnątrz usłyszał hałas, więc zapukał raz jeszcze. Dawid pojawił się w końcu, zamotany w obszerny, tartanowy szlafrok. Wyglądał upiornie.

- *Monsieur* - powiedział z trudem - jak pan widzi, jestem niedysponowany.

- Dawidzie, co ci jest? Wyglądasz okropnie.

- Twoje lody mnie załatwiły. Wygrałeś. Zabieraj swoje łupy.

Tomowi wydawało się, że Dawid lekko majaczy.

- Może ci coś przynieść? Kogoś powiadomić?

- Nic i nikogo. Rób, co masz robić i odejdz proszę.

Z tymi słowami Dawid poczłapał do sypialni, wgramolił się do łóżka pełnego koców i zwinął się w drżący kłębek.

Tom pomyślał o Sharon czekającej w samochodzie. Znalazł pusty kieliszek po winie, napełnił go wodą z kranu i postawił na stoliku przy łóżku. Potem wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zadzwonił na recepcjonistę, ale nikt się nie pojawił. W hotelu nikogo nie było.

- Cholera - powiedział, wsiadając do auta.

- Co się stało?

- Jest tam pewien staruszek. Chciałem się pożegnać, ale on jest wyraźnie chory i nie powinienem go tak zostawiać. Nie czuję się z tym dobrze.

- To twoja wina, że jest chory?

- Nie.

- Dobra - powiedziała Sharon, wciskając gaz. - A więc Jerozolima nocą.

Tom powoli wyłaniał się z objęć kaca, chociaż usta nadal paliły go od kwaśnego piwa Maccabee. Sharon włączyła go po barach, ale wbrew jego obawom, imię Katie nie padło ani razu. Spędził męczącą noc. Potem, już w łóżku, zasnął i śniło mu się, że ktoś szepcze mu coś do ucha w języku, którego nie potrafił zrozumieć, ale o którym wiedział, że powinien go znać.

Tutaj przynajmniej nikt nie pukał nocą do drzwi.

Kiedy nagi przewracał się z boku na bok, popatrzył na mały tatuaż tuż nad kostką. Zawsze przyglądał mu się, kiedy miał kaca. Zrobił go po dwóch latach małżeństwa. Jako środkowy w Lidze Niedzielnej pojechał ze swoją drużyną piłkarską na tydzień do Dublina. Którejś nocy, pod wpływem zdecydowanie dużej ilości Guinnessa, przegrał coś w rodzaju zakładu. Dlatego musiał zrobić sobie tatuaż.

Wybrał miejsce tuż nad kostką, jako najmniej rzucające się w oczy. Choć był nieco zamroczony, ku rozczarowaniu swoich równie zamroczonych kolegów z drużyny wybrał wzór bez ich pomocy. Zanim wrócił z Dublina, obrazek pokrył się strupkiem.

- Co to do diabła jest? - zapytała Katie, zobaczywszy ranę.
- Tatuaż.
- Co?
- Tatuaż.

- Tom! To jeden wielki strup.

- Teraz tak. Ale po jakimś czasie strup odpadnie, a pod spodem będzie śliczny, kolorowy tatuaż.

- Ty durniu! Ty kompletny durniu!

- Może i masz rację.

- Co jest na tym obrazku?

- Poczekaj, to się przekonasz.

- Pojechałeś do Dublina i wróciłeś z tatuażem!

Przez następnych kilka dni Katie nie mogła się powstrzymać od manipulowania przy wyschniętym strupie. Długimi, zadbanymi paznokciami drapała delikatnie tak długo, aż wyschnięta skóra i krew odpadły.

- To są święte kolory - odetchnęła zdumiona.

Tom nic nie wiedział o świętych kolorach. Po prostu wytatuował sobie czerwone serce na purpurowo-szarym tle i wygięty, żółto-złoty napis. KATIE. NIEŚMIERTELNA. MIŁOŚĆ.

Katie była przestraszona i zachwycona zarazem. Z niedowierzaniem potrząsnęła głową i potrząsała tak przez dziesięć lat, za każdym razem, gdy patrzyła na tatuaż.

Sharon poszła do pracy. Tom ubrał się i przez godzinę kręcił się po mieszkaniu bez celu, aż w końcu postanowił odwiedzić Dawida. Żał mu było tego niechlujnego, zaniedbanego, mądrego człowieka w workowatych spodniach. W takim miejscu stary człowiek pokroju Dawida mógł łatwo umrzeć i nawet nikt by tego nie zauważył. Poza

tym, w tym mieście miast, odwiedziny takie wydawały się być właściwą rzeczą.

- Pamiętaj, że jutro jest piątek - powiedziała mu w nocy Sharon.

- No to co?

- Muzułmanie nie pracują w piątki. Żadnych arabskich autobusów, taksówek ani sklepów. Żydzi nie pracują w soboty. A twoi ziomkowie nie pracują w niedziele.

- To tylko połowa miasta.

- Słusznie.

Zastał Dawida myjącego szklanki, jak zwykle na posterunku w kuchni.

- Tom! Słyszałem, że się wymeldowałeś. Wyglądało na to, że wydobrażał od wczoraj, chociaż sprawiał wrażenie nieco ospałego.

- Tak. To właśnie chciałem ci wczoraj powiedzieć. Czujesz się lepiej?

- *Monsieur*, czy może mi pan wybaczyć? Wygląda na to, że jestem panu winien przeprosiny.

Tom, zbity z tropu, poszedł do piekarni po *baklavę*¹³, a Dawid w tym czasie zaparzył świeżą kawę. Potem poszli do jego pokoju.

- A za co tu przeproszać?

- Najpierw zjedzmy!

Tom zdążył zakleić się *baklavą*, zanim Dawid podjął wątek dość formalnym tonem.

- Sądzę, Tom, że celowo otrułeś mnie lodami.

¹³ Baklava: turecki, bardzo słodki deser z miodem i orzechami

Tom parsknął śmiechem, oblizując palce. Potem zobaczył, jak za szklami okularów źrenice Dawida powiększają się. Był całkowicie poważny.

- Zwariowałeś.

- Jestem trochę paranoikiem, ale nie wariatem.

- Ale ja nie chodzę i nie truję ludzi.

- Teraz to rozumiem. Ale, tak jak ci powiedziałem, popełniłem błąd.

- Ale kto miałby ci to zrobić?

- Uwierz mi, są tacy ludzie.

- Dlaczego?

Dawid podniósł się i otworzył szafkę.

- Zwoje, *monsieur*. Zwoje. Wyciągnął plastikowe teczki.

- Są niewiele warte.

- Nie nadążam za tobą.

Dawid położył teczki na stole i w zamyśleniu spoglądając przez okno, oparł ręce na biodrach.

- W 1947 roku beduińscy chłopcy znaleźli pierwsze zwoje w dzbanach, w jaskini w pobliżu Morza Martwego. Na szczęście pomyśleli, że mogą być coś warte, więc zanieśli je do antykwariusza w Betlejem. W ciągu następnych kilku lat jaskinie zostały dosłownie przeryte i przez Beduinów i przez archeologów. Znaleziono setki różnych fragmentów. Setki.

Niektóre z nich były biblijne, jak kopia Księgi Izajasza, o tysiąc lat wcześniejsza od najstarszej znanej. To pozwoliło ustalić, że Stary

Testament powstał na długo przed spisaniem tych zwojów, i że nieco się od nich różni. Jednak inne zwoje nie były biblijne. Zawierały nowe treści; nosiły tytuły takie, jak „Wojna Synów Światła z Synami Ciemności” i „Instrukcja Ćwiczenia Charakteru”. Takich fragmentów były tysiące.

Ktoś nielegalnie zatrzymał sobie jeden z takich zwojów, zwany „Zwojem Świątynnym”, który następnie trafił w ręce arabskiego handlarza. Profesor Yadin całe lata zabiegał o jego zwrot. Żądano wielkich sum pieniędzy. Potem, w czerwcu 1967 roku wybuchła Wojna Sześciodniowa.

Profesor Yadin był także starszym doradcą wojskowym. W trzecim dniu wojny usłyszał, że Wschodnia Jerozolima jest w rękach Izraelczyków. Sklep arabskiego handlarza znajdował się na tym właśnie terytorium. Yadin posłał więc dwóch oficerów wywiadu, którzy włamali się do sklepu i zabrali zwój. Był w pudełku po butach, owinięty w ręcznik i celofan - możesz to sobie wyobrazić?

Znaleźli tam także poplamione kawą pudełka po cygarach, wypełnione innymi fragmentami zwojów, nie mającymi nic wspólnego ze „Zwojem Świątynnym”.

- Skąd tyle o tym wiesz?

Kiedy Dawid odwrócił się od okna, Tom już znał odpowiedź.

- Zatrzymałem jedno z takich pudełek. Mój kolega zabrał drugie. Trzecie pudełko po cygarach i karton po butach dostarczyliśmy Yadinowi.

Tom podniósł się i spojrzał na teczki rozrzucone na stole. Strzępki papieru o ziemistym kolorze zdawały się nieść złowieszcze przesłanie.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie mogliby cię zabić, aby dostać te kawałki?

- Nie chcą mojej śmierci, ponieważ wtedy nie dowiedzieliby się, ilu fragmentów powinni szukać. Ale w jakiś sposób odkryli, że je mam i bardzo chcą je dostać. A na wypadek, gdybyś uznał mnie za starego paranoika, powiem tylko, że składano mi rozliczne wizyty w tej sprawie.

- Wizyty?

- Tak. Franciszkańskich uczonych, profesorów uniwersyteckich, zarówno syjonistycznych, jak i świeckich. Przedstawiciele Watykanu. I oficerów wywiadu rządu Izraela. Wszyscy byli bardzo przyjaźni. Przez ostatnie dwa lata zadawali mi cywilizowane, bardzo grzeczne pytania. A gdybyś się zastanawiał, co się stało z moim kolegą, który zabrał drugie pudełko, to umarł rok temu na atak serca. Dlaczego nie? Był starym człowiekiem, tak jak ja. Jednak zanim umarł, przekazał mi swoje fragmenty zwojów. Ponieważ, jak powiedział, bał się.

- Jeżeli te skrawki są takie cenne, dlaczego w ogóle mi je pokazujesz? Dlaczego z rozmysłem pokazałeś mi, gdzie je przechowujesz? Nawet teraz mógłbym je ukraść.

- A kradnij. No dalej. To fałszywki.

- Fałszywki! To staje się coraz bardziej absurdalne!

- Ciebie też podejrzewałem. Pozwoliłem, aby moja paranoja wzięła górę i sprawdzałem cię. Rozchorowałem się i wtedy naprawdę sądziłem, że otrułeś mnie lodami. Myślałem, że masz zamiar ukraść te podróbki, bardzo dobre zresztą. Gdybyś na nie czyhał, nie zorientowałbyś się. Ale ich nie zabrałeś: twoje motywy były czyste.

- Czy to kopie prawdziwych zwojów?

- Nie. Zawierają obliczenia budowlane dotyczące świątyni z czasów Heroda. Prawdziwe są znacznie bardziej interesujące.

- Więc gdzie są prawdziwe?

Dawid zrobił gest, jakby grał Żyda na scenie.

- Monsieur!

- Głupie pytanie. Dlaczego jednak dzielisz się ze mną tymi wszystkimi informacjami?

Stary człowiek zdjął okulary.

- Ponieważ chcę, abyś wywiózł zwoje z Jerozolimy.

Tom zlizął z palców resztki miodu z *baklavy*.

- Dlaczego ja? Dlaczego uważasz, że się do tego nadaję?

- Nie każdy się nadaje.

Mniej więcej to samo Dawid powiedział tego dnia, kiedy zapytał Toma, czy jest Żydem.

- Ale ktoś musi. Ty nie masz w tym żadnego interesu. Nie dbam o to, dokąd zabierzesz te przeklęte zwoje. Zawieź je na jakiś uniwersytet w niepozornym miejscu w sercu Anglii, w cichy zakątek, gdzie jakiś profesor teologii dowie się, o co w nich chodzi. Bylebyś zabrał je z Jerozolimy.

- Dlaczego nie możesz po prostu przekazać ich do École Biblique¹⁴?

Twarz Dawida poczerwieniała. Na czoło wystąpiły mu żyły.

- Tym głupcom! Od ponad czterdziestu lat trzymają łapę na zwojach i nie pozwalają, aby inni uczeni choćby się do nich zbliżyli, ujawniając tylko strzępy nic nieznaczących informacji. Światło dzienne ujrzało mniej niż sto z pięciuset manuskryptów.

- Muszą przecież chronić je przed czynnikami fizycznymi.

- Nie bądź idiotą! Nie słyszałeś nigdy o fotografii? Nie wypuszczą ze swoich szponów nawet *kopii* zwojów. Tylko dzięki przypadkowi ich zdjęcia jakimś cudem dostały się w ręce naukowców w Stanach Zjednoczonych. Zaczęli je publikować, a teraz są

¹⁴ École Biblique: najstarsza katolicka uczelnia w Jerozolimie.

traktowani jak złodzieje. Przez czterdzieści lat ten... komitet siedzi na skarbach cywilizacji jak smok w ciemnej jaskini. Pomyśl o naukowcach, moich przyjaciółach, o wszystkich ludziach, którzy zginęli zniszczeni przez egoizm i zawiść - i kto wie, przez co jeszcze? - walcząc o dostęp do tajemnic naszej kultury, cywilizacji, o nasze człowieczeństwo. Chce mi się płakać na samą myśl.

Dygotał z gniewu. Wyczerpany własnym wybuchem opadł na krzesło.

- Jest coś, co musisz zrozumieć - powiedział, kiedy trochę się uspokoił. - To jordański król Hussein, pod którego rządami znajdowała się wówczas wschodnia Jerozolima, przekazał kontrolę nad manuskryptami naukowcom z École Biblique. To oczywiście żydowskie zwoje, a mimo to oddano je uczonym chrześcijańskim. Członkowie zespołu wyznaczonego do ich publikacji to byli wyłącznie chrześcijanie, a kierował nimi dominikański mnich.

- Czy ty sugerujesz, że odkryli rzeczy...?

- Oczywiście, że tak! Kilka z tych zwojów spisano tuż przed, albo w czasach Jezusa Chrystusa. Pochodzące z nich informacje prawdopodobnie podważyłyby podstawy chrześcijaństwa.

- To poważne stwierdzenie.

- Może się okazać, że chrześcijaństwo opiera się na wielkim kłamstwie.

- Ja jestem chrześcijaninem - powiedział kwaśno Tom. - Co każe ci przypuszczać, że chciałbym mieć udział w podkopywaniu fundamentów własnego kościoła?

Dawid wzruszył ramionami.

- Nic. Widzę tylko to, co widzę. I uważam, że jesteś osobą, która nie boi się prawdy.

Nie boi się prawdy. Myśli Toma pomknęły do ostatniego dnia w szkole: zobaczył dyrektora próbującego wyperswadować mu zamiar odejścia i siebie samego spoglądającego przez chłostane deszczem okno na zielone boiska, ledwie słuchającego, co miał do powiedzenia Stokes. *„Jeśli to tylko kwestia kilku słów nasmarowanych na tablicy... mogę pana zapewnić...”*.

Potrząsnął głową. Dawid zauważył, że Tom wyłączył się na chwilę, więc nieco złagodził swoją wypowiedź.

- W każdym razie zawartość zwojów wycieka, pomimo wysiłków kartelu, który trzyma na nich łapę. Kawaleczki, które są w moim posiadaniu, to tylko elementy układanki. Nie będę cię do niczego namawiał.

Tom, poirytowany i niezadowolony, wracał piechotą przez Stare Miasto. Powątpiewał w fantazje starego człowieka i lekcewał jego obawy. Pewne fragmenty zwojów faktycznie mogły się znaleźć w posiadaniu Dawida. W końcu istniały gdzieś tysiące skrawków manuskryptów, tyle sam wiedział. Nie zamierzał też podważać tego, co Dawid mówił o hordzie zawistnych naukowców. To nie byłby pierwszy międzynarodowy skandal.

Teraz jednak Dawid próbował go złowić do jakiejś paranoicznej sieci tylko dlatego, że któregoś dnia podał mu szklanekę wody. A co

oferował w zamian? Niewielki udział w sporze o pochodzenie chrześcijaństwa? Sympatyzował z uczonymi twierdzącymi, że dokumenty są żydowskie, ale jeśli powstały w czasach Chrystusa, to czy nie były również chrześcijańskie?

I czy naprawdę go to obchodziło? Jeśli wielcy uczeni wystarczająco długo będą ślęczeć nad zwojami znad Morza Martwego, czy zmieni to znacząco czyjeś życie? Przechodząc przez Bramę Damasceńską i zmierzając na spotkanie z Sharon postanowił, że więcej nie spotka się z Dawidem.

Sharon obiecała, że zabierze go po pracy z okolic Bramy Głównej. Idąc w stronę Ściany Płaczu minął Górę Świątynną. Dźwięk niosący się z meczetu El Aqsa sprawił, że przystanął i zaczął słuchać.

Był to *adhan*, wezwanie do popołudniowej modlitwy. *Adhan* rozlegał się pięć razy dziennie, więc Tom zdążył przyzwyczać się do tego egzotycznego spektaklu. Dzisiaj jednak z minaretu słychać było ludzki głos, a nie jak zwykle, nagranie z taśmy. Głos był inny, różnił się od tego, co słyszał wcześniej.

Pieśń niewidocznego *muezzina*¹⁵ była słodka; płynęła w powietrzu jakby unoszona ciepłymi prądami. Pod jej wpływem spojrział w górę. Po zachodniej stronie nieba widać było płomienną, czerwoną kulę.

Allahu akhbar. La ilaha il'Allah Muhhamadun rasan Allah.

Znał tę litanię. To pierwsze słowa szeptane do uszu muzułmańskich dzieci i ostatnie słowa wypowiedane w obliczu śmierci. Zaczynały i kończyły każdy dzień. *Bóg jest wielki. Nie ma*

¹⁵ Muezzin: osoba wzywająca muzułmanów do modlitwy.

boga przed Allahem, a Mahomet jest jego prorokiem. Dzisiaj brzmienie *adhan* sprawiło, że na przedramionach poczuł gęsią skórę i ciepły powiew na karku. Słowa unosiły się w niebo nad Świętym Miastem i frunęły w stronę słońca jak złotawe ptaki.

Tom był dumny z wiedzy o innych religiach, jednak ta chwila głęboko go poruszyła. Uświadomił sobie, z jakim samozadowoleniem udawał sympatię wobec odmiennych systemów wiary. Z wyjątkiem bardzo krótkiego okresu, kiedy to miasto zdobyli krzyżowcy, przez 1500 lat należało do muzułmanów. Poczucił się tak, jakby głos islamu dotknął go nagle jak język węża.

Pośpiesznie ruszył w stronę Ściany Płaczu, chcąc dotrzeć do leżącej za nią bramy Nowego Miasta. Miał nadzieję, że przyziemne odgłosy ruchu ulicznego i ryk silników, napędzanych siłą nowoczesnych technologii, przywrócą mu poczucie właściwego porządku rzeczy. Jednak coś stanęło mu na przeszkodzie.

Aby dostać się z drogi El Wad do Ściany Płaczu należało przejść przez tunel i kołowrót przy posterunku obsadzonym przez uzbrojony, izraelski oddział. Tom usłyszał podniesione głosy i wyczuł napięcie w małym tłumku blokującym przejście. Usłyszał męski głos podnoszący się do krzyku. Wrzawa odbijała się echem od ceglanych ścian, a potem rozległy się dwa stłumione strzały z karabinu.

Tłum przed nim wzniósł się jak morska fala i ludzie zaczęli biec w jego stronę. Jakiś człowiek potknął się i runął w kurz. Tom nie miał pojęcia, co się dzieje. Mijali go biegnący ludzie. U jego stóp wylądowała dymiąca puszcza, a on stał jak wrośnięty w ziemię. Ktoś

krzyknął do niego po arabsku, może po hebrajsku, nie wiedział. Potem za ramię złapał go młody Arab.

- Gaz! Nie stój tak! To gaz łzawiący!

Tom gapił się na niego z otwartymi ustami. Wreszcie ruszył z tłumem. Ludzie krzyczeli. Usłyszał tępy huk, następna puszka uderzyła w ziemię gdzieś przy jego piętach. Tłum biegł w górę El Wad. Poczł, że ze strachu zmięły mu nogi. Mała grupka młodych ludzi oderwała się od uciekających i wpadła w wąskie uliczki między El Wad a murami Góry Świątynnej. Pobiegł za nimi. Grupka szybko zniknęła mu z oczu. Tom usłyszał, że ktoś za nim biegnie. Obejrzał się i zamarł. Zobaczył izraelskiego żołnierza, ten minął go jednak i pobiegł za grupką zmierzającą na Wzgórze Świątynne.

Z bocznej alejki ktoś do niego machał, przywołując go. W cieniu budynków nie rozpoznał twarzy. Ktoś gestykulował ponaglająco opalonym, wyciągniętym ramieniem, wskazując mu bezpieczne miejsce. Wbiegł w alejkę.

Stanął jak wryty. Była to kobieta w czarnym welonie. Tkwiała w cieniu uliczki, ręką przytrzymywała swoją starą szatę na karku. Obnażone dłonie i nadgarstki były suche i pomarszczone jak stare zwoje, ale z za woalu widział jasny błysk oczu. Drżącą, wyciągniętą ręką wskazała coś na ścianie. Na kamieniu widniały wysokie na stopę litery w kolorze przydymionej żółci: DE PROFUNDIS CLAMAVI.

Tom miał tylko sekundę, aby ogarnąć tę scenę. Za sobą usłyszał głośne, metaliczne szczęknięcie. Odwrócił się i zobaczył izraelskiego żołnierza z automatem wycelowanym w jego głowę. Twarz żołnierza

była napięta, czerwona i zniekształcona grymasem gniewu i strachu. Coś wrzeszczało. Tom nie potrzebował tłumacza, aby zrozumieć, że ma się wynosić z tego terenu. Żołnierz wrzasnął na niego jeszcze raz i Tom pobiegł z powrotem w stronę El Wad.

Żołnierze byli wszędzie. Cienkie smużki brudnobiałego dymu snuły się po El Wad. Próbował wrócić do Bramy Damasceńskiej, ale został skierowany do części chrześcijańskiej, gdzie dołączył do turystów spychanych w stronę Świętego Grobu. Stamtąd, przez Bramę Jaffy, wydostał się ze Starego Miasta.

Żołnierze na posterunkach przeszli ze stanu rutynowej ospałości do stanu pełnej mobilizacji. Stali wszędzie z bronią w rękach.

Cokolwiek się wydarzyło, sytuacja wracała do normy. Wyglądało na to, że niebezpieczeństwo minęło, jednak ulice wokół Bramy Jaffy pełne były podekscytowanych ludzi. Gromadzili się w małych grupach i dyskutowali z ożywieniem. W powietrzu unosił się zapach strachu i niepewności, jak ozon po uderzeniu pioruna. Mury wibrowały żarem i napięciem, a niebieskie niebo nad Jerozolimą na chwilę pociemniało.

Tom oparł się o ścianę próbując uspokoić oddech i zorientować się, co się właściwie stało. Z jego ust popłynęły przekleństwa na zmianę z modlitwami.

Spędzali wieczór na przyjęciu u tego samego nauczyciela, u którego poznali się przed laty. Od tamtego czasu minęło dwanaście lat, a gospodarz nie był już nauczycielem. Sprzedawał ubezpieczenia na życie i nosił na głowie tupecik w kolorze wypolerowanego dębu. Któregoś dnia zawitał do domu Katie i Toma ze skórzaną aktówką i imponującym laptopem. Nie dopuszczał możliwości, że mogą odmówić ubezpieczenia i udziału w przyjęciu. Katie chętnie przystała na imprezę, ale nie pozwoliła sobie wcisnąć polisy. Tom sugerował, aby zrobić odwrotnie, ale Katie postawiła na swoim.

Patrzył, jak Katie nakłada szminkę, wydymając usta do lustra. Pod jego chłodnym spojrzeniem wbiła się w obcisłą, czarną sukienkę. Zobaczył uda, które niegdyś omal nie przyprawiły go o zawał serca. Zastanawiał się, co stało się z jego pożądaniami.

- Dostyc krótką - zauważył.

- Tak? Może za bardzo?

- Nie, w porządku.

Żałował, że w ogóle się odezwał. Tak łatwo było zachwiać jej pewnością siebie.

Na przyjęciu mieli nadzieję spotkać znajomych z dawnych czasów, jednak okazało się, że nie znają prawie nikogo. Tylko muzyka była taka sama, przeterminowana o przeszło dekadę. Tom zastanawiał się, czy muzycy z kapeli też noszą teraz tupeciki w

kolorze dębu. Wokół było mnóstwo ludzi. Katie natychmiast zniknęła gdzieś z gospodarzem. Tom poszedł do kuchni po piwo. Pilnował go jakiś pijak z ogromnym, nastroszonym wąsem zabarwionym nikotyną. Osaczał trzech, czy czterech równie jak on ponurych gości.

- To była prosta robota! - ryczał. - Ustawiona. Wszystko było nagrane, a jednak coś poszło nie tak.

Jego wyłupiaste oczy szukały kogoś, kto by się z nim pokłócił. Chętnych jednak nie było.

- Na rany Chrystusa, robicie, kurwa, dokładnie to samo!

Tom wycofał się do holu. Katie otaczało trzech facetów w garniturach. Skrzywił się. Kto przychodzi na imprezę w garniturze? Znowu poszedł do kuchni, gdzie wszyscy unikali wzrokowego kontaktu z pijakiem. Natychmiast przyczepił się do Toma.

- Jesteś mesjaszem, zgadza się? - powiedział.

- Ja?

- Tak. I musisz to udowodnić. Znasz wszystkie proroctwa, tak?

- Znam?

- Owszem, znasz. Bo jesteś pieprzonym rabbim. Był nim Jezus, z długiej linii pieprzonych rabbich. Więc znasz Pismo Święte na wylot, nie?

Na szczęście przyssał się do piwa, raz po raz ścierał pianę z wąsów i energicznie kiwał głową, przytakując własnemu bełkotowi.

- Nie znoszę ludzi, którzy na imprezach mówią o religii - zażartował Tom, wywołując chichot gości zgromadzonych w kuchni.

- Ja też - oświadczył pijak, chwytając go za ramię. - Weź następne piwo. Weź dwa. Więc wiesz, że musisz wypełnić wszystkie proroctwa. Musisz wynająć kogo trzeba, nie? Zapłacić klakierom, żeby śpiewali o tobie w Jerozolimie, i takie tam. Każdy szczegół musisz starannie dopracować.

Dawał przedstawienie godne wiktoriańskiego aktora. Tom chciał wyjść, ale nie mógł się od niego uwolnić.

- Wiesz nawet, że cię ukrzyżują, nie? Bo Jerozolima jest pełna potencjalnych mesjaszów, a tam to właśnie z nimi robią. Ale jest w tym coś magicznego: znalazłeś sposób, żeby przeżyć na krzyżu, nie? I wtedy - pijak spojrzał ponad ramieniem Toma. - Jezusie, Matko Boża, popatrz na tę napaloną dziwkę w czarnej sukience. To się nazywa gorąca kobieta. To właśnie nazywam mową ciała. To po prostu...

- To moja żona - powiedział Tom.

- O cholera. Przepraszam. Bez urazy.

- Może powinienem wybić ci zęby - Tom nie żartował.

Tom był wysoki i atletycznie zbudowany. Pijak zachwiał się i spojrzał w górę na jego twarz. Pozostali mężczyźni cofnęli się o kilka cali. Pijak nadstawił prawy policzek.

- Dalej. Należy mi się. Walnij mnie. Na tym drugim mam wrzód.

Tom swoją dużą dłoń odepchnął jego twarz. Zabrał piwo i wrócił do holu.

Kilka godzin później zobaczył go, jak klei się do Katie. Wiedział, że sama potrafi o siebie zadbać, ale zaraz przypomniał

sobie, że też był pijany, kiedy przed laty w tym samym pokoju spotkał ją po raz pierwszy. Dołączył do nich.

- Ja tylko przeproszałem - powiedział pijak z wilgotnymi, wyłupiastymi oczami pryskając śliną w stronę Toma - za swoją wcześniejszą gafę.

- To prawda - powiedziała Katie.

- Ta kobieta to apoteoza kobiecości. Jeden z serafinów. Wierz mi. Znam się na tym - zachwiał się niebezpiecznie.

- Cóż, właśnie wychodzimy.

- Pilnuj jej - wybełkotał pijak. - To pieprzony serafin!

Gospodarz imprezy stał przy drzwiach i podawał im płaszcze.

- Co to za troglodyta? - zapytał Tom.

- Wybaczcie - powiedział gospodarz, próbując niezgrabnie pocałować Katie w policzek. - To mój brat. Właśnie zawiesił sutannę na kołku.

- W tym kraju, jeśli słyszysz, że ktoś krzyczy „Bóg jest wielki”, po prostu natychmiast uciekaj.

Sharon rzuciła tę uwagę, kiedy szli wzdłuż murów Starego Miasta, od Bramy Syjonu do Bramy Damasceńskiej. Reszta obszaru była zamknięta w wyniku wczorajszej strzelaniny. Liczba żołnierzy na murach została podwojona. Wyglądali na podenerwowanych.

- Gazety podały jakieś wyjaśnienie?

- Nigdy nie podają wyjaśnień. Wiadomo tylko, że młody Arab z nożem w ręce biegł ulicami i krzyczał właśnie „Bóg jest wielki”, raniąc po drodze dwóch Żydów. Żołnierze go zastrzelili, a potem ścigali każdego Araba w okolicy i bili do upadłego.

- Co spowodowało ten wybuch? Co sprawiło, że to zrobił?

Zatrzymali się przy Wieży Dawida i oparli o ścianę, spoglądając na dzielnicę ormiańską. Sharon zapaliła małego, pogniecionego papierosa, a Tom rozpoznał zapach haszyszu.

- Nie ma prostego wytłumaczenia. To część *intifady*, powstania palestyńskiego. Oni postrzegają je jako nieustającą walkę o wydarcie tej ziemi Żydom. Dla nas to stały element gry; zostajemy. I tyle. Sprawy raz po raz wymykają się spod kontroli właśnie w taki sposób.

- Ale dlaczego robią to z Bogiem na ustach? Dla mnie to nie ma żadnego sensu.

- Nie, dla ciebie nie. Ale dla Palestyńczyków - i niektórych tutejszych, skrajnie ortodoksyjnych Żydów - religia i polityka są nierozłączne. Dokładnie tak, jak w czasach powstania tego miasta, albo w czasach Jezusa.

- Jak długo to potrwa?

- Obawiam się, że wiecznie.

Spacer po murze był pomysłem Sharon. Stąd, jak powiedziała, będzie miał lepszy widok na miasto. Cieszył się z jej towarzystwa. Uzbrojeni żołnierze spoglądali na nią z wyrazem smutku i tęsknoty w oczach. Sprawiała, że Tom nie był już bezimiennym, naiwnym turystą. W obecności Sharon nie czuł się jak cel potencjalnego ataku, jej siła i pewność siebie chroniły go przed duchami miasta. Teraz wyraźnie czuł przemoc emanującą z metropolii. Nie wiedział, co przerażało go bardziej. Czekał na stosowny moment, aby zwierzyć się jej z tego, co mu się przydarzyło. Bał się, że jeśli zacznie mówić w nieodpowiedniej chwili, zapłacze się, albo, co gorsza, wszystko mu się pomiesza w głowie i nie będzie w stanie złożyć tego w całość.

Wydmuchnęła smuzkę dymu ze skręta.

- Co sądzisz, patrząc na nie z góry?

- Wciąż jest piękne.

Wskazała leżące poniżej dzielnice.

- Cztery dzielnice. Każda z nich zawiera dwadzieścia pięć procent głupoty i tyleż bredni. Widzisz tych Żydów i ich Ścianę Płaczu? Połowa z nich nie wie nawet, co to jest. Myślą, że to ściana świątyni Salomona. Widziałeś, jak w szpary między ceglami wtykają

karteczki z prośbami? Wydaje im się, że Bóg jest pajakiem czy co? To nie jest mur świątyni - to podstawa platformy, na której zbudowano mur Heroda. Heroda, nie Salomona.

Zdusiła papierosa o kamień.

- Wyobraź sobie, że spędzasz całe popołudnia szepcząc do niewłaściwych kamieni. Albo twoi pobratymcy. Robią to tylko dlatego, że matka jakiegoś bizantyjskiego cesarza srodze się rozczarowała, kiedy przybyła tu ze swoją pierwszą pielgrzymką i niczego nie zobaczyła. Więc co tutaj mamy? Wymyśloną ścieżkę wybrukowaną żałami, wielkie kaplice ku czci przypuszczeń. Kościoły wznoszące się nad jakimiś dziurami w ziemi. Widziałeś kaplicę Groty Mlecznej? To jest dopiero coś. To tutaj Dziewica uroniła kroplę matczynego mleka. Należą się trzy szekle. Nie *wiedzą*, gdzie ukrzyżowano Chrystusa. Nie *wiedzą*, którędy chadzał. Nie *wiedzą*, gdzie został pogrzebany. To wszystko jest wymyślone. I wszystko jest kłamstwem. Park tematyczny. Bizantyjski Disneyworld dla tępowych turystów.

Wskazała dzielnicę położoną z lewej strony.

- Byłeś w części ormiańskiej?

- Tak.

- To jest dopiero skansen! Śpiewają ormiańskie pieśni i uczą swoje dzieci tradycyjnych tańców. Kawalek Armenii zachowany w bursztynie. Są jeszcze muzułmanie i Kopuła, z której Mahomet odbył podróż do nieba. Biegają z nożami, bo Bóg jest wielki. I po co to wszystko?

Jej irytacja opadła, zanim ostatecznie rozprawiła się z muzułmanami. Opierając się łokciami o mur zerknęła na dachy.

- To jest jak hologram. Czasami gardzę tym miastem.

- Wiem o tym wszystkim - powiedział Tom - a jednak nadal jest oszałamiająco piękne.

- To jest w tym najdziwniejsze. Masz absolutną rację. Porozmawiamy o Katie?

Z kieszeni wyjął kawałek papieru, na którym zapisał trzy słowa. Podał go jej.

- *De profundis clamavi* - odczytała. - Co to znaczy?

- Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

- To po łacinie?

- Tak. I czuję, że powinienem to rozumieć. To wiadomość, którą dostałem od kogoś.

- Od kogo?

- Od pewnej kobiety.

Złożył kartkę i schował ją na powrót do kieszeni. Aby uniknąć jej wzroku popatrzył w słońce. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Sharon, to nie jest łatwe. Nie jest. To był kiepski rok - poczuł, że dotknęła jego ręki. - Od chwili przybycia do Jerozolimy mam halucynacje.

- Halucynacje? W tym mieście to normalne. Właśnie dlatego istnieje. Całe to miasto jest halucynacją.

- Sharon, ja mówię poważnie.

- Wybacz, kochany. Czy to zabrzmiało, jakbym się z tobą droczyła? Chodź, znam miłą kawiarnię w ormiańskiej dzielnicy. Pójdziemy tam i opowiesz mi wszystko o swoich halucynacjach.

Oszłamiający aromat świeżo prażonej kawy ściągał ich na ulicy. Przy okazji zakupów w sobotnie popołudnie wstąpili do kawiarni. Jednak nie odzywali się do siebie ani słowem. Niewypowiedziany gniew wisiał między nimi jak chmura, gdy w milczeniu wpatrywali się w swoje filiżanki cappuccino. Nagle przy ich stoliku ktoś się zatrzymał.

- Zauważyłem was i po prostu musiałem podejść.

Był to pijak z przyjęcia. Były ksiądz. Nerwowo szarpał wąsy.

- Chciałem przeprosić za moje zachowanie na przyjęciu u brata tamtej nocy. Byłem potwornie znudzony.

Tom wzruszył ramionami.

- To była tylko impreza.

- Nie masz za co przeproszać - dodała Katie.

- To była moja pierwsza noc na wolności, że tak powiem.

Urząłem się i zrobiłem z siebie durnia.

- Nie ma o czym mówić - powiedział Tom.

- W każdym razie mam na imię Michael. Michael Anthony.

Dość sztywno uścisnęli sobie ręce. Zawahał się przez chwilę, jakby czekając na zaproszenie. Kiedy dotarło do niego, że się go nie doczeka, pożegnał się szorstko i wyszedł z kawiarni.

Katie spojrzała na Toma. Odwrócił wzrok.

De profundis clamavi. Dla Sharon te słowa nic nie znaczyły. Tom znał tylko jedną osobę w całej Jerozolimie, która mogła to rozwikłać, więc wbrew złożonej sobie obietnicy złożył Dawidowi Feldbergowi kolejną wizytę. Miał nadzieję, że powie mu, co to znaczy, albo przynajmniej odczyta dosłowne znaczenie tych słów. Jak dotąd nie opowiedział Sharon o tym, że Dawid próbuje go wplątać w aferę ze zwojami.

Sharon cierpliwie słuchała jego wynurzeń na temat halucynacji. Wolał mówić o „halucynacjach”, ponieważ osłabiało to ich wymowę, nawet jeśli tamta kobieta była równie namacalna jak miejskie mury. Nie było w niej nic niewyraźnego, ani niematerialnego. Nawet jego wspomnienia były intensywne, wyraźne, i cały czas czuł ten tajemniczy, nasycony zapach. Jedynie wspomnienie zaprzeczającej prawu grawitacji sylwetki na pionowej ścianie sprawiało, że wątpił w swoje zdrowie psychiczne.

- Może to zwyczajny człowiek - zasugerowała Sharon, kiedy siedzieli w ormiańskiej kawiarni.

- Wiszący na ścianie?

- Gra światła?

- Jakaś sztuczka. Wciąż próbuje do mnie mówić.

Opowiedział jej o głosie, który słyszy w głowie.

- Słyszę go tuż przed zaśnięciem. Opowiada mi historię, której nie rozumiem. Nie wiem, o kim, ani o czym mówi. Jakby posługiwała

się językiem, który prawie znam, ale nie do końca. A za każdym razem, kiedy się na tym skupiam, znika, jak zasięg w radiu. Boże, to dziwaczne. Może to nadmiar słońca, jak myślisz? Odkąd tu przyjechałem, czuję się dziwnie. Jestem rozedrgany. To może być od słońca?

- Nie masz udaru słonecznego, jeśli o to ci chodzi.

Zachowanie Sharon wskazywało, że dokładnie wie, co mu dolega. Nawet jeśli tak było, nic mu nie powiedziała.

Dawida nie było na posterunku w kuchni. Wokół zlewu stał tuzin kubków i szklanek ze śladami po kawie i herbacie. Zapukał do drzwi Dawida, a nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnął klamkę. Drzwi otwarły się do środka. Dawid leżał w łóżku. Pokój był wysprzątnany. Jego siwa głowa spoczywała na poduszkach, a na stoliku nocnym leżały kolorowe pigułki i stała butelka soku z czarnej porzeczki.

Drzemał, ale otworzył oczy. Widząc Toma z wysiłkiem sięgnął po okulary.

- Znowu ktoś cię podtruł? - Tom przysiadł na brzegu łóżka.

Dawid uniósł wychudłe ramiona.

- Nie pozwolisz mi zapomnieć.

Miał słaby głos. Białka jego oczu były żółtawe.

- Był u ciebie lekarz?

- Był. Mój najbardziej nieprzyjemny stary przyjaciel.

- I? Co ci dolega?

- Uchodzące życie, *monsieur*. Uchodzące życie. Czy w kuchni jest dużo kubków?

- Jeden czy dwa.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego ludzie biorą kubek, a potem go nie myją? Dlaczego? Wiecznie myję kubki.

Tom uśmiechnął się niepewnie.

- Zajmę się nimi później.

- Chyba nie przyszedłeś mnie zabawić? Co cię do mnie sprowadza?

- Chciałem cię o coś zapytać. Ale to nic ważnego, a ty nie wyglądasz zbyt dobrze.

- Pytaj.

Tom wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i rozprostował go. Dawid pieczołowicie umieścił na nosie okulary. Choć na kartce były tylko trzy słowa, czytał je, jakby to był długi list. Potem oddał mu kartkę i zdjął okulary.

- No i? Co to jest? Co to znaczy?

- To po łacinie. Znam ją na tyle, żeby ci powiedzieć, co tam jest napisane. *Spoza otchłani*. Albo może lepiej *Z otchłani*.

- *Z otchłani*? Ale co to znaczy?

- Co znaczy? To już inne pytanie. Zapytałeś, co tam jest napisane. Powiedziałem ci. A co to może oznaczać, to już całkiem inna sprawa.

Dawid zamknął oczy i znów zapadł w drzemkę. Wyglądał dość spokojnie. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo otruto. Po prostu

dopadła go starość, pokryła go jak warstwa szronu. Jego pierś pod kocami lekko unosiła się i opadała.

Tom zdecydował, że zostawi go samego. Zmierzał do wyjścia, ale gdy dotknął klamki, z łóżka rozległ się głos.

- Tom. Mógłbym cię prosić o małą przysługę w rewanżu?

- Oczywiście.

- Podejź do mojej szafy. Jest tam marynarka, którą chciałbym przerobić. Chcę ją założyć, kiedy wydobrzeję. Zdecydowałem się wyjść na zewnątrz, pierwszy raz od lat.

- To dobrze, Dawidzie. Świetny pomysł. - Wyjął marynarkę. - Myślałeś o tej?

- Nie. O tej tweedowej, jest w głębi szafy. Tak, właśnie o tej. Dawno temu kupiłem ją w Anglii. Ze względu na jakość. Założę tweed. Ale musisz zanieść ją do krawca, żeby ją dopasował.

Nalegał, aby Tom zaniósł ją do przyjaciela, krawca, który wprowadzi poprawki za bardzo przystępną cenę. Nie chcąc narażać Toma na dodatkowe wydatki, kazał mu zapisać nazwisko krawca, który mieszkał raptem kilka ulic dalej. Znał, jak zapewnił Dawid, wszystkie jego wymiary.

Marynarka była stara, ale prawie nieużywana. Była na niej metka Savile Row¹⁶. Pachniała naftaliną i czymś, co Tomowi kojarzyło się ze starością. Tom przewiesił ją przez ramię i już miał zapytać, kiedy ma ją odnieść, ale Dawid znowu zasnął.

Wychodząc, zadzwonił na recepcjonistę. Tym razem chłopak pojawił się prawie natychmiast.

¹⁶ Savile Row: londyńska ulica skupiająca ekskluzywnych krawców.

- Właściciel hotelu powinien wiedzieć o staruszku w pokoju numer siedem.

Chłopak wyglądał na zaskoczonego.

- A o co chodzi?

- Jest bardzo słaby.

- Wiem. Był u niego lekarz. Co jeszcze możemy zrobić?

- Nie wiem - powiedział Tom. - Po prostu wydaje mi się, że nie pożyje zbyt długo. Potrzebuje właściwej opieki.

- Nie zgadza się na szpital.

- Czy właściciel hotelu nie powinien wiedzieć o jego stanie?

- Pan nie rozumie - powiedział chłopak. - To on jest właścicielem hotelu.

- Co takiego? Dawid Feldberg jest właścicielem tego miejsca?

- Zgadza się.

Tom był zdumiony.

- Ale przecież zawsze narzeka na kawę!

- Tak.

Prosto z hotelu Tom poszedł do zakładu krawieckiego. Zanim dotarł na miejsce zorientował się, że wszystko było pozamykane ze względu na *shabbat*¹⁷. Zapomniał, że była sobota.

Wzruszył ramionami i poszedł na przystanek autobusowy, z marynarką wciąż przewieszoną przez ramię. Potem znów zawrócił, uświadamiając sobie, że w *shabbat* autobusy nie kursują. Aby dostać

¹⁷ Shabbat (szabat): największe święto w judaizmie, ostatni (siódmy) dzień każdego tygodnia (czyli sobota).

się do mieszkania Sharon będzie musiał skorzystać z arabskiej taksówki.

Dotarł do mieszkania Sharon, przekręcił klucz w zamku i wślizgnął się do salonu. Drzwi do jej sypialni były uchylone. W łóżku Tom zobaczył Sharon z młodym Arabem: mężczyzna leżał na plecach, Sharon siedziała na nim jak na koniu. Oboje byli nadzy. Tom gapił się na nich tępo, zanim do niego dotarło, co właściwie robią. Stał tak przez chwilę bezmyślnie, ciągle trzymając w ręce marynarkę Dawida Feldberga.

Nie słyszeli jak wszedł. Młody Arab uniósł głowę, zobaczył go i uśmiechnął się głupawo. Tom z zamkniętymi oczami i płonącymi policzkami wycofał się i zamknął drzwi. Sharon będzie wściekła.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły i mężczyzna wyszedł. Sharon, odziana w jedwabny szlafrok, przytrzymała drzwi, a Arab skinął Tomowi głową. Pomachała mu na pożegnanie.

- Przepraszam - wymamrotał Tom.

- Nie ma sprawy.

- Naprawdę, ja...

- Drobiazg. Chcesz kawy? - Sharon podrapała się w głowę. - Tylko wezmę prysznic.

Kiedy Sharon była w łazience, Tom stanął w drzwiach jej sypialni. Łóżko było byle jak przykryte narzutą. W pokoju czuło się zapach seksu. Wyszedł z pokoju, rzucając marynarkę Dawida na oparcie krzesła w salonie.

Sharon pojawiła się w salonie owinięta w płaszcz kąpielowy, ze skórą zaróżowioną po kąpielu, z głową w białym ręczniku. Wzięła z krzesła marynarkę i przeciągnęła dłońmi po jedwabnej podszewce. Zrzuciła mokry płaszcz i wsunęła się w marynarkę.

- Cudowny chłód jedwabiu - powiedziała opadając na sofę. - Uwielbiam.

Naciągnęła na uda brzeg marynarki, aby przysłonić wzgórek łonowy.

- Chyba nie jesteś zaszokowany, co? Że nas widziałeś?

- Ani trochę.

- Kłamiesz.

- No dobra, to było nieco zaskakujące.

- Mój chłopak też tak pomyślał. Właściwie to już nie jest moim chłopakiem. Właśnie się żegnaliśmy.

- Żegnaliście się? To mi nie wyglądało na pożegnanie.

- On jeszcze o tym nie wie.

Sharon poprawiła się na sofie, jej skrzyżowane nogi powoli odzyskiwały naturalny kolor po gorącym prysznicu.

- Sharon, dlaczego to robisz?

- Co takiego?

- Siedzisz w taki sposób.

- Czy to ci przeszkadza? Przepraszam, nie przyszło mi to do głowy.

Poszła się ubrać, a Tom przypomniał sobie, jak któregoś wieczoru w college'u wylądowali w łóżku. Oboje byli pijani i oboje

cierpieli z powodu nieodwzajemnionej miłości. Tak było wygodnie. Przez dwa dni udawali, że znaleźli Prawdziwą Miłość tuż pod nosem. Trzeciego dnia uznali, że to nie działa. Wróciła normalna przyjaźń, która najwyraźniej na tym nie ucierpiała, a podobny epizod nigdy się nie powtórzył.

Sharon znów się pojawiła, ubrana, wciąż zaróżowiona i pachnąca po kąpielach. Usiadła przy nim na sofie i wzięła go za rękę.

- Musisz bardzo za nią tęsknić. Nie chciałam nawet o tym wspominać. Ale ona była także moją przyjaciółką, Tom.

- Najgorsze są przebudzenia. Są straszne. Budzę się każdego ranka i przypominam sobie, co się z nią stało. Każdego ranka.

- Tom, wiem, jakie to trudne. Ale minął rok i życie musi toczyć się dalej. Nie jestem pewna, czy porzucenie pracy było dobrym pomysłem. Mam na myśli to, że praca wprowadzała w twoje życie jakiś porządek.

Tom się nie odezwał.

- Czy stało się coś jeszcze? Coś, co kazało ci odejść ze szkoły?

Na chwilę znów się tam znalazł. W pierwszy poniedziałek letniego semestru, tuż po feriach wielkanocnych. Nieobecność Katie odczuwał boleśnie, jak czarną dziurę w umyśle. Wziął listę zajęć i poszedł do swojej klasy. Na zewnątrz siąpił deszcz. Dzieciaki snuły się ospale ze skrzywionymi, bladymi twarzami. Otworzył drzwi do klasy, w której panował dziwny spokój. Ze sztuczną serdecznością przywitał swoich uczniów, wyraził nadzieję, że mieli udane ferie, i dopiero niewyraźne mamrotanie kazało mu się zastanowić, dlaczego

są tacy dziwnie przygaszeni. Uświadomił sobie, że wpatrują się w coś za jego plecami. *Jeżeli to tylko kwestia*, oświadczył dyrektor, *jeżeli to tylko kwestia...* Instynkt kazał mu się odwrócić, bardzo powoli. Cała klasa zeszywniała w oczekiwaniu na to, co odkryje, a co zobaczyli już wszyscy poza nim.

Nie wiem, Sharon. Może.

Zanim Tom zaniósł marynarkę Dawida do krawca, był poniedziałek. Jacob Sarano był niezwykle niski, tylko kilka centymetrów ratowało go przed określeniem „karzeł”. Miał białe włosy, białe wąsy i ciężkie, czarne okulary, pasujące do całej jego postawy sugerującej archetyp żydowskiego krawca. Zakład wypełniały ciasno upchane bele bawełny. W oknie stał nagi manekin krawiecki z powbijanymi szpilkami. Jacob uśmiechnął się smutno na widok Toma.

- Przysłał mnie Dawid Feldberg. Prosi o przeróbki.

Uśmiech zniknął z warg krawca. Wyszedł z za lady, zamknął drzwi na klucz i opuścił ciemne rolety. Pomieszczenie oświetlała goła żarówka zwisająca z sufitu.

- Słyszałem, że Dawid jest umierający.

- Umierający? Możliwe. Nie wiedziałem, że jest w tak kiepskim stanie. Po prostu wyświadczam mu przysługę.

- Przysługę? - rozłożył marynarkę na ladzie.

- Kiedy mogę ją odebrać?

- To potrwa najwyżej kilka minut. Zaraz będzie gotowe. Wyciągnął duże nożyce i ostrożnie, wzdłuż szwów, odpruł

podszewkę.

- Od lat nie widziałem Dawida - powiedział pracując.

- Och? Odniosłem wrażenie, że jesteście starymi przyjaciółmi.

- Starymi przyjaciółmi, tak. Razem byliśmy w Belsen. Tam się poznaliśmy. Opowiem panu, w jaki sposób się zaprzyjaźniliśmy.

Zsunął okulary na czubek nosa i pochylił się, powoli odcinając podszewkę z przodu marynarki.

- Był tam jeden szczególnie okrutny kapitan. Bez ustanku szukał sposobów, aby nas upodlić. Wiedząc, że jestem młodym krawcem, któregoś dnia przyszedł do mnie z kopyą Tory. Była wykonana z pięknej, welinowej skóry, rozumie pan? I uparł się, abym uszył mu z niej kurtkę. Wyobraża pan sobie, kurtka z Tory?

Umilkł, aby Tom mógł uświadomić sobie wagę tego czynu.

- Co miałem robić? Załamałem rękę. Gdybym to zrobił, byłoby to świętokradztwem. Gdybym tego nie zrobił... może nie byłoby mnie tutaj. W każdym razie to Dawid powiedział mi, co mam zrobić.

Malutki krawiec pracowicie oddzielał podszewkę od rękawów, uważając bardzo, aby została w jednym kawałku.

- Zrób to. Uszyj mu tę kurtkę, powiedział mi Dawid. Porozmawiaj z rabinem. Znajdź każdą klątwę zapisaną na tych kartkach i zszyj je. Spraw, by była tak piękna, żeby chciał w niej chodzić przez cały czas. Najgorsze klątwy umieść wewnątrz, w pobliżu jego serca, wątroby i płuc. Spraw, aby to była najpiękniejsza kurtka, jaką kiedykolwiek miał.

Był tam z nami rabin i on mi pomógł. Wziąłem wszystkie klątwy i żale z Deuteronomy¹⁸, księgi Izajasza i skąd tylko się dało. Wszystkie plagi, choroby, bóleści i całą resztę. I uszyłem przepiękną kurtkę. A kapitan ją włożył. Włożył ją! Proszę bardzo. Gotowe.

Odsunął marynarkę i rozłożył podszewkę na ladzie, wewnętrzną stroną do góry. Teraz Tom zobaczył, że w samą podszewkę coś zostało wszyte. Starannie, tak aby nic nie było widać, wszyto kwadraty z jakiegoś materiału. Największy z nich został umieszczony na plecach marynarki. Na piersi widać było kolejne dwa. Razem tworzyły coś w rodzaju tryptyku przyczepionego do jedwabiu.

- Zwoje - powiedział Tom.

- Dawid mnie o to poprosił. Powiedział, że któregoś dnia kogoś po nie przyśle.

- To niesamowite.

Tom oglądał szwy. Poszczególne kawałki były zszyte niemal niewidzialnym ścięciem.

- Co za umiejętności.

Same zwoje zapisano w niespotykanej formie spirali. Przypuszczalnie należało je czytać od zewnętrznego ramienia do środka, gdzie litery były bardzo zagęszczone.

Krawiec ostrożnie złożył podszewkę, następnie zawinął ją w szary papier.

- Teraz może mu pan je zanieść. Proszę mu powiedzieć, że naprawię marynarkę i za kilka dni może pan po nią przyjść.

¹⁸ Deuteronomia: piąta księga Starego Testamentu.

Krawiec podszedł do okien i podniósł rolety. Potem otworzył drzwi. Pomieszczenie zalało światło dnia. Tom wyszedł na zewnątrz.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Co stało się z tym niemieckim kapitanem z obozu koncentracyjnego?

- Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. - Malutki krawiec miał morderczy błysk w oczach. - Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że po dwóch tygodniach został wysłany na front rosyjski.

Drzwi zamknęły się cicho. Tom stał na ulicy ściskając zapakowane w szary papier jedwabne zawiniątko ze zwojami.

Zaprzagnął natychmiast wrócić do Dawida i pozbyć się zwojów. Od hotelu dzieliło go tylko kilka ulic. Miał wrażenie, że wszyscy wpatrują się w paczuszkę, którą trzymał pod pachą i że każdy ortodoksyjny przechodzień szóstym zmysłem wykrywał jej zawartość: *Patrzcie! On ma zwoje. Ukradzione zwoje. Dziedzictwo kultury żydowskiej. Słowa naszego ludu.*

Dotarł do hotelu zlany potem. Z niejaką irytacją zastukał do drzwi Dawida, zły, że został wykorzystany w taki sposób. Nie doczekał się zaproszenia, więc nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Poszedł poszukać recepcjonisty. Oczy chłopaka za okularami wyglądały na zapuchnięte.

- Umarł - powiedział po prostu.

- Umarł?

- Tak.

Tom stał trzymając paczkę. Pot z jego dłoni wsiąkał w spowijający ją papier.

- Ma tu jakąś rodzinę? Kogoś, z kim mógłbym porozmawiać?

- Nie. Miał tylko ten hotel. Czy mogę coś dla pana zrobić?

Tom potrząsnął głową. Chłopak wzruszył ramionami i wycofał się do swojego pokoiku. Potem Tom zajrzał do kuchni. W zlewie piętrzyły się brudne kubki i szklanki.

Pomyślał, że włamie się do pokoju i po prostu zostawi tam zwoje. W ten sposób pozbyłby się kłopotu i pozwolił, aby stały się problemem dla kogoś innego. Potem dotarło do niego, co zamierzał zrobić Dawid wypuszczając je z rąk. Chciał uporządkować wszystko przed śmiercią; chciał w ten sposób wypłukać coś z samego dna własnego życia. Wiedział, że jest szabat, dał Tomowi marynarkę, bo wiedział, że umiera. Z łatwością sam mógł odpruć podszewkę. Jednak z rozmysłem przekazał swoje dziedzictwo Tomowi.

- Jak ci idzie z nowym chłopakiem?

- To nie jest mój nowy chłopak - zaprotestowała Sharon.

- To tylko stary przyjaciel z czasów studiów i tyle.

- Nie wierzę w to. Przychodzisz, spóźniasz się, wyglądasz dziwnie, jakbyś nie spała po nocach.

Tobie była założycielką i dyrektorką centrum rehabilitacji Bet Ha-Kerem, gdzie Sharon pracowała w charakterze doradcy. Miała zwyczaj traktowania swoich pracowników jak klientów. Piły kawę w jej biurze.

- Przestań węszyć, Tobie. Wyglądam całkowicie normalnie, a dziś rano byłam tu przed tobą.

- Chcesz powiedzieć, że z powodu mojego spóźnienia ty przyszedłaś punktualnie? Nie piernicz, kotku.

„Pierniczenie” było określeniem zapożyczonym od jednej z klientek alkoholiczek. Tobie często przyswajała sobie różne dziwne określenia.

- W każdym razie, to ja tu jestem szefem. Nie mogę być spóźniona. To sprzeczność sama w sobie.

- Przyjechał z Anglii na jakiś czas. To wszystko.

- Ja po prostu nie chcę, żebyś znów miała kryzys emocjonalny.

Wiesz, jak to tutaj działa: ty jesteś przybita, wszystkie moje kobiety są

przybite, ja jestem przybita. Wszyscy tutaj to czują. To zagrożenie. Więc jeśli przechodzisz zły okres z tym angielskim, jak mu tam...

- Tom.

- Sharon, kłamiesz.

- Nie, nie kłamię.

- Znam cię.

Tobie była puszystą, siwą kobietą w okularach wiecznie przekrzywionych na czubku nosa. Podeszła i ujęła w dłonie twarz Sharon.

- Martwię się. No więc? Pieprzysz się z nim?

- Tobie! - Tobie była jedyną znaną Sharon osobą przeklinającą bez emfazy.

- Kochasz go i nie pieprzysz się z nim, a to źle dla nas obu. Wszyscy będziemy cierpieć.

- Słuchaj, muszę zaczynać. Moja grupa czeka.

- Więc teraz nie będziesz ze mną rozmawiać? Jest gorzej, niż sądziłam.

- Słuchaj. Nie kocham go. Nie pieprzę się z nim. Chcę z tobą o nim porozmawiać, ale to dotyczy pewnych jego problemów.

- Do diabła z jego problemami, *koanie*, to o ciebie się martwię.

Tobie mówiła „kochanie”, które zawsze brzmiało jak „koanie”. To doprowadzało Sharon do szału.

- Innym razem, dobrze, Tobie?

- Jasne.

Sharon dołączyła do grupy kobiet, które na nią czekały. Tobie dokończyła kawę i potarła twarz. Niech to szlag, pomyślała. Sharon zakochuje się w tym facecie. Czeka nas gówniany okres.

- Odbierz - powiedział Tom.

- Sam odbierz.

Telefon dzwonił nieprzerwanie. Katie z podciągniętymi nogami siedziała na sofie. Przyniosła pracę do domu. Tom siedział przy stole, był obłożony stertami zeszytów i czerwonym długopisem nanosił poprawki. Telefon w końcu umilkł. Katie spojrzała na Toma, który dalej poprawiał zadania.

Kilka minut później telefon znów się odezwał. Katie odłożyła długopis i podniosła się. Tom słuchał, co mówi.

- Halo? A tak, dzień dobry. Nie, w porządku. Co możemy dla ciebie zrobić? Tak, jest w domu. Poprawia klasówki. Tak, jest nauczycielem. Nie, nie jestem i nie chciałabym być. To bardzo miłe z twojej strony. Nie martwiłabym się o to. Tak, jest tuż obok. Dam ci go. Zaczekaj.

Katie zasłoniła dłonią słuchawkę.

- Tom, to Michael Anthony.

- Kto?

- Ten facet z kawiarni. Pijak z imprezy. Chce z tobą rozmawiać.

- Czego chce?

- A skąd mam wiedzieć? - pomachała w jego stronę słuchawką i ze zniecierpliwieniem wykrzywiła twarz.

Tom wstał ostrożnie i wziął od Katie słuchawkę.

- Tak?

Przez jakieś piętnaście minut Katie patrzyła, jak Tom słucha bez słowa i tylko od czasu do czasu wydaje jakiś nieartykułowany dźwięk. Wreszcie w notesie zapisał numer, pożegnał się i odłożył słuchawkę.

- No i?

- Poprosił mnie o pozwolenie - powiedział Tom - chce zaprosić cię na spacer do parku w niedzielę po południu.

- Co takiego?

- Był bardzo taktowny i bardzo formalny. Chciał, aby wszystko odbyło się zgodnie z regułami.

- Dlaczego właśnie mnie?

- Uważa, że jesteś piękna. Powiedział także, że umiera i że lekarze dają mu najwyżej pół roku, może rok. To zabrzmiało jak ostatnie życzenie człowieka nad grobem.

- Już rozumiem, jak to zrobiono. Aby skrawki nie odpadły, zostały nałożone na materiał za pomocą gorącego żelazka, a dopiero potem wszyte w jedwabną podszewkę.

- Uważasz, że to coś ważnego? - zapytał Tom.

- Nie mam pojęcia. To hebrajski, ale nie potrafię go odczytać - powiedziała Sharon. - Jeśli chcesz się dowiedzieć, będziesz musiał to zanieść do kogoś, kto się na tym zna.

Opalone ramiona Sharon spoczywały na stole po obu stronach zwoju jak dwa filary świątyni. Tom patrzył na jej jędrne mięśnie. Niemal zapomniał, jaką pewnością siebie emanowała.

- Takich zwojów jest mnóstwo - powiedziała autorytatywnie - chociaż nie widziałam ich nigdy poza muzeum. Bardzo możliwe, że są na nich pomiary niezbędne do budowy świątyni. Coś w rodzaju: „Odmierzyć czterdzieści łokci, a potem dwadzieścia łokci, a na mur jeszcze dziesięć łokci”. Wiele z nich dotyczy właśnie czegoś takiego.

- Dawid uważał, że to coś o wiele ważniejszego.

- Uważał też, że Watykan próbuje go otruć. Myślę, że twojemu Dawidowi trochę rozmiękczył się mózg.

- Nie mówił, że to Watykan. Nie wiem. Masz jakiś pomysł? Kto mógłby nam pomóc?

- Zdecyduj przedtem, co chcesz dalej z tym zrobić. Jeśli przekażesz zwoje władzom żydowskim, albo chrześcijańskim, więcej

ich nie zobaczysz. To bardziej niż pewne. Możemy poszukać jakiegoś naukowca i zająć się tym prywatnie. Ale jeśli znajdziemy w nich coś naprawdę interesującego, cały świat błyskawicznie dowie się, że to ty je masz.

- Cholera. No to co zrobimy?

- Słuchaj, mam przyjaciela. Właściwie to były klient. Nie chciałam o nim wspominać, ale...

- Ahmed El-Asmar - powiedziała Sharon waląc do drzwi po raz trzeci.

- Pewnie śpi. A nawet jeśli się obudził, to i tak nie odpowie przed czwartym pukaniem. *Djinny* pukają tylko trzy razy.

- *Djinny*?

Pojechali do muzułmańskiej części Starego Miasta. Sharon wysadziła go przed zamkniętym na głucho średniowiecznym budynkiem w północno-wschodnim kwadracie. W wąskiej uliczce unosił się zapach pleśni i brudnych osłów.

- Demony. Ahmed nie jest typowym palestyńskim Arabem. Mnie także uważa za lekko obłąkaną.

- Dlaczego?

Sharon nie zdążyła odpowiedzieć. Kilka stóp nad ich głowami ktoś otworzył okiennice i ich oczom ukazała się głowa zaspanego Araba. Tom zobaczył rozczochrane czarne włosy i cienki wąsik. Mężczyzna przez kilka chwil mrugał zaspanymi oczami i przyglądał im się nieprzytomnie.

- Szalona Żydówka - wymamrotał wreszcie.

Jego głowa zniknęła z okna. Chwilę później pojawił się znowu i rzucił na dół klucze. Sharon złapała je i otworzyła drzwi.

Wnętrze domu było chłodne i pogrążone w cieniu. Tom wszedł za Sharon na kamienne schody i dalej, do pachnącego pokoju, w którym gospodarz właśnie wbijał się w jeansy i koszulkę. Zamrugał teatralnie jakby próbował wrócić do przytomności. Tom uznał, że musi mieć koło czterdziestki.

Sharon przywitała się nim pocałunkiem w policzek, potem przedstawiła Toma.

- Jest z Anglii.

- Z Anglii? - powiedział Ahmed tak, jakby Sharon oznajmiła, że chodzi o zaginioną Atlantyde. - Z Anglii?

Tom wyciągnął rękę. Ahmed, zanim ją ujął, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią z niezwykłą fascynacją.

- Herbata. Chciałbym wam zaproponować herbatę.

Sharon bez pytania opadła na jedną z wielkich poduch ułożonych pod ścianą. Ahmed gestem wskazał Tomowi, aby się rozgościł i poszedł do kuchni.

- Nie przejmuj się - szepnęła Sharon. - On nadal prawie śpi.

- Słyszałem to - z kuchni dobiegł okrzyk. - Czy ludzie w Anglii też są tacy niegrzeczni? To znaczy tak niegrzeczni, jak ta stuknięta Żydówka?

- Tak - odparł Tom - owszem.

- Wiem. Byłem tam. Chciałem się tylko przekonać, czy nie skłamiesz.

Ahmed przyniósł herbatę. Grube ściany starego budynku tłumiły wszelkie dźwięki z zewnątrz, więc mieszkanie było cudownie spokojne. Na ścianach wisiały obrazy i tkaniny w geometryczne wzory. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, i jeszcze czegoś, jakiejś ostrej woni, którą Tom znał, ale nie potrafił jej zidentyfikować. Ahmed wrócił z tacą i szklankami. W każdej szklance był listek świeżej mięty i dwie kostki cukru. Tom chciał zrezygnować z cukru, ale Ahmed już lał herbatę.

- Więc jak ci się podoba Jerozolima? Podał mu szklankę.

- Próbuję to ogarnąć. Mnóstwo tu przemocy.

- Tak. Będzie spokojniej, kiedy pozbędziemy się Żydów.

Sharon uśmiechnęła się.

- Ahmed, jesteśmy jak twoje demony. Zawsze przy tobie będziemy.

Ahmed zwrócił się do Toma, jakby Sharon przy tym nie było.

- Ma rację. Nie wiem, co gorsze: *djinny* czy Żydzi. Chciałbym, aby wszyscy byli tacy jak ona, ale inni... *Allah!* Jak smakuje ci herbata?

- Wspaniała.

Przycisnął dłoń do piersi, jakby ten komplement dotyczył czegoś bardzo głębokiego i osobistego. Potem nagle odwrócił się do Sharon.

- Nie byłaś u mnie od sześciu miesięcy. Gdzie się podziewałaś?

Sharon wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk herbaty.

- Co to za przyjaciółka, Tom, która nie odwiedza cię przez sześć miesięcy? Czy ludzie w Anglii są tak porażająco nieuprzejmi wobec

swoich przyjaciół?

- Już go o to pytałeś.

- Faktycznie, pytałem. Wybacz, Tom.

- W każdym razie - powiedziała Sharon - ty też mnie nie odwiedzasz. Powiedziałam, żebyś do mnie wpadał.

- Jasne! Żeby dostać kulkę w łeb od nastoletniego Żyda z uzi za to, że jestem Arabem i wszedłem na jego terytorium! Tom, co o tym sądzisz? Oto Arab, który nie jest bezpieczny na swojej własnej ziemi!

- Nie przejmuj się nim. To nie żołnierze trzymają go w domu. Boi się *djinnów*.

- No i tutaj mnie ma. Gdybym jej nie kochał, dawno już byłaby martwa. W każdym razie jest szalona. Dlaczego? Bo nie wierzy w *djinny*. Tylko szaleńcy nie wierzą w *djinny*. A ty wierzysz w *djinny*?

- W demony? - Tom się zawahał. - Cóż, wierzę w istnienie Boga, więc wierzę także w istnienie Szatana... zatem, jak sądzę, odpowiedź brzmi tak.

- Proszę! - powiedział Ahmed, jakby wreszcie rozwiązał stary spór. - Jeszcze herbaty?

- Przynieśliśmy coś i chcielibyśmy, abyś rzucił na to okiem - odezwała się Sharon wygodnie wyciągnięta na poduszkach.

Tom wydobył zrolowany zwój. Ahmed wziął go ostrożnie i rozłożył na niskim stoliku. Zanim zaczął go oglądać, zapalił ręcznie zwijanego papierosa. Wtedy Tom rozpoznał tę znajomą woń - tak pachniał haszysz. Ahmed wydmuchnął smugę dymu i spojrzał na fragmenty zwoju.

- Ta spirala jest niezwykła. Skąd to macie?

- Wpadł w moje ręce po czyjejs śmierci.

Ahmed jeszcze przez chwilę wpatrywał się w zwoje, a potem jakby nagle stracił zainteresowanie.

- Mógłbyś to dla nas zbadać?

- A jest w tym jakiś haczyk?

- Nie.

Ahmed zaciągnął się głęboko i wypuścił dym z głębokim westchnieniem.

- Ahmed to wspaniały naukowiec - powiedziała do Toma Sharon. - Zna starożytne pisma hebrajskie, aramejskie i arabskie. Zna też grekę i łacinę. No i jeszcze angielski, francuski, niemiecki... Ahmed, jakie jeszcze?

- Ta szalona Żydówka sądzi, że jeśli wystarczająco długo będzie mi schlebiać, to odczytam dla niej tę szmatę. Myli się.

- Hiszpański. Berberyjski. Złodziejski żargon. To prawdziwy poliglota. Ma wielki talent. Dlatego do niego przyszliśmy.

- A nie dlatego, że miły ze mnie facet? Tom, czy ty pracujesz za darmo?

- Nie wiemy, co tam jest napisane. Mamy jednak powody przypuszczać, że to może być coś ważnego - powiedziała Sharon. - Jeśli tak jest, możesz zrobić kopię i wziąć się do pracy. To pomoże twojej reputacji.

- Mojej reputacji! - Ahmed zaśmiał się cynicznie. - Mojej reputacji.

- Do diabła z tym - powiedziała Sharon do Toma. - On już się zgodził.

- Myli się - powiedział Ahmed. Wciąż rozmawiali ze sobą poprzez Toma.

Ahmed wyszedł i wrócił ze srebrną tacą pełną owoców. Oстрыm nożem pociął melona i pomarańcze na równe kawałki. Tom podziwiał precyzję, z jaką to robił. Rozmowa zesłała na inne tory. Dyskutowali o sytuacji politycznej, o ostatnich zamieszkach i działaniach rządu. Do sprawy zwojów nie wrócili. Ahmed, dobrze zorientowany w brytyjskiej polityce, zasypał Toma pytaniami o opinie Brytyjczyków w kwestii palestyńskiej. Tom starał się możliwie dokładnie odpowiadać na jego pytania. Ahmed w tym czasie wypalił dwa czy trzy skręty i był czarujący. Pomimo wzajemnych złościwości, Sharon i Ahmed w oczywisty sposób czuli się dobrze w swoim towarzystwie.

Sharon podniosła się wyjścia i znów ucałowała go w policzki. Zwój pozostał na stole. Tom za przykładem Sharon nic o nim nie wspomniał. Ahmed potrząsnął jego dłonią i wyraził nadzieję, że jeszcze się spotkają.

Odprowadził ich na dół i otworzył drzwi. Sharon wyszła na słoneczną ulicę. Arab na moment zagroził Tomowi drogę. Zbliżył do niego głowę i przez ułamek sekundy Tom sądził, że zamierza go pocałować.

- Niesiesz w sobie *djinna* - wyszeptał ostrzegawczo.

- Co?

- *Djinna*. Widzę *djinna*, którego niesiesz. Ona próbuje do ciebie mówić, ale zatkałeś uszy.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nie denerwuj się. Ja też noszę *djinny*. Wiele *djinnów*. Wysłuchaj jej. Chce z tobą porozmawiać.

Sharon zawołała go. Tom wyszedł na ulicę, drzwi za jego plecami w tym samym momencie zatrzasnęły się z hukiem. Z głowy wywietrzały mu wszystkie myśli o zwoju. Zdezorientowany stał na ulicy.

- Zrobi to - powiedziała Sharon. - Jeśli jest tam coś ciekawego, on to znajdzie. Tom, coś blado wyglądasz.

- Znam go od jakichś dziesięciu lat. Każdemu mówi, że nosi *djinna*. Nie przejmuj się tym.

Po wizycie u Ahmeda Sharon przygotowała kolację. Jakby mimochodem i bez większego wysiłku zrobiła pieczoną jagnięcinę z egzotyczną sałatką w chleбку pita. Pochłonęli wszystko.

- Wydaje mi się, że on w jakiś sposób widział moje halucynacje i tę kobietę.

Sharon przestała jeść. Otarła usta chusteczką.

- Posłuchaj. Może on i ma swoje *djinny*, może ty też. Ale nie można ich zobaczyć.

- Dlaczego?

- Ponieważ ty masz je w swojej głowie, a on w swojej - dlatego.

- Jakie są jego *djinny*?

- Nie mogę ci powiedzieć, to tajemnica zawodowa. Poznałam go, kiedy przyszedł do mnie na psychoterapię. Był w złym stanie, zżerało go poczucie winy i miał ciężką depresję. Dręczyły go demony, które sam sobie stworzył. Ma błyskotliwy umysł, który go zatruwa.

- Pomogłaś mu?

- Pochlebiam sobie, że tak. A on pomógł mnie. Odmówił normalnej relacji lekarz - pacjent i nalegał, bym mówiła mu o swoich osobistych sprawach tak, jak on mówił o swoich. Zgodziłam się. Zmienił wiele moich wyobrażeń o świecie - to dlatego nazywa mnie szaloną Żydówką. Byłam równie chora, jak on. Od tej chwili sama przestałam wierzyć w układ lekarz - pacjent. Uświadomiłam sobie, że odgrywanie narzuconych ról, zamiast pomagać w procesie leczenia, utrudnia go.

- Wyzdrowiał?

- Funkcjonuje normalnie i to jest ważne. Nie udało mi się jednak przegonić *djinnów*, wciąż go dręczą. Tom, coś się w tobie zmieniło.

- Hm?

- Widać to w twoich oczach. Dziwnie na mnie patrzysz. Niemal z nieufnością. Czy to z powodu śmierci Katie?

Tom zignorował to pytanie.

- Więc jak wyjaśnisz jego *djinny*?

- Albo twoje?

- Tak. Albo moje.

- To sprawy seksualne.

- Aha! Jakie to proste.

- Jak większość ludzi - oświadczyła Sharon - nie lubisz, gdy ktoś ci mówi, kim jesteś.

- Nie można twierdzić, że wszystko sprowadza się do seksu. To banał.

- *Djiny*. Demony. Nawiedzenia. Halucynacje. W gruncie rzeczy bardzo wiele kultów i religii opiera się na przeniesieniu energii seksualnej.

- Nie patrzę na to w ten sposób.

- Celowo odsuwasz od siebie wszelkie interpretacje seksualne tego, co ewidentnie buzuje tuż pod powierzchnią rzeczy. Desperacko temu zaprzeczasz, tak jak desperacko zaprzeczasz własnemu...

- Własnemu czemu?

Nagle powiało chłodem.

- Co robisz, aby się pozbierać po odejściu Katie?

- Sądziłem, że rozmawiamy o *djinnach*.

- A ja już ci powiedziałam, co o nich sądzę. To ty mnie interesujesz. Tom, martwię się o ciebie.

Głowę położyła na oparciu kanapy, jej cynamonowe oczy były pełne żalu. Nie mógł znieść intensywności jej spojrzenia. Zbyt szybko wróciła do starej zażyłości. Teraz chyba uznała, że go uleczy, jak jedną ze swoich klientek alkoholiczek. Tom nagle poczuł do niej niechęć.

- Co się stało z Katie? - powiedziała Sharon. - I co się stało w szkole?

Getsemani był oazą chłodu i wytchnienia od żaru rozpalonych ulic Jerozolimy. Botanicy twierdzili, że niektóre z rosnących tam drzew oliwnych pamiętają czasy Chrystusa. Wprawdzie żadne drzewo nie mogło ostać się w pierwotnym ogrodzie, w roku 70 n.e. zrównanym z ziemią, ale Toma zaczął męczyć jego własny sceptycyzm. Podeszedł do drzewa, które wyglądało na najstarsze i oparł się o nie plecami.

Słońce na błękitnym niebie żarzyło się jak lwie oko. Po drodze do ogrodu, na arabskim targowisku kupił sobie słomkowy kapelusz, aby się przed nim chronić. Odrzucił przedtem propozycję Sharon, która chciała mu towarzyszyć. Wciąż starał się unikać jej pytań. Słońce przenikało przez połyskujące liście drzew oliwnych. Zamknął oczy i zastanowił się, przed czym właściwie ucieka.

Jeśli to tylko kwestia, sugerował dyrektor, tylko kwestia...

Tamtego dnia w klasie zaskoczył go dziwny spokój. W powietrzu unosił się zapach deszczu i wilgoci parującej z czarnych blezerów. Uczniowie byli dziwnie skrępowani, szurali nogami, unikali jego wzroku. Powoli dotarło do niego, że na tablicy za jego plecami widnieje jakiś napis. Odwrócił się. Zobaczył tam wysokie na trzy stopy litery. Klasa zamarła patrząc, jak czyta.

Nie pieprz żony bliźniego swego, przeczytał. Nie cudzołóż. Pan Webster pieprzy uczennice. Cipa i gównno i gnój i chuj i jaja i kurwa

kurwa kurwa. Niewprawną ręką nakreślony penis w erekcji ejakulował w kierunku umownie narysowanych ust.

Cisza panująca w klasie naciskała na niego jak fala. Pieniła się na jego plecach grożąc, że pochłonie go, cofając się od obscenicznych napisów na tablicy. Znowu przeczytał nabazgrane tam słowa. Potem wziął gąbkę i starł je, a na ich miejscu drżącą ręką napisał: *Temat: Co oznacza określenie „Stary Testament”?*

- Wyjmijcie podręczniki - powiedział, próbując opanować drżenie w głosie. - Otwórzcie na rozdziale dwunastym.

Na ciele poczuł pot. Opierając się o drzewo w ogrodzie Getsemani czuł tamto napięcie. Zobaczył franciszkańskiego mnicha wchodzącego do jaskini w skale o piaskowym kolorze. Przez dłuższą chwilę opierał się jeszcze o pień drzewa oliwnego, a potem podążył za mnichem.

Jaskinia była chłodna, przestronna i przewiewna. Kojące wnętrze było częściowo oświetlone umieszczonymi we wnękach lampami, których światło wydobywało ze ścian bursztynowy połysk. Mnich w brązowym franciszkańskim habicie i skórzanych sandałach, siedział na taborecie. Pisał coś. Było w tym obrazku coś uspokajającego. Przynajmniej Tom tak to odbierał, nie czuł się tutaj jak w parku tematycznym. Mnich spojrzał w jego stronę i uśmiechnął się. Był potężnym mężczyzną o rzednących, ciemnych włosach i aksamitnych oczach.

- Przepraszam.

Mnich nie pisał; za pomocą linijki kreślił jakieś linie na czystej kartce papieru. Robił to piórem kulkowym, które wyglądało na drogie. Zanim je odłożył, narysował jeszcze jedną linię.

- Przepraszam - wyszeptał, spoglądając na Toma. - Mój angielski... niedobry.

Tom trzymał w ręce kawałek papieru i teraz nie wiedział, czy może mu go pokazać.

- To nic takiego. To jest, to po łacinie. Zastanawiałem się, czy coś to ojcu mówi.

Mnich wziął papier.

- *De profundis clamavi* - powiedział niecierpliwie Tom. - Z otchłani.

- *De profundis clamavi* - mnich zamruczał w zamyśleniu.

- Odłożył skrawek papieru i wstał ze swojego stołka. Skierował palec wskazujący w niebo, jakby próbował przypomnieć sobie angielskie słowa.

- *De profundis*, som w Pcalm, tak, w Pcalm sto czydzieci. Mówił miękko, uspokajającym szeptem, z rozjaśnionymi oczami. Tom pomyślał, że może pochodzi z Hiszpanii.

- Z utkani woam do czebie, Panie, dusza moja oczekuje Pana badziej nisz strasznicy ćwitu. To jes pcalm litoci. Pczebaczenie. Odkupienie, tak.

Tom odwrócił się i rzucił okiem na wyjście z jaskini i na światło dnia. Znów spojrzął na mnicha, oczy mu zwilgotniały. Mnich zauważył to, uśmiechnął się i położył mu rękę na ramieniu.

Ten biedny człowiek sądzi, że jestem poruszony pięknem psalmu, pomyślał Tom. Czuł się idiotycznie, dziecinnie. Skąd ten mnich miałby wiedzieć, że do oczu napłynęły mu łzy z powodu osobistej tragedii? Z powodu jego własnych zdrad? Z tego powodu, że nie pamiętał, co utracił najpierw, żonę, czy wiarę?

Podziękował mężczyźnie i odwrócił się. Zmierzając do wyjścia czuł, że mnich patrzy za nim. Wyszedł z chłodu jaskini prosto w żar słońca, który przetoczył się po nim jak oddech lwa. Czuł się niepewnie, był oszołomiony. Podszedł do starej oliwki, zdjął kapelusz i znów oparł się o pień. Żar lejący się z nieba zniekształcał widok, liście zbielewały od światła i upału. Nagłe ukłucie migreny sprawiło, że zamknął oczy.

Jeżeli to kwestia tych kilku słów nasmarowanych kredą na tablicy, powiedział Stokes, cóż, to się zdarza większości nauczycieli. Jeśli ktoś czuje się tym urażony, to jest to tak samo niedorzeczne, jak znajdowanie przyjemności w wypisywaniu czegoś takiego. Jednak Stokes się mylił. Nie była to tylko kwestia słów.

Problem nie zniknął. Napisy pojawiły się jeszcze kilka razy. Tom miał swoje podejrzenia, ale brakowało mu dowodów. Zaczął nawet przypuszczać, że niektórzy uczniowie starają się go chronić, że ścierają tablicę, zanim wejdzie do klasy. Potem dowiedział się, czyja to sprawka, ale nic z tym nie zrobił. Któregoś dnia po lekcjach rozmawiał z dwoma chłopcami, którzy potwierdzili jego podejrzenia, podali nawet nazwisko winowajcy.

Winowajca był spokojnym, bystrym, choć nieco gburowatym czternastolatkiem. Jego stosunek do Toma uległ ostatnio dużej zmianie. Któregoś dnia po lekcjach Tom zatrzymał go i po prostu zapytał. Początkowo wszystkiemu zaprzeczył, ale potem się złamał i częściowo przyznał, jednak bezczelnie i z uporem twierdził, że napisał te okropne słowa tylko raz, choć Tom sześć czy siedem razy wycierał tablicę. Obiecał mu, że nie powiadomi rodziców, dopiero wtedy chłopiec podał wytłumaczenie. Powodem była Kelly McGovern, jedna z dziewcząt w angielskiej grupie Toma, która bardzo mu się podobała. Z kolei Kelly, czego ze zdziwieniem dowiedział się Tom, była zafascynowana Tomem. Chłopiec był szaleńczo zazdrosny o uczucia, jakie Kelly żywiła wobec swojego nauczyciela.

Tom był miły i pozwolił mu odejść bezkarnie, ostrzegając jedynie, że lepiej, aby podobny wybryk się nie powtórzył. Zapewnił go także, iż zauroczenie nauczycielem zdarza się często i że sam jest szczęśliwie żonaty, choć to nie była prawda, oraz że nie interesują go uczennice.

Nie, to nie z powodu „słów nasmarowanych kredą na tablicy” Tom rzucił zawód nauczyciela.

Otworzył oczy i wtedy znów zobaczył kobietę w zawoju.

Stara Arabka stała spokojnie tylko kilka stóp dalej, pod drzewem oliwnym, jakby chowała się przed palącym słońcem. Jednak wyglądała inaczej. Surowa, brązowa szata zniknęła. Tym razem miała na sobie lśniącą, białą suknię i półprzezroczysty welon z pięknego, szarego materiału. Słońce, odbijające się od białych szat, prawie go

oślepiło. Znajomy, ostry zapach unosił się w spokojnym powietrzu jak niewidzialna wstążka. Tom zamrugał. To nie zjawa stała tam, pod drzewem, ale kobieta z krwi i kości przyzywająca go ruchem dłoni.

Wyszła spod drzewa i ruszyła w głąb ogrodu. Tom podążył za nią.

Szedł pomiędzy starymi drzewami oliwnymi spowity balsamicznym zapachem ziemi i roślin, liście wokół drżały i lśniły. Ze spękanej, wypalanej słońcem ziemi unosił się odurzający zapach. Kobieta nagle przystanęła, odwróciła się, jakby czekając na niego. Tom poczuł, że wszystko wokół zafalowało; jakby wszechświat zniknął, zapadł się gdzieś. Kobieta ruszyła w jego stronę z wyciągniętymi ramionami, a otaczający ją zapach stawał się coraz bardziej przytłaczający. Uniosła welon i pocałowała Toma w usta, ale jej twarz pozostawała w cieniu. Czuł, jak językiem muska jego wargi i nagle nie było tam żadnej kobiety. Duża pszczoła wpadła do jego otwartych ust i użądliła go w wewnętrzną stronę dolnej wargi. Poczuł palący ból.

Zrozumiał, że połknął owada i wpadł w panikę. Dławiąc się, kaszląc i plując, pognał na oślepię między oliwkami, z powrotem do jaskini franciszkańskiego mnicha.

- Potrzebujemy teraz lodu do ssania.

Sharon zachowała się jak dobra, żydowska matka. Na potężnie opuchniętą dolną wargę Toma nałożyła papkę z sody oczyszczonej, a teraz grzechotała kostkami lodu w szklance. Tom poskarżył się na opuchnięte gardło, zaczęła więc martwić się nie na żarty.

- Ssij lód drugą stroną ust, żeby nie spłukać sody.

- Ta szoda jest opszytliwa - powiedział Tom. Miał trudności z wymawianiem niektórych słów. Jego twarz wciąż puchła, powoli zaczynała przypominać dynię.

- Po prostu niczego tam nie dotykaj! - Sharon uniosła ręce w górę. - Żądło pszczoły w ustach, coś takiego!

Jeszcze chwila, pomyślał Tom, a zacznie mówić *aj waj*.

Jak tylko zapuchnięty Tom wrócił z Getsemani, Sharon natychmiast wkroczyła do akcji. Wepchnęła mu do ust kolejną, wielką kostkę lodu.

- Wyobraź sobie, co mogłoby się stać, gdyby nie było tam tego mnicha! W jaki sposób ta pszczoła dostała ci się do ust? Zwabiłeś ją jakoś, czy co? W życiu o czymś takim nie słyszałam. I ten mnich wyciągnął ci żądło z ust? Paznokciami? Boże, mam nadzieję, że miał czyste ręce! Pomyśl tylko o infekcjach! Co to był w ogóle za mnich?

- Fransiszkanski.

- Franciszkanin? Czy oni prowadzą higieniczny tryb życia? Masz, possij jeszcze trochę lodu.

Mnich udzielił Tomowi pomocy zaraz po użądleniu. Ostrożnie próbował usunąć z jego wargi pozostałości żądła, zanim cała trucizna wypłynie z torebki jadowej. Jednak długo nie mógł go znaleźć. Wreszcie oznajmił, że je wyciągnął, ale Tom był pewien, że chciał go tylko uspokoić.

Niepokój wzbudzało w nim to, że coś, co go użądliło, było i zarazem nie było pszczołą.

- Co się stało z tym stworzeniem? - chciała się dowiedzieć Sharon, sprawdzając, czy nie ma temperatury.

- Chyba je połknąłem.

- Połknąłeś! O Boże, mam nadzieję, że nie żyje.

- Oszywisze, sze nie szyje. To snaszy nie jeszem pewny.

Próbował wypluć pszczołę, ale jednocześnie czuł, że ją połyka. W gardle poczuł wibracje. To wszystko wydawało się dość absurdalne.

- Chcesz się położyć?

- Nie. Chcze tylko tu szedzecz i czucz się głupio.

Nie mógł powiedzieć Sharon, co wydarzyło się naprawdę. Jak? Jak miał jej powiedzieć, że w ogrodzie Getsemani natknął się na zjawę, i że zanim zamieniła się w pszczołę, pocałowała go?

Tom miał bardzo męczącą noc. Źle spał, miał gorączkę. Jego sny galopowały bez ładu i składu z angielskiej szkoły prosto na ulice

Jerozolimy. Słyszał głosy uczniów i dyrektora powtarzającego w kółko *Jeśli to tylko kwestia*; słyszał głos kobiety mówiącej coś w nieznanym językach, strzępki angielskiego, jakieś dźwięki, raz mocniejsze, raz słabsze, jak w radiu tracącym zasięg. Głos kobiety rozbrzmiewał nieprzerwanie, na granicy słyszalności, był ponagląjący, spięty i znużony, jakby za wszelką cenę próbował opowiedzieć mu jakąś fantastyczną historię. Wzywał imię Jezusa i mówił o skomplikowanych szczegółach ukrzyżowania; wciąż pojawiała się imię Marii Magdaleny, ktoś kwilił i zawodził, egzotyczne słowa i zdania opadały w wibracjach jak owady, chimery, zmutowane ptaki, które nie chciały umrzeć...

Leżał bezsennie w nocnej ciszy i wpatrywał się w mrok. Ktoś zapukał do drzwi mieszkania. Krew stanęła mu w żyłach, w ustach zaschło. Nie mógł złapać tchu. W uszach słyszał dzwonienie.

A więc wróciłaś. Znalazłaś mnie tutaj. Wiedziałem, że tak będzie.

Denerwował się, że Sharon w drugim pokoju usłyszy pukanie, ale spała dalej. Na zegarze była trzecia rano. Przez ponad godzinę leżał jak skamieniały, czekając na lekkie, miarowe pukanie do drzwi. Powtarzał sobie słowa psalmu, który poznał dzięki mnichowi: *z otchłani wołam do ciebie, Panie, dusza moja oczekuje Pana bardziej, niż strażnicy świtu: bardziej niż strażnicy świtu.*

Zegar wskazał 4.15. Wiedział, że pukanie już się nie powtórzy. Od powstrzymywanych łez bolały go oczy. Wreszcie zapadł w sen.

Do rana opuchlizna znacznie się zmniejszyła, ale w jego głowie nadal rozbrzmiewały głosy ze snów. Słyszał je cały czas, były jednak

stłumione, jakby dochodziły spoza stalowych drzwi.

Na śniadanie Sharon przygotowała mu świeżo wyciskany sok z owoców. Pił przez słomkę. Siedzieli w milczeniu. Sharon nie wracała do śmierci Katie, ani do jego rezygnacji z pracy, jednak ta sprawa wciąż tkwiła między nimi, jak niechciane bilety na koncert przypięte do korkowej tablicy.

Wrzuciła banany do malaksera i włączyła go.

- Miałem romans - powiedział nagle Tom. - Zanim Katie umarła. To wszystko, naprawdę.

Sharon wyłączyła maszynę i usiadła. Oczy miała jak monety. Czekala na ciąg dalszy, a ponieważ nie nastąpił, podniosła się i znów włączyła malakser.

- To wszystko - oświadczył Tom. - Nic poza tym.

Sharon znów wyłączyła malakser.

- Czy to ma być włączone, czy wyłączone? - spytała uszczypliwie.

- Wyłączone. To był ktoś ze szkoły.

- Inna nauczycielka? Koleżanka? I czujesz się z tego powodu winny. Czujesz się źle, bo Katie umarła, a ty byłeś niewierny.

- Gorzej. Czuję się źle, ponieważ nie mam poczucia winy. Ponieważ z tamtą osobą czułem się dobrze.

- Czujesz się źle, ponieważ czułeś się dobrze?

- To seks. Przez chwilę zwariowałem. Złapałem się na urok zakazanego owocu. Mam na myśli grzech.

- Aha. Obawiam się, że mówienie o grzechu to nie moja działka.
Nigdy nie łączyłam seksu z pojęciem grzechu.

- Grzech ma specyficzny zapach i smak.

- Jaki?

- Kiedy się pieprzysz, miód i ogień.

- Ostrożnie, Tom. Robiąc z seksu coś cennego sprawiasz, że staje się niebezpieczny.

- Czy nie tak powinno być?

- Nie, nie sędzę.

- A ja tak. Postrzegasz to w taki cyniczny sposób. Myślisz: *głupi Tom, stracił głowę przez zwykły romans, potem umarła mu żona i nie potrafi sobie z tym poradzić*. Ale jak mam ci opowiedzieć o tym, jak to boli? Jaki poczułem się głupi i odrażający? I, o Boże, usta wciąż mnie bolą!

- Chcesz więcej lodu?

- Nie. Zęby mi wykręca od tego pieprzonego lodu. To kobiety, Sharon. Różnią się od mężczyzn.

- Wreszcie to zauważyłeś.

Tom nie był w nastroju do kpin. Seksualna otwartość Sharon utrudniała mu określenie, na czym właściwie polega ta różnica. Wiedział, że męska seksualność jest marnie ukryta i ciągle przebija się na powierzchnię. Kobieca seksualność była głębsza, ukryta w cieniu, lepiej zakamuflowana, nawet jeśli różnica była tylko nieznaczna, nawet jeśli kobiety takie jak Sharon czasem burzyły jego przekonania. Ale z własnego, poniekąd ograniczonego doświadczenia wiedział, że

kobiety, jeśli już się obudzi ich apetyt, bywają bardzo wymagające. Mężczyźni, przyzwyczajeni do życia tuż pod powierzchnią, wynurzali się tylko po to, aby zaczerpnąć powietrza i znów radośnie zanurkować. Kobiety natomiast stawały na brzegu i domagały się więcej.

Tom zassał przez słomkę powietrze, aż zabulgotało.

- Nie rozumiałabyś - powiedział.

Sharon rzuciła mu spojrzenie równie mroczne, jak jego myśli.

Opadające powoli słońce oświetlało parkowy pawilon. Na wpół ukryte za horyzontem wyglądało jak wypolerowana kopuła nad bajkowym, egzotycznym miastem. Cienie późnego lata kładły się na bujnej trawie. W powietrzu czuło się już zapach jesieni, woń wilgotnych, zielonych liści przebarwiających się na złoto. Katie i Michael Anthony kroczyli alejką pośród ozdobnych drzew. Zatrzymali się przy różanych krzewach w pobliżu placu zabaw dla dzieci.

- Przekwitłe róże - powiedział Michael. - Omar Khayyam. Kiedy twój czas się zbliża, widać je wszędzie.

- Mogę cię wziąć pod ramię? - spytała Katie. Nie czekając na odpowiedź zrobiła to i razem ruszyli dalej.

- Oto zrobiłaś coś, o co nie śmiałem cię poprosić. Chciałem, abys wzięła mnie pod ramię. Mój Boże. Wiesz, nie chcę skakać na bungee, ani przejechać się samochodem wyścigowym po torze, albo skoczyć ze spadochronem. Nie o to chodzi. Chodzi mi o takie zwyczajne, małe rzeczy. Chcę usiąść i czuć słońce na twarzy; wypić piwo z przyjacielem; w piękne popołudnie w parku wziąć pod ramię piękną kobietę. Jestem wdzięczny. I dziękuję twojemu mężowi.

- To dobry człowiek.

- Gdzie jest teraz?

- Musiał się z kimś spotkać.

- Z kim?

- Nie powiedział. Ostatnio mamy kłopoty z komunikacją.

- Och, musicie to zmienić! Powinienem być się ożenić. Zostałem księdzem i to był wielki błąd. Mam wrażenie, że przez cały ten czas żyłem wbrew sobie. Może właśnie dlatego coś zaczęło się we mnie buntować. Kto wie? Ale wiem na pewno, że powinienem być się ożenić.

- Życie to nie tylko kręgle i piwo, Michael. Może usiądziemy tutaj?

Usiedli na ławce. Słońce ogrzewało im twarze, ich ramiona wciąż były splecione.

- To dlatego odszedłeś z kościoła? Żeby się ożenić?

- Nie, nie. Dla mnie jest już za późno. Nie wytrzymałem. Nie mogłem znieść dłużej tych wszystkich bajek. Pieprzone niepokalane poczęcie - przepraszam, polubiłem przeklinanie - i inne bzdurne, pieprzone historyjki dla dzieci.

- To znaczy, że już w to nie wierzysz?

- Czy wierzę? Słuchaj, Jezus był żonaty. Był rabinem, a oni przecież się żenili. Ale kiedy wczesny kościół redagował Biblię, wszystko to wyciął. Jezus kochał kobiety, ale nam nie wolno.

- Co takiego?

- Och, on kochał kobiety! W apokryfach są wzmianki o tym, jak jego wyznawcy oburzali się, bo publicznie całował swoją żonę. Czulości - to nie pasuje do ideologii, prawda? Nie z tą dziwką Magdaleną. A jak myślisz, dlaczego zaczekał, aż jego apostołowie się

oddala, zanim zblizył się do samarytańskiej nierządniczy przy studni? Zauważ, że zawsze, kiedy w Biblii pojawia się studnia, oznacza to prokreację. Płodność i seks. To jest jak wzór. Ale to wszystko jest zakazane.

- Wywrotowe idee - stwierdziła Katie.

- Wywrotowe? - zaśmiał się gorzko. - Stare jak świat. Ale każdy ksiądz powinien ciężko pracować, aby naukowcy na to nie wpadli.

- Więc z kim był żonaty? Mówię o Jezusie.

- Próbujesz mnie rozbawić?

- Nie.

- Zgaduję, że z Marią Magdaleną. Była kapłanką w tradycji kanaańskiej, przez Żydów uważaną za prostytutkę. Jezus ją nawrócił i poślubił. Tak jest u Jana, w rozdziale drugim. Maria Magdalena była z nim przez cały czas. Pamiętasz tę scenę? Była przy jego grobie, kiedy zmartwychwstał i nie rozpoznała go. Nie rozpoznała, bo to nie był on. Kościół chciał, aby „rozpoznała” jego brata Jakuba, który wtedy mógłby przewodzić Kościołowi, ale ona odmówiła. Zdziwiona? Dalej jest jeszcze lepiej. Kościół Jezusa został przejęty przez tego psychopatę Pawła. Ale należy to starannie ignorować. Wierzyć w te bajki.

- Nic dziwnego, że przestałeś wierzyć w Boga.

- Och, nie! - dotknął jej ramienia. - Nigdy nie straciłem wiary. Nigdy, nawet przez sekundę, nie przestałem wierzyć w Jezusa czy w Boga. Przestałem tylko wierzyć w te wszystkie pieprzone, debilne

historyjki, którymi nas karmią. Mówiłem ci już, jak uwielbiam przeklinać?

Sharon obiecała Tomowi, że zawiezie go na stanowiska archeologiczne w Qumran i w Masadzie nad Morzem Martwym. Na tylnym siedzeniu samochodu leżało sześć butelek wody mineralnej.

- Gorąco tutaj - powiedziała.

Jechali przez pustynię. Przez otwarte okna wpadało gorące, wilgotne powietrze, zapach rozgrzanego kurzu i rosnącej przy drodze szaławii. Tom zapatrzył się na niewysokie, zamglone góry majaczące na horyzoncie.

W Masadzie wysiedli z samochodu i Sharon wskazała na górę. Na szczyt skały, przypominającej sfinksa, prowadziła kręta ścieżka, był tam też wagonik kolejki linowej. Tom spojrzał na wąską, wijącą się dróżkę. Powoli wspinało się po niej dwóch ludzi z plecakami. Przypominali żuki o połyskujących w słońcu pancerzach. Już było gorąco, a robiło się coraz goręcej. Za nimi, w rozgrzanym powietrzu migotała spękana, pustynna równina, na której wiatr formował z piasku dziwaczne piramidy i stożki, błyszczące jak wapień. Z brwi spłynęła mu kropla potu.

- Mam nadzieję, że wjedziemy kolejką - powiedział.

- Im trudniejsza trasa, tym ciekawsze doświadczenia - odparła natchnionym głosem Sharon. - Będziemy potrzebować wody.

Włożyła do plecaka trzy butelki i zaczęli wspinaczkę. Narzuciła ostre tempo. Kiedy przeszli kawałek, zdecydował się jej opowiedzieć,

jak doszło do użądlenia. Przystanęła i zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Oddychała ciężko.

- Nadal masz halucynacje? To właśnie chcesz powiedzieć?

- Ona jest tak samo prawdziwa, jak ty.

Uznał, że niczego nie będzie udawał, niczemu zaprzeczał, czy przeproszał za prawdę. Znow ruszyli pod górę.

- Odkąd przyjechałem do Jerozolimy, ciągle gdzieś z tyłu głowy słyszę brzęczenie. Jakby pszczoły, teraz to do mnie dotarło. Potem brzęczenie zmienia się w mamrotanie. A teraz stało się monologiem narastającym w mojej głowie. Zawsze tuż przed zaśnięciem.

- A co mówi?

- Różnie. Próbuje opowiedzieć mi historię ukrzyżowania. Ale zupełnie inną niż ta, którą znam. Wszystkie wydarzenia są pomieszane i zniekształcone.

Szli mniej więcej dwadzieścia minut, cel był już niedaleko. Tom wyciągnął butelkę wody i podał jej. Oboje napili się łąpczywie.

- Wiem, co sobie myślisz.

- Wolałabym, abyś tego nie mówił.

- Ale wiem. Dopasowujesz to wszystko do tych swoich podręczników psychologii. I do twojego programu terapeutycznego. Chcę to usłyszeć.

- Nie obrażę cię w taki sposób.

- Po prostu *powiedz* mi, co o tym sądzisz! - powiedział. Jego gniew ją zaskoczył. - Powiedz mi to wprost! I zdejmij te ciemne okulary. Chcę ci spojrzeć w oczy.

- W porządku. Słyszałeś kiedyś o syndromie jerozolimskim?

- Nigdy.

Usiadła na skale.

- Wygląda na to - powiedziała - że śmierć Katie wywołała u ciebie kryzys. Romans i w związku z tym poczucie winy, to dość, aby rzucić pracę i przyjechać do Jerozolimy. Dlaczego właśnie tutaj? Cóż, ja tu jestem, i to jest dogodne. Ale także dlatego, że ze stratą Katie wiąże się też utrata twojej wiary, jakiejś części twojego chrześcijaństwa, a to wszystko ma związek z poczuciem winy. To, co wydarzyło się w Anglii, zachwiało twoją wiarą i stąd twoja obecność tutaj. Chcesz ją odzyskać. Ale to nie jest łatwe. Nie znajdziesz jej w starych ceglach, ani między kamieniami: jest o wiele głębiej.

- Mów dalej.

- Masz wizje: pojawia się jakaś kobieta i próbuje przekazać ci wiadomość. W Jerozolimie to nic niezwykłego, wierz mi. Przyjeżdżają tutaj turyści wszelkich wyznań, a jeśli ich oczekiwania się nie spełniają, zaczynają mieć wizje. Podpalają meczety, albo strzelają do ludzi. Policja i tutejsi psychiatrzy nazywają to syndromem jerozolimskim. W mojej pracy spotkałam się przynajmniej z trzema takimi przypadkami.

Halucynacje, głos: ta kobieta naprawdę jest częścią ciebie, twoją projekcją na wielkim, srebrnym ekranie Jerozolimy. Po części masz rację. Tak, ona chce ci przekazać wiadomość, jak najbardziej. I to ważną wiadomość, zgadza się. Ale to wiadomości od ciebie dla ciebie. Z mroku twojej nieświadomości. *Z otchłani*. Są niebezpieczne i trzeba

je traktować bardzo poważnie. Dotyczą tej części ciebie, którą blokujesz, z którą nieświadomie walczysz; a dopóki ich nie zintegrujesz, twoja osobowość jest zagrożona rozpadem.

Kiedy mówię rozpad, mam na myśli to, że klasyczne symptomy tego typu neurozy mogą świadczyć o schizofrenii, są zespołami urojeniowymi: widzisz ludzi, których nie ma i słyszysz ich głosy - znów założyła okulary. - Pytałeś, więc w skrócie ci odpowiedziałam.

- Przypuszczam, że powinienem być ci wdzięczny za szczerość - powiedział cicho Tom.

- Cóż, może ten opis jest trochę kliniczny, ale zawsze byłam z tobą szczerą, prawda? No i powinnam dodać, że niekoniecznie w to wierzę. Nauczono mnie tak na to patrzeć. Może to jest po prostu racjonalizacja. Może to Ahmed ma rację, i chodzi o *djinny*.

Tom pociągnął łyk wody z butelki. Sharon wyciągnęła rękę i pomogła mu wstać.

- Idziemy dalej?

Podczas wspinaczki milczał i rozmyślał o książkowej analizie Sharon. Oddychając ciężko, stanęli wreszcie na płaskim szczycie skały przypominającej kształtem sfinksa, na uświęconym miejscu samobójstwa przodków, którzy woleli targnąć się na życie niż popaść w niewolę. Nad siarkowymi, jałowymi wodami Morza Martwego unosiła się mgiełka. Wyschnięty krajobraz wisiał nad wodą jak skorpion nad swoją ofiarą.

- Właśnie dlatego zabrałam trzecią butelkę - powiedziała Sharon, wylewając sobie wodę na głowę.

Tom się roześmiał, złapał butelkę i resztę wody wylał na siebie. Weszli w głąb ruin fortecy. Spodziewał się jakichś duchów zbiorowego samobójstwa, echa krzyków przeciwko Rzymianom, cieni końca wojującego judaizmu, ale była tam tylko pustka.

Na dół zjechali kolejką.

Sharon zrobiła Tomowi zdjęcia nad Morzem Martwym. Zabrał ze sobą gazetę jako rekwizyt do obowiązkowego ujęcia, jak unosi się na wodzie i czyta jednocześnie. Martwa woda była śliska; wyziewy mineralne podrażniły mu oczy. Dryfował na plecach z zamkniętymi oczami.

Ledwie zdołał się rozluźnić, jak rekin runęła na niego wizja zakwefionej kobiety w ogrodzie. Poderwał się na nogi.

- Co się stało? - roześmiała się Sharon.

- Nic. Wychodzę.

Poszli do sadzawek błotnych. Sharon obrzuciła go leczniczym błotem i zmusiła, aby położył się w czarnym mule. Pod pulsującym, żółtym słońcem szybko zamienił się w twardą, szarą zbroję. Już nie był sobą. Był stworzeniem nocy, czymś pierwotnym, *golemem*.

Kolejną porcję błota rzucił na jej brzuch i delikatnie rozsmarował. Ucichła. Czuł, jak uspokaja się pod jego dotykiem. Wmasował błoto w jej twarz i szyję, a potem zajął się nogami.

- Odwróć się - powiedział cicho i narzucił na jej plecy kupki czekoladowego błota, rozgarniając je wzdłuż kręgosłupa i ud. Czuł się jak garncarz.

- Teraz ja cię wysmaruję z tyłu - powiedziała.

Nacisk jej palców promieniował aż do kości i pod warstwą jedwabistego mułu poczuł uderzenie gorąca. Uśmiechnęła się pod błotną maską, błysnęły białka jej oczu i zęby. Przełożyła nad nim nogę i delikatnie opadła na jego pośladki. Tom lekko zeszywniał, a potem się rozluźnił. Pod warstwą błota poczuł erekcję. Chciał to ukryć.

Siedzieli na plaży; kolor wysychającego błota przechodził z czekoladowego brązu w szarość popiołu. Czuli, jak naciągała się pod nim skóra. Tom miał wrażenie, że jego penis napęlnia się krwią. Miał ochotę zdjąć spodenki kąpielowe. Chciał być bliżej błota.

Tuż przy plaży stał rząd kabin prysznicowych. Umyli się, ostrożnie i w ciszy. Był to tajemniczy, prymitywny rytuał. Tom poczuł się czysty, odnowiony i pełen sił witalnych, jakby zrzucił starą skórę. Jakby porzucił na plaży zużytą, mroczną wersję siebie samego, jak pusty kombinezon, znikający w błotnej sadzawce.

Po południu zwiedzili jeszcze wykopaliska archeologiczne w Qumran, ale wkrótce poczuli się zmęczeni. Tom był senny.

- Przez całe lata sądzono, że to miejsce było skryptorium esseńczyków, w którym spisano zwoje znad Morza Martwego. Tylko dlatego, że znaleziono tutaj jeden kałamarz. Sądzono, że te cysterny służyły do rytualnego obmywania. Teraz wiadomo, że to było miejsce wytwarzania perfum, z których pieniądze płynęły do zelotów¹⁹. To była fabryka kosztownego balsamu.

Na dźwięk słowa „balsam” Tom poczuł mocny zapach. Doznanie było krótkie, ale bardzo intensywne. Potem zniknęło. Rozejrzał się po

¹⁹ Zeloci: ugrupowanie polityczno-religijne w rzymskiej Palestynie.

pozostałościach zabudowań. Od ziemi bił żar. Były tam tylko kamienie, przejmująca cisza i zapach rozgrzanego kurzu.

- Coś się stało? - zapytała Sharon.

- Ona tu była.

Sharon dotknęła jego ramienia.

- Chodźmy stąd.

Wyczerpani wrócili do Jerozolimy. Sharon zrobiła kawę, ale jej nie wypili. Zrzuciła buty i zasnęła na sofie. Dołączył do niej. Nie wiedział, jak długo spał. Obudził się w pokoju pogrążonym w ciemnościach, Sharon nie było. Wróciła owinięta w szlafrok po kąpieli, położyła się na sofie i ujęła w dłonie jego twarz. Pocałowała go.

- Nie rób tego, jeśli nie chcesz naprawdę - powiedział.

- Chcę.

Rozchylił jej szlafrok i zsunął go z ramion. Jej sutki były jak ciemne pąki. Przycisnął do nich usta. Włożyła dłoń w jego szorty, jej dotyk sprawił, że znów poczuł erekcję. Głaskała go długimi, szczupłymi palcami. Jej oddech był gorący jak pustynia, a zapach przypominał egzotyczne przyprawy.

Zaczął całować jej brzuch, ale powstrzymała go.

- Mam okres. Krwawię.

- W porządku - odparł. - Nie musisz brać dla mnie rytualnej kąpieli.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o tradycję.

- To tylko krew. Krew życia. Ci stuknięci prorocy chcą, abyś się nienawidziła, bo jesteś kobietą.

Położył się obok niej i wsunął język w jej usta. Widział w mroku jej oczy, jak czarne jeziora. Włożył palec głęboko w jej wnętrze, wyciągnął go i włożył do ust. Jej zapach wypełnił pokój. Czuł go na dłoni, był słonawy, mineralny, jak sól i piasek Morza Martwego.

- Przez cały dzień zakochiwałem się w tobie.

- Wiem.

Zrobiła to samo co on, wsunęła sobie palec do pochwy i namaściła jego penis krwią, rysując nią krąg wokół żołędzia. Znow ją pocałował, a ona położyła się i rozsunęła nogi. Z łatwością się w nią wślizgnął, a żar zalał go jak kula ognia. Jego umysł uniósł się na wysokość Masady; błyskawicą przetoczył się nad wyschniętą równiną i Morzem Martwym. Powiedziała mu, że to najgłębsze miejsce na Ziemi. Wytrysnął w niej i poczuł, że spada w najgłębszą otchłań Ziemi.

Włączyła lampę. Jego członek leżał na jej udzie, jak żołnierz w hełmie postrzelony w lesie. Krew zaczęła już na nim zasychać, łuszczyć się, zmieniać kolor na rdzawy. Pochyliła się, aby to obejrzeć, jakby krew pozostawiła runy, jakieś proroctwo do odczytania.

- Co robisz?

- Odczytuję przyszłość.

- Wróżono mi już z fusów po herbacie, ale to coś nowego.

- A to co? Popatrz, to jak hebrajska litera.

Spojrzał.

- To *bet* - powiedziała. - Biblia zaczyna się od tej litery.

- Chodź tutaj - powiedział. - Chodź tutaj.

- To uroczy człowiek - powiedziała Katie - naprawdę uroczy. Cieszę się, że zgodziłam się z nim spotkać.

- O czym rozmawialiście? - spytał Tom.

- O Biblii. Nienawidzi Pawła i kocha Marię. Spędził całe popołudnie rozkładając dla mnie Biblię na czynniki pierwsze. Nie miał na to szczególnej ochoty, ale go namówiłam.

- Zdaje się, że nie trzeba go specjalnie namawiać. Na przyjęciu bez przerwy o tym mówił. Spotkasz się z nim jeszcze?

- Nie. Proponowałam, ale odmówił. Powiedział, że jeśli znów się spotkamy, to się we mnie zakocha, a to będzie dla niego torturą. Powiedział, że dzięki temu jednemu popołudniu w parku będzie szczęśliwy na zawsze.

- A co z tobą? Zakochałabyś się w nim?

- Nie. Dawno temu dokonałam wyboru. I trzymam się go.

Tom pociągnął nosem. To ją rozwścieczyło. Stała na palcach i uderzyła go pięścią w klatkę piersiową.

- Wiesz, czym dla mnie jest nasze małżeństwo? - krzychała. - Co dla mnie oznacza? Wiesz, że się rozpada? Wiesz jak się przez to czuję? Wiesz, że nie mogę oddychać? Nie mogę oddychać, nie mogę oddychać, nie mogę oddychać!

No i stało się. Tego ranka Sharon jechała do pracy i po raz kolejny zastanawiała się nad tym, co zrobiła. Od przyjazdu Toma do Jerozolimy walczyła ze sobą, chciała uniknąć podobnych komplikacji. Jej życie emocjonalne dryfowało od jednej katastrofy do drugiej. Poranieni faceci byli jej rzeczywistością. Była do nich przywiązana. Pracowała z nimi. Zakochiwała się w nich. A jeśli nawet *niezupelnie* była w nich zakochana, jak w przypadku Toma, to nadal zdarzało jej się skończyć z nimi w łóżku.

- Musisz przestać sypiać z facetami tylko dlatego, że ci ich żal - oświadczyła sama sobie. Potem włączyła radio, aby zagłuszyć własne myśli.

Stary, dobry Tom był chodzącą katastrofą. Był straszliwie spięty i o ile mogła ocenić, cierpiał z powodu halucynacji i majaków bardziej, niż alkoholicy i narkomani, którzy do niej trafiali. Jednak łączyła ich długa przyjaźń, taka, która w powszechnym przekonaniu nie mogła zaistnieć między mężczyzną a kobietą. Poza tym czuła, że winna jest coś pamięci Katie; i że ostatecznie Katie zaakceptowałyby wydarzenia ubiegłej nocy.

Sharon była doświadczoną psychoterapeutką, wiedziała, że mogłaby pomóc Tomowi. Nie miała wprawdzie całkowitej pewności, czy jego problem wynikał z niemożności pogodzenia się ze śmiercią Katie, czy chodziło o jakiś incydent w szkole, czy może o jedno i

drugie. Cokolwiek to było, mogła mu pomóc. Miała dwie możliwości, obie skuteczne w ograniczonym zakresie. Mogła albo spędzić wiele godzin na ostrożnej, delikatnej psychoterapii, pomagając mu się zmierzyć z trudnościami, odbudowując jego pewność siebie, pokazując mu drogę, uspokajając go i ukazując pozytywne aspekty życia. Albo mogła osiągnąć to samo idąc na skróty i sypiając z nim.

I co z tego, że wybrała to drugie? Życie jest krótkie, tak?

To właśnie często powtarzała Katie: *Życie jest ulotne. Kocham to ulotne życie.* To było jej motto. I jej epitafium. Jakby wiedziała.

Wiedziała? Czy tylko przeczuwała tamtą noc?

Zanim Sharon wyjechała z Anglii do Izraela, któregoś dnia przejeżdżała przez miasto, więc złożyła Tomowi i Katie niezapowiedzianą wizytę. Stała w progu z butelką Frascati w ręce. Tom otworzył drzwi jak tylko dotknęła palcem dzwonka. Pod pachą trzymał długi, cienki pokrowiec ze skóry.

- Co to takiego?

- Kij do snookera²⁰. We wtorki gram z chłopakami w snookera - odparł Tom.

- Może odwołać - powiedziała Katie, wychodząc zza pleców Toma, całując Sharon i zabierając od niej butelkę.

- Zgadza się. Mogę.

- Nie, chłopcy muszą się czasem pobawić sami. Zostanę z Katie. Możecie mnie przenocować? Do zobaczenia, Tom.

²⁰ Snooker: gra bilardowa.

Spędziły noc na plotkach. Katie zawsze doprowadzała Sharon do śmiechu. Kiedy wypity wino, poszły do azjatyckiego sklepiku na rogu po kolejną butelkę i zajrzały przy okazji do wypożyczalni wideo.

Katie wskazała na część z soft porno.

- Tom wypożycza takie filmy - powiedziała smutno. - Tylko czasami. Myśli, że o tym nie wiem.

Sharon wyciągnęła jeden z nich, zatytułowany *Niezmożona*.

- Weźmy ten. Zobaczymy, co go kręci.

Wróciły więc, napiły się jeszcze wina i zapaliły trawkę, którą miała Sharon. Tom generalnie nie pochwalał narkotyków, ale trawkę tolerował. Dlatego Katie rzadko wracała do tego studenckiego obyczaju. Włączyły magnetowid i następną godzinę spędziły umierając ze śmiechu nad wyszukany scenariuszem i wybitnym aktorstwem. Wreszcie Sharon zatrzymała taśmę.

- Może właśnie tego potrzebuje - powiedziała Katie. - Trojga w łóżku.

- To zaproszenie? - Sharon żartowała, ale wyczuła u Katie dziwny nastrój.

- Nie - odparła Katie. - Nie mogłabym się nim dzielić. Nawet z tobą, kochana Sharon, nawet z tobą.

- Będiesz myśleć tak samo, kiedy będzie stary i siwy?

- Nie będzie mnie wtedy.

- Jak to cię nie będzie?

- Nie dożyję czterdziestki. W jakiś sposób wiem to od zawsze. Nigdy nie będę miała czterdziestu lat.

- Przestań! - powiedziała Sharon. Jednak spojrzała na Katie ssącą resztki skręta i wiedziała, że przyjaciółka mówi poważnie.

- Tak mi powiedziano.

- Jak to, powiedziano? Lekarz ci tak powiedział?

- Nie. Nie lekarz. Pewien mężczyzna. Po prostu wyszedł z samochodu i próbował wziąć mnie za rękę. Potem zniknął. Potem znów go zobaczyłam. Czy zdajesz sobie sprawę, że niektórzy ludzie spotkani na ulicy, wcale nie są ludźmi - że są kimś w rodzaju duchów?

- Nie strasz mnie, Katie.

- Przepraszam. Zapomnij, że to powiedziałam. Proszę, nie mów nic Tomowi.

Katie nie drążyła dalej tego tematu, próbowała obrócić go w żart. Wkrótce znów zaczęły się śmiać, Tom po powrocie do domu zastał je ledwie żywe ze śmiechu. Szybowały na własnej orbicie i Tom nie zdołał wyciągnąć z nich niczego sensownego. Zostawił je więc i poszedł do łóżka.

Wtedy widziała Katie po raz ostatni.

Teraz miała Toma w sposób, którego nie przewidziała. I była pewna, że gdyby Katie mogła zobaczyć, w jakim był stanie, wybaczyłaby Sharon i nawet to zaakceptowała.

Jadąc Hativat z Góry Syjon, Sharon spojrzała na miejskie mury i ujrziała sylwetki trzech żołnierzy na tle niebieskiego nieba. Ich uzi były swobodnie opuszczone. Czasami miała wrażenie, że żyje na kraterze czynnego wulkanu, który w każdej chwili może wybuchnąć

ogniem i lawą. Ogromne głązy wystrzeliwały z jego głębin, a stygnąc twardniały i zmieniały się w religie; albo pękały i stawały się aktami przemocy. Te myśli były jak swego rodzaju żar. Jerozolima. Zbyt długo żyję w tym mieście - pomyślała.

Pod wielką Bramą Jaffy skręciła w ulicę Yafo. Spokojna jazzowa muzyka, sącząca się z radia w samochodzie, zaczęła się rwać, jakby fale radiowe straciły zasięg. Kanał opanowały jakieś zakłócenia. Zaczęła przeszukiwać skalę, ale niczego nie mogła złapać. Spojrzała przez przednią szybę, odniosła wrażenie, że niebo przed nią nagle wygięło się, jakby pod jakimś straszliwym ciężarem. Jakby miało się zapaść. Gwałtownie wciągnęła powietrze i mocno nacisnęła hamulec. Koła samochodu zablokowały się i zapiszczały przenikliwie na gorącej, suchej drodze. Samochód zadygotał i stanął bokiem. Zakłócenia w radiu same zniknęły, a powietrze wypełnił czysty, kobiecy głos; *nie mogę oddychać, nie mogę oddychać, nie mogę oddychać, nie mogę oddychać...*

Głos zanikł, znów zastąpił go szum i trzaski, a potem wrócił chłodny dźwięk saksofonu. Sharon spojrzała w górę. Niebo wróciło na swoje miejsce. Ulica rozbrzmiewała gniewnymi klaksonami.

- Wyglądasz jak zwłoki - oświadczyła Tobie, zobaczywszy Sharon w recepcji Bet Ha-Kerem. Tobie w jednej ręce trzymała szmatę, a w drugiej plastikową butelkę z płynem do czyszczenia w sprayu. Pomimo że była szefem centrum rehabilitacji, myła też okna, zmieniała żarówki, a w torebce nosiła zestaw śrubokrętów. Miała

siedemdziesiąt lat, była freudystką, bywała szefem i dozorcą, ale przede wszystkim była przyjaciółką.

- I powinnaś być tutaj pół godziny temu.

- Miałam kryzys - odparła Sharon, podpisując listę.

Tobie uniosła w górę butelkę z detergentem.

- Moja droga, tu nie chodzi o mnie. Miej sobie swój kryzys. Pal sześć pół godziny. Ale dziś rano była tutaj twoja stara przyjaciółka Christina, unosząca się na białej chmurze. Powtarzała w kółko: mogę z nią rozmawiać, mogę z nią rozmawiać?

„Biała chmura” w ustach Tobie oznaczała prawdziwy problem. Christina była dawną klientką - pacjenci w centrum Bet Ha-Kerem byli klientami - która szczególnie przywiązała się do Sharon.

- O której przyszła? W jakim była stanie?

- W jakim była stanie? O wschodzie słońca po prostu weszła przez drzwi, naga, *koanie*, zupełnie naga.

Tobie wymówiła to jak *nga*.

- Już do niej idę.

- Łatwo trafisz: Biała Chmura. Nie zapomnij o zebraniu ekipy za godzinę.

Sharon weszła do pokoju zwanego Białą Chmurą. Przed drzwiami należało zdjąć buty. Było to pomieszczenie przeznaczone do poważnej psychoterapii, wygłuszone, leżał tam gruby dywan i stały wyściełane meble. Był to pokój, w którym się krzyczało, wrzeszczało i płakało. Nie był potrzebny zbyt często, ponieważ rehabilitacja większości alkoholiczek i narkomanek była długim, powolnym

zmaganiem się z zadaniami, jakie niesie normalne życie. Jednak przydawał się od czasu do czasu, kiedy któraś z klientek wpadała w szal.

Christina leżała na podłodze, owinięta w biały płaszcz kąpielowy dostarczony przez obsługę centrum. Długie, ciemne włosy przysłaniały jej twarz. Pod kosmykami Sharon widziała jej opuchnięte, zaczerwienione oczy. Przeszła przez pokój i cicho usiadła obok niej.

- Cześć, sestro - powiedziała miękko.

Żadnej odpowiedzi. Odgarnęła jej włosy z oczu.

- Co ty wyprawiasz, dlaczego przyszedłaś tutaj nago? - powiedziała spokojnie. - O co chodzi?

- Nie jestem, kurwa, twoją siostrą - powiedziała Christina nie patrząc na nią.

- Jasne.

- Gdzie byłaś? Nie było cię tu! Szukałam cię!

- Christino, ja tutaj nie mieszkam. Nie przebywam tu przez cały czas. Mam własne życie.

Christina po raz pierwszy trafiła do centrum jako narkomanka. Uzależniona od heroiny przeszła na metadon, ale nie była w stanie zrobić kolejnego kroku. W centrum przyłgnęła do Sharon. To był przełom, tyle że po jakimś czasie wróciła uzależniona od barbituranów. Kolejny przełom, wypracowany z ostrożną pomocą Sharon, zaowocował jeszcze jednym powrotem, tym razem z problemem alkoholowym. Każde takie „leczenie” kończyło się

zastąpieniem jednego uzależnienia przez inne. Christina nosiła w sobie ziejącą pustkę domagającą się zapełnienia. Wreszcie, po długotrwałej terapii, ustaleniu planu rutynowych działań przywracających jej życiu porządek i obietnicy bezwzględnego przestrzegania zaleceń, Christina ogłosiła, że jest czysta, kompletna i spełniona. Odnalazła religię.

W dniu, w którym Christina oznajmiła im dobrą nowinę, Sharon popatrzyła na Tobie. Na jej twarzy malował się niepokój, jaki sama odczuwała, chociaż obie sprawiały wrażenie, że się cieszą.

- To cudownie, moja droga. Co to za religia?

- Adwentystów - odparła Christina.

Sharon przygryzła wargę. Tobie, mądrzejsza i bardziej doświadczona, pocałowała ją. Pomogły jej w pakowaniu i patrzyły, jak odjeżdża, zaraz po małym przyjęciu dla pracowników i przebywających w centrum kobiet.

- Trzy miesiące - wyszeptała Sharon patrząc na Christinę taszczącą bagaż na zewnątrz.

- Mniej - powiedziała Tobie. - Mniej.

I miała rację, zabrakło dwóch tygodni. Oto znów tutaj była, aby zacząć wszystko od początku.

- Christina, powiesz mi, co się stało, dlaczego wróciłaś?

- Sza na na na na, sza na na na.

Nuciła jakąś melodię. Była to stara sztuczka Christiny, rodzaj pancerza, często nie do przebicia. Sharon westchnęła. Niejeden raz już tak siedziała, teraz znów zaczynała od nowa.

- Nie mam na to czasu. Przykro mi. To staje się dość nudne.

- Sza na na na, sza na na na, na na na.

- Wypchaj się, Christina.

- Sza na na na. Chcesz wiedzieć, jak to zrobili? Jak to zrobili?

Zrobili? Bili-bili. Bili bili bili bili.

- Co zrobili? Kto i co zrobił? Słuchaj, muszę iść na zebranie.

Christina uśmiechała się, miała zamknięte oczy, głową kołysała w takt swojej melodii.

- Zrobili bili. Zrobili, bili bili bili bili. Jej twarz nagle się wykrzywiła.

- Połamali mu pierdolone nogi. POŁAMALI MU PIERDOLONE NOGI!

I znów się uśmiechała, nucąc swoją rytmiczną melodię.

- Zrobili bili bili bili.

- Kto komu połamał nogi?

- Właśnie tak to zrobili. Gdzie byłaś? Przyszłam i nie było cię tutaj. Szukałam cię, Sharon. Pozwoliłaś mi upaść. Powiedziałaś, skacz, a ja cię złapię. Ale nie złapałaś mnie.

Sharon głęboko westchnęła. Doświadczyła tego wiele razy, nie tylko z Christiną. Za każdym razem sytuacja wydawała się niemożliwa do rozwikłania. Czasami była tym śmiertelnie zmęczona, na skraju wyczerpania. Chciała wykrzyknąć wszystkim Christinom: *Hej, idźcie w cholerę. Robię dla was wszystko, co mogę, a wy za każdym razem wracacie, czasem w gorszym stanie, niż przedtem. Są*

*tacy, którym mogę pomóc, i tacy jak wy, którym pomóc nie mogę;
dlaczego miałabym tracić czas na beznadziejne przypadki?*

Potem zmięła i znów odgarnęła Christinie włosy z oczu.

- Nie wiem, gdzie jesteś. Gdzieś bardzo daleko.

Wtedy Christina pociągnęła nosem i przysunęła się do Sharon, kładąc jej głowę na ramieniu. Sharon objęła ją, a Christina zaczęła cicho łkać.

- Nie mogę oddychać, nie mogę oddychać, nie mogę chać, nie mogę oddychać, bo ON nie może oddychać.

- Po co ja to robię? - mamrotał. - Dlaczego zabieram się za tę robotę, i to za darmo? Och, no dobra, popatrzmy. Niech będzie. Przeklęte zwoje. Wszyscy skrybowie to kłamcy. Skrybowie, pisarze redaktorzy, kopiści i wszyscy ci ludzie ledwie umiejący utrzymać pióro, a mimo to pracujący w skryptoriach. Popatrzmy.

Ahmed był uporządkowany. Rozpiął tkaninę zwoju na nieskazitelnym biurku, obok umieścił szkła powiększające, długopisy, zaostrzone ołówki i inne przyrządy do pisania, jakby to były sztuce przygotowane na bankiet. Jego biurko było wyspą, symbolem jego życia, pełnego *djinnów* i haszyszu. Było jak ołtarz, miejsce sakramentu, ale i ucieczki.

Podniósł wielkie szkło powiększające i najpierw popatrzył na własną dłoń, aby przekonać się, że nadal lekko drży po ciężkiej nocy spędzonej na walce z *djinnem*. Powiększony obraz własnej dłoni zaalarmował go. Paznokcie miały dziwny, zielonkawy odcień, były popękane i poobgryzane, a opuszki palców nikotyna zabarwiła na brunatno. Kostki palców miał opuchnięte i czerwone, jakby bił się na pięści. Czy to możliwe, zastanawiał się, aby samemu stać się *djinnem*? Opuścił rękę i skupił uwagę na rozpiętych na biurku fragmentach zwoju.

Pieprzone zwoje, kupa roboty i to za darmo. Dlaczego ja to robię? Dlatego, że marzę o nocy spędzonej na wędrówce po gorących

udach tej cudownej żydowskiej dziwki, dla której gotów jestem umrzeć? Dla której z radością rzuciłbym się z wysokości Masady w nadziei na pachnący pocałunek na dole? Suka! Dzwinka! Szmata! Boże, kochałbym cię wiecznie, a ty przyprowadzasz do mnie jakiegoś Anglika z fragmentami butwiejącego zwoju i chcesz, abym go przetłumaczył! Jakiś tunel bez znaczenia, kawałki spirali znikające w ciemności, jak kobieca dziurka. Sharon, czy zdajesz sobie sprawę, czy rozumiesz, że gdybym tylko miał cię w swoim łóżku, to wtedy, wtedy *djinn* mógłby *zostawić mnie w spokoju!* To beznadziejne. Muszę coś zapalić, zanim się za to zabiorę.

Ahmed podniósł się z za biurka i z niewiarygodną szybkością zwinął dwa zgrabne skręty. Jednego zapalił. Drugiego, niby specjalistyczne narzędzie, położył obok swoich utensyliów do pisania. Wydmuchując przez nozdrza smugę niebieskiego dymu znów zasiadł za biurkiem.

Wziął lupę i zaczął pobieżnie badać zewnętrzny skręt spirali. Po dwóch minutach oklapł.

- Genealogia! Kurwa! Kurwa! Co ja robię? I to z powodu bezsensownego marzenia o twoich nogach rozłożonych na magicznym dywanie? Nienawidzę cię, przebiegła, piękna matko wszystkich zdzir!

Ahmed miał doświadczenie, jeśli chodzi o zwoje. Wystarczająco znał się i na kopiach, i na oryginałach, aby wiedzieć, że większość z nich nie zawiera niczego ciekawego. W ogromnej większości były to szczegółowe instrukcje przebudowy świątyni, albo skomplikowane

drzewa genealogiczne pełne dat i nazwisk ludzi bez znaczenia dla historii. Spiralny zwój przed nim najprawdopodobniej należał do tej drugiej kategorii.

Miał pewną wiedzę o paleografii i na podstawie kształtu liter potrafił określić system datowania manuskryptów. Pismo hebrajskie zmieniło się od czasów powstania pierwszych i ostatnich zwojów. Leżący na biurku zwój był ewidentnie późniejszy, napisany, a przynajmniej skopiowany, mniej więcej w epoce herodiańskiej. Mógł to być jeden z ostatnich dokumentów, które wyszły z Qumran przed oblężeniem Masady, mógł też być po prostu kopią znacznie starszego dokumentu.

Ahmed uniósł szkło powiększające i przyjrzał się zbitce hebrajskich liter w samym środku spirali. Pismo w tym miejscu było niemal nieczytelne, a znaki niezwykle małe. Zdegustowany, odłożył lupę.

- Sharon - powiedział. - Och, Sharon, moja różo. Jestem chory z miłości.

Głosy ucichły. Głosy w jego głowie ucichły. Stały szmer urwał się nagle wraz ze słowami *Nie mogę oddychać*. Co się stało, że ucichły?

Miał sny. Koszmary, w których nie mógł oddychać. W nocy na jego piersi kładł się jakiś ogromny ciężar. Walczył, aby się obudzić i nadal tkwiąc we śnie uświadamiał sobie, że to nie jemu brakuje tchu. To głos nie mógł oddychać.

Głos, czyjaś obecność, senna mara, coś co rozpostarło nad nim skrzydła jak tylko przybył do Jerozolimy. Każdego dnia słyszał ten szept. Był tam przez cały czas, zawsze gotów się odezwać, przyczajony, dobiegający znikąd. Teraz, równie tajemniczo jak się pojawił, zniknął. Jakby nagle ktoś wyłączył dokuczliwe buczenie uszkodzonego sprzętu hi-fi.

Nie chciał, aby coś takiego spotkało Sharon. Nie po to przyjechał do Jerozolimy. W jakiś niejasny sposób czuł się winny, nie potrafił zgadnąć, jakie są jej oczekiwania. Miał nadzieję, że jej nie rozczaruje. No i była Katie. Jemu samemu wydawało się to idiotyczne, ale w głowie miał obraz Katie obserwującej ich gdzieś z wysokości. Patrzyła, jak się kochają, chłodno oceniała jego wysiłki. Zastanawiał się, czy gdyby to on umarł, to wolałby, aby Katie znalazła ukojenie w ramionach bliskiego przyjaciela, czy kogoś zupełnie obcego? Odpowiedź była tylko jedna. Mógłby to być ktokolwiek pod warunkiem, że byłby jej szczerze oddany.

Sharon wyszła do pracy, ale jej ostry zapach był wszędzie, przenikał go. Na palcach ciągle czuł jej oszłamiającą woń.

Co działo się z ludźmi po seksie? Odpowiedź wcale nie była taka oczywista, jak mogłoby się wydawać. Istniał wszak świat doznań, których nie mogła dać najlepsza nawet profesjonalistka. Cóż bowiem może dać prostytutka? Chusteczkę, jeśli się kichnęło? Nie zaspokoi tej tęsknoty, nieopanowanego głodu intymnego momentu zatapiania się w ramionach drugiej osoby. To jest dar jednego człowieka dla drugiego i zawsze tak będzie. Można go komuś dać, lub nie; można nawet udawać, ale nie można go kupić.

Był to cud wpisany w ludzkie życie. Coś, co religia od zawsze usiłowała naśladować, nawet przejąć, bez powodzenia. Wszystkie religie w tym punkcie zawiodły.

Główne religie semickie próbowały ludziom wmawiać, że to grzech i zguba; próbowały regulować człowieczy los za pomocą cenzury; starały się ten cud pozbawić mocy i odrzeć z magii.

Założenia są proste: seks w swych podstawach to narzędzie szatana, a odkąd mężczyźni zaczęli tworzyć definicje, sprowadzili kobietę do roli naczynia zamieszkanego przez demony.

Tom wiedział wszystko o demonach i o tym, jak działają. Powąchał swoje dłonie. Na palcach znów poczuł zapach Sharon. Przeniknął go dreszcz. Ten bodziec wywołał wspomnienia, i sam już nie wiedział - anioły to, czy demony.

Po incydencie w szkole, Tom zaczął bacznie obserwować dziewczynę, która była przyczyną całego zajścia. Zobaczył, jak śledzi

każdy jego ruch, spija słowa z jego ust, rumieni się na dźwięk jego słów, kuli się przy najmniejszej krytyce z jego strony.

Miała piętnaście lat i była śliczna jak jedwabisty kwiat, aż po ostatnią rzęsę na powiekach jej wielkich oczu. Miedziane włosy połyskiwały w świetle klasowych lamp, cera lśniła delikatnie, jak dojrzałe jabłko. Wiedział już, dlaczego chłopak oszalał dla niej; nie było w tym nic dziwnego. Zawsze siadała z przodu, jak najbliżej Toma, ubrana w wykrochmaloną białą bluzkę, przez którą mógł dostrzec zarys jej piersi. Z lewej strony, tuż nad piersią, widniała krwawiąca róża szkolnego emblematu. Pamiętał, jak na moment go to rozproszyło; mówił coś do uczniów i stracił wątek.

Zauważyła to. Uśmiechnęła się w poczuciu zwycięstwa. Nie odwzajemnił uśmiechu.

Dziewczęta w jej wieku mają tajemniczy, nieodparty urok. Nic dziwnego, że mnóstwo mężczyzn ugania się za nimi, a to z kolei wywołuje niechęć i nienawiść dojrzałych kobiet. Ale po pierwszych osiemnastu latach życia ten niezwykły blask zaczyna przygasać. Społeczne uwarunkowania sprawiły, że największa aktywność seksualna kobiet przypada na okres ich dojrzałości psychicznej, co poniekąd jest sprzeczne z naturą, która najbardziej płodne lata wyznaczyła na ich okres szkolny. Jakże to musi frustrować kobiety, myślał Tom, dużo bardziej niż mężczyzn. Wiedział, że Katie też o tym wie i że jest to przedmiotem jej zmartwienia oraz mnóstwa zabiegów, odwoływania się do pomocy tysięcy kosmetyków, słoiczków pełnych kremów i żelaznej dyscypliny. Często próbował ją przekonywać, że

zmiany w jej wyglądzie nie mają żadnego znaczenia, jednak trafił w próżnię. Nie dowierzała mu, chociaż był w tym całkowicie szczery.

Wchodząc do klasy przyjrzał się dziewczętom. Niektóre z nich, chociaż ubrane w nudne, szkolne mundurki, wyglądały jak syreny w prowokacyjnie krótkich spódniczkach, w czarnych, szeleszczących rajstopach i wyczyszczonych do połysku butach na obcasach tak wysokich, jak tylko się dało. Obrazu dopełniały starannie pomalowane paznokcie, wyprostowane szyje i piersi jak pąki kwiatów pod odprasowaną białą bawełną i krwawiącą różą. Wokół nich unosił się zapach ciężki od feromonów, wciskających się w każdy zakamarek, jak rozsypane ziarenka maku.

Tajemniczy powab? Nie było w tym nic tajemniczego.

Przestań, powiedział do siebie Tom w opustoszałej klasie. *Po prostu przestań*. Każdego nauczyciela nękały fantazje o uczennicach i albo im się folgowało, albo trzymało na wodzy. Po prostu. Więc trzymaj je na wodzy. Dziewczęta miały tylko po czternaście, piętnaście lat. Takie fantazje były niesmaczne, chore i niebezpieczne.

I nieuniknione.

Dźwięk nagranych na taśmie wezwania do drugiej modlitwy w ciągu dnia wibrował ponad rozgrzany na słońcu dachami. Tom szedł wąskimi uliczkami dzielnicy muzułmańskiej. Ulice wypełniała woń gnijących owoców, przypraw i rozgrzanego kurzu. Wczesne cienie wyglądały jak wilgotna ektoplazma ściekająca ze ścian i drzwi. Nie miał problemów ze zlokalizowaniem tego miejsca. Nie powiedział Sharon, że się tu wybiera.

Zadzwoił do drzwi i czekał. Przypomniawszy sobie coś i nacisnął dzwonek po raz drugi, trzeci i czwarty, aż wreszcie w oknie ponad nim pojawiła się twarz w oprawie potarganych, czarnych włosów. W dół, bez śladu rozpoznania, zerknęły przekrwione oczy. Potem o ziemię uderzył pęk kluczy i głowa zniknęła.

Drzwi u szczytu kamiennych schodów stały otworem. Tom zawahał się w progu.

- Witaj - powiedział niepewnie Ahmed. Niezdecydowanym ruchem podrapał się po głowie. Miał na sobie białą bawełnianą szatę i był boso.

- Usiądź, a ja zrobię herbaty.

Tom opadł na poduchy leżące na podłodze i spędził dwadzieścia minut przyglądając się obrazom na ścianach. Wyglądało na to, że Ahmed o nim zapomniał. Wreszcie pojawił się z tacą zastawioną szklankami z miętową herbatą i małymi ciasteczkami.

- Wybacz mój wygląd i dezorientację - powiedział - ale ostatniej nocy stoczyłem jedną z najgorszych bitew z *djinnami*. W mieście jest niespokojnie. Były w okropnym nastroju i nie byłem w stanie ich ułagodzić. Przespałem ledwie kilka chwil.

Tom nie miał pojęcia, jak odnieść się do tych uwag, wygłaszanych pośród ziewnięć i lekceważących gestów. Ahmed mówił o dręczących go demonach, jakby mówił o niedogodnościach związanych z pogodą, faktycznie jednak wyglądał jak człowiek, który spędził noc na zapasach z potężnym wrogiem.

- Czy jest ich... więcej niż jeden?

Zadając to pytanie, Tom czuł się trochę głupio.

Ahmed obrzucił go dziwnym spojrzeniem, być może zaskoczony tym, że kogoś interesują jego dręczyciele. Tom pociągnął łyk wspaniałej miętowej herbaty, byle tylko uciec przed jego wzrokiem.

- Och, tak. To znaczy, oczywiście, w zasadzie jest jeden, ale potem robi się z niego siedem i z tych siedmiu następane siedem i tak dalej, chyba że uda mi się je powstrzymać.

Wstał, wyciągnął małe, rzeźbione, drewniane pudełko i znów usiadł. Tom pomyślał, że Ahmed chce mu coś pokazać, ale on tylko wyciągnął bibułki i paczuszkę haszyszu. Fachowo zwinął skręta i podał go gościowi. Tom odmówił, więc zapalił go sam.

- To znaczy, chodzi o to, żeby powstrzymać *djinny* przed powielaniem się?

- Tak. Z pewnością.

- Tom, poprzedniej nocy miały pyski pawianów i chciały mnie nabrać.

- Pamiętasz, jak mam na imię!

- Nie zapominam inteligentnych ludzi. Ponadto myślę, że to piękne, jak się rumienisz i siorbiesz herbatę. Więc odezwałem się do nich ostro. *Nie myślcie sobie, że jako małpy możecie mnie dręczyć. Albo walczymy jak ludzie, albo wcale.* One to rozumieją.

- Tak?

- O tak. Jeśli się poddasz, to nie ma zabawy. One muszą walczyć, inaczej umierają.

Tom był zbity z tropu.

- Czy nie o to ci chodzi?

Ahmed zaciągnął się głęboko i wypuścił długą, cienką strużkę niebieskiego dymu. Spojrzał na Toma z lekkim politowaniem.

- Zwój. Przyszedłeś dowiedzieć się czegoś o zwoju. Chcesz wiedzieć, co znalazłem.

- Tak. Zastanawiałem się, czy udało ci się coś odczytać. Jestem ciekawy, co w nim jest.

Było to kłamstwo; albo raczej część prawdy. Tom nie był zbyt zainteresowany zawartością zwoju, który powierzył Ahmedowi, ale był to jedyny pretekst, aby tutaj przyjść.

Ahmed kiwnął głową.

- Zwój. Tak. Zwój. Wygląda na bardzo interesujący.

- O? W jakim sensie?

Ahmed zastanowił się głęboko.

- Jest niezwykły. I dość trudny do przetłumaczenia. Wywołuje migrenę, wierz mi. Więc postęp jest powolny. Ale lada dzień będzie gotowy.

Uśmiechnął się słabo. Jego uśmiech był martwy jak pęknięcie w owocu i Tom wiedział, że został okłamany. Ahmed zapewne ledwie rzucił okiem na zwój.

- Dobrze - powiedział. - Cieszę się, że dobrze ci idzie.

- Tak. Dobrze. Ale powoli.

- Sharon mówi, że masz głowę nie od parady.

Ahmed skrzywił się ironicznie.

- Jestem też całkiem seksowny.

- Nie schlebiam ci po to, abyś szybciej pracował. Wiem, że tak właśnie sobie pomyślałeś.

Ahmed był pod wrażeniem.

- Masz wielką intuicję. Myślisz jak Arab. Czekał, właśnie coś sobie uświadomiłem.

- Co takiego?

Ahmed wpatrywał się intensywnie w jakiś punkt tuż ponad ramieniem Toma.

- Twój *djinn* zniknął.

- Naprawdę?

- Tak. Zniknął. Zapomniałem o tym. Ostatnio, kiedy tu byłeś, czepiał się twojego karku. Jak się go pozbyłeś?

- Nie mam pojęcia.

Westchnął.

- Skoro nie wiesz, to z pewnością wróci.

Tom przyszedł do Ahmeda porozmawiać o *djinnach*. Miał nadzieję, że zwój będzie wystarczająco dobrym pretekstem. Był miło zaskoczony, że Ahmed nie broni się przed rozmową na ten temat. Zastanawiał się, co jeszcze może powiedzieć. Poprosił więc, aby opisał mu, co widział.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział Ahmed - opisywanie swoich *djinnów*.

- Dlaczego nie?

Wzruszył ramionami.

- Ponieważ ubierając je w słowa, wzmacniasz je. Lubią stroić się w słowa jak w piórka. Jesteś kochankiem Sharon?

- Nie. Dlaczego mówienie o nich je wzmacnia?

- Byłeś w którymś z naszych meczetów? Tworzenie podobizn zwierząt, proroków, a nawet ludzi, jest zabronione. Tylko Allah może to robić. Ponadto w Koranie jest napisane, że nie powinno się mówić o *djinnach*, duchach i demonach, żeby ich nie obudzić, bo wezwane w ten sposób sprowadzą na ludzi plagę. Dlaczego mi skłamałeś na temat Sharon?

- Nie wiem. Po prostu. Co to za różnica, jeśli *djinn* i tak już tam jest?

- Więc jesteś jej kochankiem.

- Chciałbym wiedzieć, co widziałeś.

- Widziałem, jak kurczowo się ciebie trzyma. Wisiał na twojej szyi jak ciało, którego nie można z siebie zrzucić.

- W jaki sposób *djinn* się do kogoś przyczepia?
- Czekają na drzewie. A kiedy pod nim przechodzisz, spada.
- Gdzie było to drzewo? W Anglii, czy tutaj, w Jerozolimie?
- Nie bądź głupi. Spada z Drzewa Życia.
- Był młody czy stary? Mężczyzna czy kobieta?
- Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo pragnę tej kobiety. Nie, sądzę, że kłamiesz. No już, to prawda, zgadza się? Ty i ona jesteście kochankami?

- Być może. Tak.

Ahmed jęknął, pochylił głowę i schował twarz w dłoniach. Uniósł głowę, na policzkach miał łzy. Potem zaśmiał się z goryczą.

- Zawsze ktoś mi ją kradnie!

- Byłeś jej kochankiem?

- Nie, ale na pewno byłbym nim, gdybyś mi jej nie ukradł.

Tom nie potrafił ocenić, czy Ahmed mówi poważnie, czy tylko żartuje.

- Opowiedz mi więcej o moim *djinnie*.

- Dobrze, powiem. Była to kobieta. Wisiała na twojej szyi bardzo stara kobieta, ale udawała, że jest młoda. Albo może odwrotnie. Kto wie? Może to Arabka. Nie wiem. Posługuje się wieloma językami: aramejskim, starożytnym hebrajskim, greką, łaciną. Twierdzi, że знаła Jezusa Chrystusa.

Tom poczuł na skórze zimny dreszcz. Strach ścisnął mu gardło.

- Tak - powiedział Ahmed, poważniejąc nagle. - Widziałem ją. Teraz widzisz, że Ahmed nie jest stukniętym ćpunem. Wierz mi: *djinny* są prawdziwe.

- Musiałem się dowiedzieć. Wybacz, że w ciebie zważyłem.

Nastrój Ahmeda uległ zmianie. Tom uświadomił sobie, że przedtem pewnie trochę grał, ale teraz jego oczy spochmurniały, twarz przybrała wyraz goryczy.

- Nie jesteś pierwszy. Nie wszystko można wyjaśnić tą cholerną psychologią, którą uprawia Sharon.

- Jestem skłonny zgodzić się z tym. Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tej kobiecie? Wiesz, kim jest?

- Ja nie. Ale ty owszem. Nie potrafię ci powiedzieć nic ponad to, co właśnie usłyszałeś. Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

- Więc opowiedz mi teraz o twoim *djinnie*.

- A niby dlaczego miałbym to zrobić? Przychodzisz tutaj i nie masz mi czym zapłacić. Jak większość turystów przyjeżdżasz do Jerozolimy tylko po to, aby brać. Dlaczego miałbym jakiemuś obcemu Anglikowi zdradzać sekrety mojego serca? Dlaczego do cholery miałbym to zrobić?

- Bo jesteś uprzejmym człowiekiem. I dlatego, że chcesz pomóc komuś, kto cierpi.

- Tak, to prawda, cierpisz. Ale dlaczego miałbym wyciągnąć do ciebie pomocną dłoń? Czy ty ją do mnie wyciągasz?

Tom nie wiedział, co to miało oznaczać. Sugestię, że powinien mu zapłacić? Chmura, która spowiła Ahmeda sprawiła, że wyglądał

na znacznie starszego, niż był w istocie; nie był to już żartujący, chłopięcy Arab, ale ktoś o wiele groźniejszy, nieprzewidywalny, nawet niebezpieczny.

- Nie, widzę, co myślisz. Nie to miałem na myśli mówiąc o wyciągnięciu ręki.

- Co mogę ci dać?

- Dam ci zaufanie. I ty dasz mi zaufanie. Ja zdradzę ci mój sekret. Ty zdradzisz mi swój.

- Nie mam żadnego sekretu.

- Więc wypij herbatę i uściśnijmy sobie ręce na pożegnanie.

- Zaczekaj. Mam sekret.

- Wiedziałem.

Ahmed skręcił kolejnego cienkiego papierosa z haszyszem i zapalił go. Czekał, aż Tom zacznie mówić.

- Dla ciebie nie ma to znaczenia. Zabrzmi idiotycznie. Ale powiem ci, dlaczego rzuciłem pracę nauczyciela w Anglii. Nie powiedziałem o tym nikomu. Nie powiedziałem nawet Sharon.

Tom zaczął więc opowieść o okolicznościach rezygnacji z pracy. Ahmed słuchał uważnie i nie przerywał. Tom skończył i westchnął głęboko. Ahmed, zanim się odezwał, z namysłem pokiwał głową.

- To jest to drzewo, Tom, z którego spadł na ciebie *djinn*. Bardzo mroczne Drzewo Życia i bardzo stary *djinn*. Tak, odeszła na chwilę, ale kto wie, czy nie wróci? Teraz znam twój sekret.

- Tak.

- Widzę, że trudno ci było o tym opowiedzieć. I odpłacę ci się opowieścią o mojej tajemnicy.

Przedtem Ahmed dolał mu miętowej herbaty i skręcił sobie kolejnego papierosa z haszyszu. Zapalił go i twardo spojrzał na Toma.

- Z moich ust wyjdą tylko słowa prawdy. Kłamstwo jest wrogiem. Posłuchaj mnie uważnie, bo dam ci coś, co pomoże ci odróżnić prawdę od kłamstwa.

Wciągnął haust dymu i przeszedł przez pokój. Zbliżył usta do warg Toma.

- Otwórz usta - wydusił.

Unieruchomił dłonią podbródek Toma i delikatnie wdmuchnął mu do gardła cienki strumień dymu.

- Wciągnij go do płuc.

Tom wciągnął dym. Był chłodniejszy, niż się spodziewał, jednak zaciągnięcie się nim spowodowało lekki skurcz gardła i wycisnęło mu łzy z oczu. Wytrzymał przez chwilę, zanim go wypuścił. Serce mu łomotało i lekko kręciło mu się w głowie.

Ahmed wrócił na swoją poduchę i skrzyżował nogi. Potem zaczął opowieść.

Bismillah al-Rahmani al-Rahim. W imię Boga litościwego i współczującego pozwól, że opowiem tę historię bez przekłamań i zniekształceń. Niechaj demony kłamstwa ani duchy fałszywego świadectwa nie skalają mojego języka. Choć nikt oprócz Boga nie może wejrzeć w najmroczniejsze zakamarki ludzkiego serca, pozwól mi zapalić latarnię prawdy, która oświecili nam drogę wyjścia z cienia ku światłu.

Po raz pierwszy usłyszałem o istnieniu Mistrzów, czy też „Bliskich”, jak powinno się ich właściwie nazywać, na jednym z waszych angielskich uniwersytetów, w mieście Leicester. Traciłem wtedy mnóstwo czasu na normalne, studenckie życie. Łamałem muzułmańskie prawo i spożywałem alkohol. Spędziłem trzy lata upijając się do nieprzytomności i próbowałem - ze zmiennym szczęściem - zaciągnąć do łóżka angielskie dziewczyny. Zapisalem się na studia podyplomowe. Byłem członkiem Stowarzyszenia Studentów Muzułmańskich i wojowniczym, uczelnianym aktywistą, bardzo zaangażowanym, nie bardzo już pamiętam w co. Najbardziej bawiła mnie rola zakwały Stowarzyszenia Studentów Muzułmańskich.

Jednak dosięgła mnie kara, bo zakochałem się w Victorii, głupiutkiej Angielce z klasy średniej. Kochała się ze mną tylko raz, a potem nie chciała mnie więcej widzieć. Rozpaczałem, otwarcie płakałem nawet. Publicznie załamywałem ręce. Wypijałem potworne

ilości taniej whisky. Pamiętam koszmarne przebudzenia z głową jak pęknięty melon. Znasz to uczucie?

Przyjaciel o imieniu Rashid, przewodniczący Stowarzyszenia Studentów Muzułmańskich sprawił, że wziąłem się w garść i przestałem robić z siebie durnia przed całą uczelnią. Pomógł mi. Przestałem pić i zdołałem obronić pracę dyplomową. W pewien weekend Rashid zabrał mnie do Bradford, miał tam przyjaciół. Rozmawiałem z nimi i wspomniałem, że jestem z Leicester. Usłyszałem wtedy o człowieku, którego powinienem odwiedzić. Tam po raz pierwszy w mojej obecności padły słowa Mistrzowie i Bliscy.

Wróciłem do Leicester na tyle zaintrygowany, że odszukałem adres, który mi podano. Był to skromny dom z tarasem w azjatyckiej dzielnicy. Nikomu nie powiedziałem, że się tam wybieram, ale miałem wrażenie, że mnie oczekiwano. Zadzwoiłem, drzwi otworzyła Arabka, gestem zapraszając do środka. Poprowadziła mnie do zaciemnionego pokoju na tyłach domu. Na podłodze, pośrodku pomieszczenia siedział mężczyzna. Przed nim leżała poduszka, jakby czekał na kogoś. Już miałem wejść do pokoju, ale ostrzegawczo uniósł dłoń.

- Stój! - powiedział. - Zaczekaj przy drzwiach. Zbyt dużo w tobie alkoholu.

Byłem zdumiony. Nie piłem od trzech tygodni i powiedziałem mu to.

- Trzy lata - odparł. - Trzy lata upłyną, zanim *djinny* cię zostawią, i to pod warunkiem, że przez cały ten czas nie będziesz pił. I jeśli przestaniesz się uganiać za kobietami.

Pomyślałem, że ktoś uprzedził go o tym, że przyjdę, ale to było niemożliwe. Moja wizyta w Bradford była całkowicie przypadkowa. Spojrzałem na mężczyznę siedzącego na podłodze. W półmroku nie dało się określić, ile mógł mieć lat. W jego okularach odbijało się światło lamp, więc nie widziałem oczu, tylko szare włosy i zmarszczki na skórze. Pomyślałem, że może być Hindusem lub Irańczykiem, ale ubranie w zachodnim stylu nie było żadną wskazówką.

- Przez te zakłócenia wywołane alkoholem nic nie mogę dla ciebie zrobić - powiedział. - Wróc za rok.

- Za rok mnie tutaj nie będzie. Wracam do Palestyny - wciąż tkwiłem na progu.

Jego okulary błysnęły w świetle.

- Jeśli zatrzymasz się w Palestynie, to nie na długo - stwierdził.

Wezwał kobietę, która przez cały czas stała za mną, i coś do niej wyszeptał. Wyprowadziła mnie na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Masz szczęście - powiedziała. - Naprawdę szczęściarz z ciebie.

Potem na kartce papieru po arabsku napisała nazwisko i adres.

- Idź i spotkaj się z tym człowiekiem. Adres był w Bagdadzie.

- Bagdad! - prawie krzyknąłem. - Dlaczego miałbym jechać do Bagdadu?

W życiu tam nie byłem i nie miałem najmniejszej ochoty jechać do sterroryzowanego i zmilitaryzowanego Iraku.

- W takim razie nie jedź - powiedziała, wypychając mnie przez frontowe drzwi.

Oszołomiony i zdezorientowany znalazłem się na ulicy.

Nie miałem zamiaru jechać do Iraku, ale i tak schowałem kartkę do kieszeni. W ciągu dwóch tygodni wróciłem do Palestyny, do Jerozolimy, zastanawiając się nad swoją przyszłością. Kręciłem się tam jakiś czas, próbując tego i owego. Nawet zasłaniałem twarz chustą i rzucałem kamieniami w izraelskich żołnierzy. Zabawę zakończył pocisk, który przeszył moje udo. Gdyby przeszedł o cal wyżej, rozmawiałbyś teraz z eunuchem.

Nie miałem tam nic do roboty. Myślałem o tym, aby wrócić do Anglii. Potem przypomniałem sobie o świstku papieru w kieszeni i pojechałem do Bagdadu.

Był rok 1976. Tylko kilku lat brakowało do rewolucji religijnej w sąsiednim Iranie, i trzy lata do prezydentury Saddama Husseina w Iraku. Odbyłem koszmarną podróż autobusem przez Irak i dotarłem do Bagdadu przybity i chory. Czarę goryczy przepełniła chmara ohydnych much, które opadły mnie przy wysiadaniu z autobusu. Miałem ochotę natychmiast wracać do domu.

Nie zrobiłem tego. Poszedłem prosto pod adres, który dostałem w Anglii. Powiedziano mi, że człowiek, z którym chcę się zobaczyć, wyjechał do małej wioski w pobliżu Kirkuk. Przez dwa dni miotalem się w bezsilności i przeklinałem swoją głupotę. Potem wsiadłem do autobusu powrotnego, zamierzałem znów przebyć pustynię i wysiąść

dopiero w Palestynie. Autobus zepsuł się po drodze, piętnaście mil od Kirkuk. Wyobraź sobie, jak się poczułem.

Pytałem w okolicy o tajemniczego człowieka. Nikt go nie znał. Wreszcie pasterz kóz pokazał mi, który to dom. Stałem przed całkiem okazałą rezydencją. Służący kazał mi poczekać na ganku. Czekał tam jeszcze ktoś, młody Irakijczyk o imieniu Mehemet.

- Czekasz na Abd Al-Qadir Al-Karima? - zapytałem go.

- Język Ukrytych?

- Tak, tak. Jak zwał tak zwał. Byłem u kresu cierpliwości.

- Tak, czekam na niego.

- Czy on jest Mistrzem? Jednym z Bliskich?

- Jeżeli tak jest, to nie nam o tym wyrokować.

- Do diabła z tym. To jest, czy nie?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

No cóż, miałem dosyć. Pomaszerowałem przez senną wioskę z powrotem, do autobusu. Tyle że już go tam nie było.

Wróciłem więc do rezydencji. Służący był zajęty pakowaniem koców i jedzenia do dwóch dużych toreb. Jedną podał Mehemetowi, a drugą mnie. Powiedział, że idziemy na pustynię, bo tam właśnie spotkamy Abd Al-Qadir Al-Karima. Maszerowaliśmy jakieś siedem mil. Mehemet bardzo ucichł i sposepniał. Ja zaś przeklinałem tajemniczego człowieka za gierki, których padłem ofiarą. Jego sługa (zawsze trzy kroki z przodu) nie zadawał żadnych pytań. Wreszcie, znużony moim natarczywym zachowaniem, odwrócił się i powiedział: „Jeśli jest twoim nauczycielem, wyniesiesz pożytek z jego oświecenia,

nawet jeśli nie będziesz sobie z tego zdawał sprawy. Może wprawić cię w niepewność. To zamierzone i konieczne. Jest skromny i pozwala, abyś powoli odnalazł to, czego szukasz. Będzie pracował nad tobą nawet bez twojej wiedzy".

Zagadki. Tylko tyle udało nam się wydobyć z upartego sługi. Lżyłem go za jego tępotę. Obrzucałem wyzwiskami, jakie tylko przyszły mi do głowy, a wierz mi, trochę ich znam.

Zanim nad pustynią zapadł zmrok, dotarliśmy do jaskini. Sługa kazał nam rozłożyć koce i przygotować się do snu. Być może już to wiesz, ale Mehemet i ja potrzebowaliśmy niemal trzech dni, aby uświadomić sobie, że brudny służący to sam Abd Al-Qadir Al-Karim.

W jaskini spędziliśmy z nim trzy lata. W pobliżu była woda, a po zapasy jedzenia Mehemet lub ja chodziliśmy do wioski. Potrzeby mieliśmy minimalne.

I uczyliśmy się różnych rzeczy. Mądrych i cudownych. Medytowaliśmy i modliliśmy się. Poprzez dyscyplinę wkraczaliśmy na drogę ku świętości, oczyszczaliśmy umysł z grzechów, a duszę ze słabości. Nauczyłem się sztuki poezji. Mehemet zgłębiał sztukę śpiewu i rytmu pozwalającą manipulować ludzkimi emocjami. Mistrzowsko opanowałem hipnozę. Uczyliśmy się, w jaki sposób wezwać *djinny* i jak je kontrolować. Dowiedzieliśmy się także, jak obudzić anioły - moce ukryte w ludzkich zdolnościach.

Po trzech latach nasz nauczyciel nagle zniknął. Któregoś ranka obudziliśmy się, słońce wznosiło się ponad liliowe góry, a na niebie wciąż jeszcze wisiał księżyc. Abd Al-Qadir Al-Karima nie było. Przez

dwa tygodnie czekaliśmy na jego powrót, ale się nie pojawił. Wreszcie wraz z Mehemetem poszliśmy poszukać go w wiosce.

Wreszcie tam dotarliśmy, ale w jego domu zastaliśmy jakąś rodzinę. Nikt nie słyszał o Abd Al-Qadir Al-Karimie. Wszyscy zgodnie twierdzili, że mieszkają tam od trzech pokoleń. Popatrzyli na nasze łachmany i uznali, że zbyt dużo czasu spędziliśmy na pustyni.

Byliśmy oszołomieni. Bez nauczyciela straciliśmy orientację. Musieliśmy zebrać o jedzenie; dotąd to on zaspokajał nasze skromne potrzeby. Kręciliśmy się tam przez miesiąc czy dwa, czekając na jego powrót. Byliśmy wtedy godni pożałowania. Wreszcie ruszyliśmy z powrotem do Bagdadu, po drodze zarabiając na życie pokazywaniem sztuczek i recytowaniem poezji.

Nastroje polityczne uległy zmianie. W Iranie była rewolucja, Saddam Hussein, nowy prezydent Iraku, bał się, że jego kraj może podążać tą samą drogą, więc z rozmysłem sprowokował konflikt irańsko-iracki. Dwaj włóczędzy z pustyni nie mogli liczyć na tolerancję. Wiedziałem, że jeśli szybko się stamtąd nie wydostaniemy, trafimy w sam środek wojny.

- Nasz Mistrz - któregoś dnia powiedział do mnie Mehemet - nie był człowiekiem. Był duchem, czyż nie? Był *djinnem*? Aniołem? A może demonem?

Złapałem go za kołnierz.

- Nigdy więcej nie mów w taki sposób! - warknąłem mu w twarz. - Nigdy!

Przedostaliśmy się do Syrii ciężarówką pełną rozczarowanych Palestyńczyków. Byliśmy ledwie żywi. Pewnego ranka Mehemet rozszlochał się jak dziecko. Przez te lata stał mi się bliski jak młodszy brat, tak bardzo go kochałem. Płakał z tęsknoty za dniami spędzonymi z naszym nauczycielem, wszystko było wtedy jasne jak słońce i księżyc nad pustynią, płakał za dniami wypełnionymi tylko nauką.

- Zgubiliśmy drogę - szlochał. - Jesteśmy zgubieni.

- Nie - odpowiedziałem mu. - Nasz nauczyciel wciąż z nami jest. Bliscy nas nie opuścili. To próba. Pamiętasz, jak często Mistrz zbijał nas z tropu, a znaczenie jego czynów przez długi czas nie było dla nas jasne? Tak jest i teraz, Mehemecie. I nie zdaliśmy tego egzaminu, żyliśmy jak psy, zapomnieliśmy o wszystkim, czego dotąd się nauczyliśmy. Musimy wrócić na naszą starą drogę.

- Ale nie możemy wrócić do Iraku! - zapłakał.

- Nie do Iraku. Do Palestyny.

Z bożą pomocą udało mi się przemycić Mehemeta do mojej ojczyzny. Był zdumiony tym, co ujrział tutaj, w Jerozolimie i przy Zachodnim Murze. Dostaliśmy pomoc i schronienie od mojej rodziny i przyjaciół. Potem, między Qumran a Jerychem znaleźliśmy miejsce odpowiadające naszym potrzebom: niewielką jaskinię i źródło wody nieopodal, więc mogliśmy żyć tak, jak wcześniej.

A żyliśmy skromnie. Rodzina przynosiła nam różne niezbędne rzeczy. Inni ludzie też byli mili. Wróciliśmy do życia pełnego medytacji i modlitwy pod słońcem i gwiazdami. Tom, jakże odległe

wydało mi się moje rozwiązłe życie na Uniwersytecie w Leicester! Studenci ze Stowarzyszenia Muzułmańskiego nie uwierzyliby w to.

Po pewnym czasie ludzie zaczęli uważać nas za świętych mężów. Któregoś dnia przyszła do nas wieśniaczka z umyślowo upośledzonym synem i poprosiła o modlitwę w jego intencji. Co mogliśmy zrobić? Pomodliliśmy się za niego. Poprosiliśmy Allaha o zmiłowanie. Próbowałem w umyśle chłopca zapalić jakieś światło. Kobieta przychodziła z nim co tydzień przez trzy miesiące. Uważała, że jego stan znacznie się poprawił. Nie twierdzę, że to prawda, ale ona w to wierzyła. Od czasu do czasu przychodzili inni i czasami im pomagaliśmy. Jeśli byli opętani przez demony robiliśmy dla nich, co było w naszej mocy. Mówiliśmy, że możemy jedynie zapukać do drzwi Allaha, a on sam musi zdecydować, czy je otworzy. Ludzie rozumieli to i niezależnie od rezultatu, zawsze zostawiali dary w postaci jedzenia.

Ten nowy kontakt z ludźmi, a także podziw ze strony kobiet, zaczął z czasem utrudniać nam życie. Przyszła do nas piękna, młoda matka. Jej dziecko cierpiało na astmę. Nie mogła nam dać nic oprócz siebie, więc położyła dziecko na ziemi, nieproszona weszła do jaskini i rozebrała się. Czy skłamałem, wzywając Allaha? Wszedłem za nią do jaskini, zrobił to też Mehemet. Potem uczyniliśmy dla jej dziecka wszystko, co było możliwe. Nigdy nie wróciła. Byliśmy chorzy ze wstydu.

Musisz zrozumieć, że słowo mnich, tak jak ty je pojmujesz, w islamie nie istnieje. Celibat nie obowiązuje. Widziałem, że po tamtym

doświadczeniu Mehemet, podobnie zresztą jak ja, zaczyna myśleć o małżeństwie. Życie bez kobiety jest przekleństwem gorszym, niż życie z kobietą, wierz mi.

W dolinie mieszkała panna na wydaniu, córka pasterza kóz. Przyszła z rodziną, przyniosła brata, chłopca z uschniętą ręką. Nie miała jeszcze piętnastu lat, była cudowna. W moich oczach była Gwiazdą Wieczorną. Zwróciłem się wprost do jej ojca. Gdybyśmy byli bogaci pewnie dałby nam też swoją żonę; ale zamiast tego przeraził się i pośpiesznie odszedł wraz z całą rodziną. Nigdy już nie wrócili.

Tom, wtedy popełniłem największy w moim życiu błąd. Tak bardzo chciałem mieć tę dziewczynę, że wezwałem *djinna*.

Nie powiedziałem Mehemetowi o moich zamiarach. Wysłałem go w podróż do domu mojego kuzyna wiedząc, że zajmie mu to co najmniej trzy dni. Potem zacząłem się przygotowywać do inwokacji.

Obudziłem się w piękny, jasny poranek. Na niebie wciąż widać było księżyc. Od skał odbijały się promienie słońca.

W ciągu dwóch godzin przeprowadziłem rytualne oczyszczenie. Potem rozłożyłem dywanik modlitewny, zwróciłem twarz ku Mekce i modliłem się przez dwa *rakas* zanim wysmarowałem twarz ochrą. Powtarzałem potężne imiona Boga. Dla tego *djinna* musiały to być *jalali*, straszliwe imiona Allaha odwołujące się do gniewu i zniszczenia. Łagodne *jamali*, mogły nie wystarczyć. Kiedy skończyłem, zacząłem wypowiadać imię *djinna*, którego ci nie zdradzę. Imię trzeba powtórzyć 137613 razy. Normalnie należy to

zrobić w ciągu czterdziestu dni, ale ja nie miałem tyle czasu. Byłem zmuszony przyspieszyć rytuał, opuścić niektóre inkantacje i rytuały oczyszczające. Drogo za to zapłaciłem.

W południe słońce padało prosto na moją obnażoną głowę, przerwałem modły. Siedziałem tak przez siedem godzin. Napiłem się wody i zjadłem trochę ziaren, zgodnie z zaleceniami ścisłej diety. Potem znów zacząłem powtarzać to imię.

Przerwałem o zachodzie słońca, aby napić się wody i przeprowadzić ćwiczenie funeralne. Wyobrażasz sobie, że jesteś martwy, że zostałeś obmyty i owinięty w całun, i złożony w samotnym grobie. Zrobiłem to, a potem powtarzałem imię *djinna* aż do wczesnego poranka, dopóki nie zmorzył mnie sen.

Djinn przyszedł do mnie we śnie jako cień. Zbudził mnie miękki odgłos kurzu opadającego na klepisko w jaskini. Księżyc był prawie w pełni, zza każdej skały wynurzały się głębokie cienie. Miękki szmer opadającego pyłu pochodził z budzącej się do życia pustyni. Przeciągnąłem dłonią po śpiworze - była czysta. Jednak biały pył wciąż opadał jak śnieg i znikał, zanim dotknął podłoża.

Rano powtórzyłem rytuał oczyszczenia i znów zacząłem wzywać imię *djinna*. Czułem jego bliskość.

W południe żar lejący się z nieba był taki, że zacząłem się bać i wezwałem Allaha jednym z jego dziewięćdziesięciu dziewięciu imion. Pierwsze, Al-Hefiz, Strażnik, chroni przed strachem; Al-Muhyi, Spieszący, chroni przed wszystkimi duchami i demonami innymi niż

ten, którego właśnie wołałem; potem wzywałem Al-Qadri, Władcę Mocy, aby odegnał moje niepokoje.

Nakreśliłem na piasku podwójne, potrójne i poczwórne mistyczne kwadraty i wypisałem numeryczne wartości odpowiednich imion Allaha, łącząc je dwudziestoma ośmioma literami arabskiego alfabetu i dwunastoma znakami zodiaku. Narysowałem wokół nich kwadrat Ewy i zbliżałem się do końca inkantacji.

O zachodzie słońca na wyschniętym liściu napisałem imię *djinna*, spaliłem go, a popiół wrzuciłem do wody, którą wypilem. Potem zemdlałem.

W nocy obudził mnie śpiew pustyni. Słyszałeś kiedyś, jak pustynia śpiewa? Ten dźwięk przyprawia o dreszcz. Śpiewają kamienie, rośliny i sam piasek, jednym głosem i na jedną nutę, słodko, nieprzerwanie. To pustynia śpiewa do księżyca. Ten śpiew doprowadza ludzi do obłądu, o ile nie chronią ich specjalne rytuały.

Tamtej nocy już nie zasnąłem. Napilem się wody i na dywaniku modlitewnym usiadłem przed jaskinią. Zamknąłem oczy, zacisnąłem wargi i z językiem przyciśniętym do podniebienia cicho powtarzałem to imię. W południe doszedłem do liczby 137612. Musiałem powtórzyć imię jeszcze tylko jeden raz. Byłem przerażony. Nigdy nie wzywałem *djinna* bez nadzoru mojego nauczyciela. Czy będę w stanie go kontrolować? Czy potrafię go opanować? Język przykleił mi się do podniebienia, a umysł odmawiał powtórzenia imienia po raz 137613.

Byłem jak sparaliżowany, spływałem potem. Słońce paliło moją twarz. Planeta jakby się zatrzymała. Czułem to coś, co czekało na

mnie z przerażającą cierpliwością. Wtedy wreszcie po raz ostatni wypowiedziałem to imię i otworzyłem oczy.

Nic.

Nic się nie wydarzyło. Żadnego opadającego pyłu. Żadnej śpiewającej pustyni. Tylko słońce, rozpalone jak piec na niebie. Czekałem pół godziny, zdumiony poczuciem pustki. Rytuał nie powiódł się.

Wstałem, napiłem się wody, zjadłem kawałek ciasta z ziarnami. Czuję, jak przygniata mnie ciężar samotności. Gdzie był mój brat Mehemet? Jakże za nim teraz tęskniłem. Było mi wstyd, oszukałem go, aby się go pozbyć. Położyłem się w cieniu jaskini i natychmiast zapadłem w sen.

Obudziłem się, a ona siedziała obok mnie. Jęk zastygł mi na wyschniętych wargach. „Jesteś *djinnem*?” wymamrotałem, odsuwając się od niej w głąb jaskini.

„Oczywiście, że nie”, roześmiała się. Miała oczy jak lwica, uśmiech migotał jak światło w wodach strumienia. „Nie poznajesz mnie? Jestem córką pasterza kóz! Zapytałeś mojego ojca, czy możesz mnie poślubić, a on się nie zgodził. Więc zostawiłam go i przyszłam, aby z tobą żyć!”.

I oto była. Ta sama dziewczyna, która przez całe miesiące rozpalala moją wyobraźnię. Była jeszcze piękniejsza. Miała gładką skórę o barwie złotawego piasku i włosy czarne jak skrzydło kruka. Przycisnąłem dłonie do twarzy i cicho podziękowałem Bogu za dar, który mi zesłał.

Zapytałem, jak ma na imię. Już miała odpowiedzieć, ale poczułem na sobie cień. Coś zasłoniło słońce. Spojrzałem w górę. Nade mną stał Mehemet, który wrócił ze swojej wyprawy. Wyglądał na zaniepokojonego.

„Kiedy tutaj przyszłaś?”, zapytał, rzucając na ziemię ciężkie torby z jedzeniem. Sądził, iż była ze mną przez trzy dni.

Jednak dziewczyna poderwała się, pocałowała go i zwróciła się do niego po imieniu. „Mehemecie, właśnie przybyłam. Aby wam towarzyszyć i uczyć się wszystkiego, czego mogę się od was nauczyć. Powiedz, że mogę zostać! Proszę, nie odsyłaj mnie!”.

Niewątpliwie Mehemet także był całkowicie pod jej urokiem. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, zajęła się rozpakowywaniem prowiantu i przygotowywaniem posiłku. Mehemet spojrzał na mnie i wzruszył ramionami. Decyzja została podjęta.

Ale nie wiedzieliśmy, którego z nas wybierze. Tej nocy spała sama. Była to sytuacja całkowicie odmienna niż to, co zdarzało nam się do tej pory. Nie mogliśmy mieć jej obaj, sama taka myśl była absurdalna. Jednak obaj byliśmy tak samo oczarowani. Prędzej czy później będzie musiała wybrać jednego z nas.

Zaczęliśmy więc rywalizować. Zachowywaliśmy się okropnie. Wyśmiewałem zezowate spojrzenie Mehemeta, a on kpił z wielkości mojego nosa. Wymyślałem zadania, przy których mogłem się wykazać siłą fizyczną; on popisywał się poczuciem humoru. Odbywaliśmy zaloty na śmierć i życie, do czego żaden z nas nie

chciał się otwarcie przyznać. Była z nami przez kilka tygodni, a my z każdym dniem zbliżaliśmy się do granicy wytrzymałości.

Pewnej nocy zaczęła nagle tańczyć jak derwisz. Chyba zawsze wiedziałem, kim jest, ale wtedy potwierdziły się moje podejrzenia. Wirowała w koło, a pustynny piasek unosił się przy jej stopach spiralnie jak dym. Spódnica zawijała się coraz wyżej i wyżej, ukazując gładkie kolumny jej silnych, ociekających potem ud. Miałem wrażenie, że piasek stanie w ogniu. Jej jasne oczy migotały jak błyszczący pancerz żuka. Moje pożądanie uniosło głowę niczym kobra. Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnąłem kobiety. Ale był tam Mehemet, także nią oczarowany. Co mogłem zrobić?

Skończyła tańczyć, a my znów usłyszeliśmy śpiew pustyni. Był to dźwięk opadającego pyłu, który słyszałem już wcześniej. Nagle dotarło do mnie, że choć od tylu dni jest z nami, nadal nie wiemy, jak ma na imię. Miała niesamowitą zdolność odwracania naszej uwagi za każdym razem, kiedy o to pytaliśmy.

Znieruchomiała, a my głośno wyraziliśmy swoje uznanie. Poprosiłem, aby usiadła między nami. Woń jej potu doprowadzała nas do obłędu. Czułem zapach kobiety, patrzyłem na jej lśniące od potu uda i w tamtej chwili za wszelką cenę pragnąłem się dowiedzieć, jak ma na imię. Nie miało dla mnie znaczenia, czy to kobieta, czy *djinn*. Zacząłem do niej przemawiać łagodnym głosem, gładziłem jej włosy i uspokajałem ją. Patrzyłem jej w oczy, dopóki jej powieki nie zaczęły opadać. Poddała się mojej mocy i już miałem ją zapytać o imię, kiedy Mehemet przerwał tę chwilę przywołując wers swojej poezji.

„Zasłona fałszu wiedzie ku niezmiernym ciemnościom; jednak zasłona serca grzeje się w ciepłe miłości!”.

Drgnęła i spojrzała na Mehemeta. Stał nad nami zaciskając pięści. Światło księżyca wybieliło jego zęby i białka oczu, sprawiając, że wyglądał jak demon. Przerwał mi trans, byłem wściekły. Co miał na myśli wygłaszając te brednie?

Poderwała się na nogi, ona też była zła. Potem odwróciła się do Mehemeta, lekko dotykając dłonią jego policzka. „Mehemecie, czy to twoje słowa? Zaprawdę jesteś poetą. Pójdź ze mną na wzgórze i pozwól mi posłuchać twojej poezji. Ahmedzie, czy mógłbyś zostać tutaj i czuwać nad ogniem?”.

Mówiła wprost, że nie jestem mile widziany. Odeszli. Siedziałem rozgorączkowany, wyobrażając sobie jak spacerują razem w świetle księżyca, a Mehemet recytuje swoje poruszające, niezwykle wiersze. Nie mogłem czekać, nie mogłem siedzieć beczynn timer. Musiałem pójść za nimi.

Szedłem wyżej, po skałach. Mogłem ich śledzić z małej odległości. Księżyc wisiał nisko, uśmiechając się jak życzliwa matka. Ich ramiona się splotły. Pochyliła się i pocałowała go. Nawet w mroku widziałem, jak ich języki splatają się niczym kopulujące węże, a potem ich zgłodniałe usta połączyły się.

Odetchnąłem spazmatycznie. W udręce gryzłem dłonie. Uderzyłem głową o skałę, nie byłem w stanie patrzeć dłużej. Uciekłem stamtąd, roniąc gorące, gryzące łzy. Wróciłem do ogniska i

usiadłem przy nim, dygocząc z zimna, nie mogłem się rozgrzać. Siedziałem tak przez długi czas.

„Ognisko wygasło". To był Mehemet. Był sam. Nie wiedziałem, ile czasu minęło. Nadal była noc, choć księżyc zalewał nas perłowym światłem.

„Gdzie ona jest?" zapytałem.

„Poszła przygotować łożo małżeńskie", odparł po prostu. „Więc wreszcie wybrała". „Tak. Nie jesteś zły?"

Wstałem i objąłem go. „Mehemecie, mój młodszy bracie, jesteś mi droższy ponad wszystko, jakże mógłbym być na ciebie zły? Dokonała wyboru i wybrała ciebie. To wola Boga. Niech tak będzie".

Mehemet załkał z ulgi i uściskał mnie. Bał się, że to zniszczy naszą przyjaźń. Rozplakał się i dziękował Allahowi, że pobłogosławił go miłością niezwyklej kobiety i cudownego brata.

Skłoniłem go, by usiadł. „Mamy dużo do zrobienia", powiedziałem. „Musimy rozniecić ogień, zorganizować weselne śniadanie i przygotować pana młodego do ceremonii zaślubin. Kiedy ona wróci?"

„O świcie".

„Nie mamy więc wiele czasu".

Rozpaliłem ognisko, a Mehemet w jaskini przygotowywał weselne śniadanie. Za godzinę miał nadejść świt. Pomogłem mu się umyć i ubrać, a potem posadziłem go u wejścia do jaskini.

„Pozwól, że zmówię dla ciebie modlitwę i pobłogosławię cię", powiedziałem. „Naprawdę?"

„To będzie specjalna modlitwa. Przywołamy moce witalne, aby napełniły oblubieńca. Sprawimy, że będziesz niezłomny. Dam ci niewyczerpaną siłę lwa, abyś ją kochał, dopóki oboje zechcecie. I skrzydła poezji, abyś z każdym ruchem mógł szeptać jej do ucha piękne słowa!\".

Rysowałem wokół niego krąg na piasku, a on się śmiał. „Dla ochrony\", wyjaśniłem.

Zacząłem szeptać modlitwy cichym, uspokajającym głosem. Zauważyłem, że Mehemet zaczyna się pochylać, więc wplotłem w nie słowa klucze. Hipnotyzowałem go, zapisywałem w jego pamięci słowa przyspieszające proces hipnozy. Jego oddech stał się płytszy. W ciągu kilku chwil pogrążył się w transie. Zacząłem do niego przemawiać łagodnym głosem.

„Jesteś świadomy, młodszy bracie. Widzisz wszystko wokół siebie. Spójrz, jak herold świtu kroczy po szczycie góry. Jest tak pięknie! Jednak pod żadnym pozorem nie wychodź poza ten krąg. Nawet gdyby miał cię zaatakować lew. Nie możesz ruszyć ręką, ani napiąć mięśni, ani nawet unieść brwi.

Nie wolno ci też mówić. Nie wolno ci wypowiedzieć nawet jednego słowa, ani jednej sylaby, wydać najmniejszego dźwięku. Nawet gdyby runął na ciebie orzeł. I bardzo dobrze, bo to oznacza, że nie będę musiał słuchać twojej poezji\".

Mehemet wpatrywał się we mnie dziwnie, szeroko otwartymi oczami. Ale nie mógł nawet mrugnąć. W jego oczach coś drgnęło, jakby dawał mi znać, że jakaś jego część wyczuła we mnie zmianę i

walczy, aby uwolnić się spod wpływu hipnozy. Wiedziałem, że mu się nie uda.

„Drogi Mehemecie, przez kilka lat musiałem znosić bełkot, który nazywasz poezją. Wystarczy. Otwórz usta. Niech zobaczę winny temu organ”.

Otworzył usta i powoli wysunął język. Całe jego ciało stężało w oporze. Oczy wyrażały wolę walki, ale był bezwolny.

„Ojej. Widzę, że język ci czernieje od tej okropnej poezji. Niech to będzie dla ciebie nauczka”.

Zadławił się lekko, język z różowego stał się purpurowy, a potem czarny.

„Schowaj go!”, zapłakałem. „Jest tak okropny, jak nędzna jest poezja, którą wypowiada!”

Zamknął usta, a zębami ugryzł mocno koniuszek języka.

„Mehemecie, język jest grzeszny. Ludzie powinni bardziej uważać na to, co mówią. Traktują słowa, jakby nie były prawdziwe. Ty i ja wiemy, że słowa mogą być grzeszne. Są grzeszne, nawet jeśli już ich nie ssssłuchać. Sssss. Co to za ssssyk? Co to za dźwięk ssssłyszę? Sssstrasznie dziwny. Wygląda na to, że twój język ożył ci w ussstach. Wysssysa grzech!”.

Na czole Mehemeta pojawiły się wielkie krople potu. Oczy błyszczały dziko, bezskutecznie walczył z bezwładem i niemocą. Czuję zapach strachu. Coś w jego ustach wiło się i wydymało policzki.

„Mehemecie, lepiej to wypuść, zanim zrobi ci krzywdę! Zanim cię ukąsi!”.

Otworzył usta. Słyszałem, jak się dławi. Z hipnotyzującą powolnością z jego ust wyłoniła się czarna głowa kobry, spokojnie wynurzyła się spomiędzy spuchniętych warg. Mehemet wciąż się dławił. Jego ciało dygotało. Kobra wysuwała się z ust, wijąc się wdzięcznie, póki wreszcie nie upadła na piasek u jego stóp. Podniosła głowę i popęzła na linię kręgu nakreślonego na piasku. Nie była w stanie go przekroczyć. Zatoczyła pełne koło wzdłuż tej granicy i wróciła do punktu wyjścia.

„Czyż nie jest piękna, Mehemecie?” wyszeptałem łagodnie. „Popatrz na jej łuski. Popatrz, jak błyszczą. Zwróć uwagę, jak bardzo chce się wyrwać z tego kręgu. Musi wrócić tam, skąd przysła”.

Kobra prześlizgnęła się po stopie Mehemeta i wzdłuż jego uda, zatrzymała się na chwilę w pachwinie i wspięła się na ramię. Tam się zakołysała, kilka cali od otwartych ust Mehemeta. Wreszcie wsunęła głowę pomiędzy jego szczęki.

„Ale ona nie może żyć w twoich ustach, bracie. Bo inaczej znów będzie chciała wyjść, zniesmaczona kiepską poezją. Nie, nie, musi się schować *do środka!*”

Mehemet zadławił się i zeszywniał, kiedy głowa kobry wcisnęła mu się w gardło. Mięśnie przełyku zaciskały się, ale stworzenie uparcie, cal po calu, przepychało się dalej. Chwilę później wąż wypełnił tchawicę. Mehemet się dusił. Nogami kopał na oślep, wreszcie opadł na plecy. Wciąż walcząc o powietrze wpadł w

niekontrolowane drgawki. Wywracał oczami, aż widać było tylko białka. Rzucił się po ziemi, wił się, kopał. Wreszcie czarny ogon kobry zniknął w jego ustach. Mehemet pięściami bił w ziemię. Agonia trwała kilka minut. W końcu wyprężył się w ostatnim spazmie i opadł na ziemię bez życia, z szeroko otwartymi, martwymi oczami. Uniosłem jego głowę i spojrzałem w znieruchomiałe oczy. Odbijało się w nich żółte i różowe światło świtu.

Trzymałem ciało Mehemeta zastanawiając się, co robić. A kiedy tak siedziałem, zza góry wyłoniło się słońce. Jakiś instynkt kazał mi spojrzeć za siebie. Stała tam w szkarłatnej sukni ślubnej.

„Zdarzył się wypadek”, powiedziałem miękko. „Wiesz, że Mehemet był epileptykiem. Miał atak i połknął własny język”.

Spoglądała na mnie podejrzliwie. „Sprawdź, jeśli nie wierzysz”.

„Nie chcę”, odparła. „Ale muszę mieć swojego pana młodego”.

Nie okazała ani smutku, ani żadnego innego uczucia. Teraz wiedziałem na pewno, że jest *djinnem*. Jednak nie czułem strachu i wszedłem z nią do jaskini, gdzie wraz z Mehemetem przygotowaliśmy wygodne łoże i weselne śniadanie. Rozebrała się. Na cynamonowej skórze odbijało się żółtawo-czerwonawe światło. Pachniała świeżością poranka, niemal zemdlałem od zapachu jej perfum.

Otworzyła się dla mnie. W chwili największego spełnienia, w chwili największej rozkoszy, zrzuciła swoją ziemską formę. Przez następne trzy godziny umierałem z przerażenia, omal nie oszalałem. Chwyciła mnie za stopę, a ja miałem wrażenie, że miota mną wokół pustyni, wokół całej planety, wszechświat wirował w szaleńczym,

obląkanym tańcu. Całą wieczność będę płacił za grzech spółkowania z demonem, z *djinnem*. Powraca każdej nocy przed świtem i żąda, bym wypełnił ślubną przysięgę i kochał się z nią. Jeśli ulegnę, zamienia się w jedną ze swych wielu przeklętych postaci i przeraża mnie. Dlatego każdej nocy muszę z nią walczyć, trzymać ją na odległość, dopóki się nie zmęczy, albo dopóki światło nie stanie się dla niej zbyt mocne.

- Taki właśnie jest *djinn*, z którym muszę żyć, Tom. Może jeszcze miętowej herbaty?

- Michael Anthony nie żyje - powiedziała Katie.

- Och - odparł Tom. Zapadła męcząca cisza.

- Wtedy, na spacerze w parku powiedział, że powinnam pojechać do Jerozolimy. Opisał ją i powiedział, że jeśli tam pojedę, to jakaś mała jego cząstka nadal będzie we mnie żyć. Tom, pojedziemy do Jerozolimy?

- Dlaczego?

- Powiedział, że to miasto jest jak popękane lustro: widzisz się w nim, ale twoje odbicie jest zaskoczeniem. Gdybyśmy pojechali, moglibyśmy odwiedzić Sharon.

- Nie wydaje mi się.

- Dlaczego każda wzmianka o Sharon wprawia cię w zakłopotanie? Dlaczego ze mną nie porozmawiasz? Mam wrażenie, że cię tracę i muszę znaleźć sposób, aby cię odzyskać. Czuję się jak Maria Magdalena. Jakbym dla ciebie była ważna i jednocześnie zepchnięta na margines. Nie wiem, jak do tego doszło. Tom, możemy pojechać? Możemy pojechać do Jerozolimy?

Magdalena. Nazwał ją Magdalena, chociaż nie miał żadnych racjonalnych powodów. Imię pojawiło się w jego snach. I wtedy postać stała się prawdziwa. Nawiedzała go, przerażała i nawoływała na ulicach Jerozolimy. Ahmed go przed tym ostrzegał. Ale to nie on nadał jej to imię. Sama się tak nazwała.

Po wizycie u Ahmeda Tom odniósł wrażenie, że twarze Arabów w dzielnicy muzułmańskiej złagodniały i wyglądały przyjaźniej. Alejki wyglądały mniej złowieszczo, cienie pod starymi kamieniami mniej groźnie. Uśmiechał się do ludzi na wąskich ulicach, a oni uśmiechali się do niego. Jego lęki gdzieś uleciały. W końcu, jak sobie przypomniał, to miasto było arabskie i muzułmańskie od siódmego wieku, pomijając bardzo krótki okres wypraw krzyżowych. Teraz Arabowie, postrzegani przez ludzi Zachodu jako niebezpieczni terroryści, zostali zepchnięci do małej dzielnicy, jak do getta.

Skręcił przy sadzawce Bethseda. Ktoś za nim szedł. Na Via Dolorosa przyspieszył kroku, a potem zniemacka się zatrzymał. Minęło go dwóch młodych Arabów, pogrążonych w głośniejszej rozmowie. Czekał, aż na ulicy zrobił się luźniej. Wyczuwał, że ktoś czai się w cieniu. Idąc dalej Via Dolorosa wszedł do dzielnicy chrześcijańskiej.

Nie było to złudzenie; a jednak to uczucie wyraźnie różniło się od poprzednich doświadczeń. Nie czuł żadnego odurzającego

zapachu, żadnych tajemniczych wibracji w powietrzu. Było to coś innego. Kiedy dotarł do Wieży Dawida, odwrócił się nagle. Mężczyzna w czarnym garniturze szybko skręcił w boczną uliczkę. W Cytadeli pod Wieżą Dawida odbywało się jakieś przedstawienie. Przepchnął się przez tłum i ruszył w stronę Nowego Miasta.

Sharon była w pracy aż do wieczora; trzeźwiła alkoholiczki i narkomanki. „Mają wizje”, powiedziała dosadnie. „Złudzenia. Nawiedzają je zjawy”. Całe popołudnie Tom snuł się po mieszkaniu i myślał o niej. Kiedy wreszcie wróciła, oparł ją o drzwi i zdarł z niej ubranie. Oznajmiła, że ostatnio taki seks uprawiała jako szesnastolatka.

Potem powiedział jej, gdzie był, i co usłyszał od Ahmeda. Uznał, że skoro Ahmed sam opowiedział Sharon tę historię, nie nadużywa jego zaufania.

- Ach, te brednie o kobrze - mruknęła.

- A co z żyjącymi na pustyni Mistrzami? Czy Bliskimi, jak nazwał ich Ahmed?

- Nic nie wiem o żadnych Mistrzach.

- Może miał na myśli sufickich²¹ mistyków. Oni przecież istnieją.

- Może. Ale Ahmed jest zawsze pod wpływem jakiegoś narkotyku. Bez przerwy mam do czynienia z takimi ludźmi. Byłbyś zdumiony tym, co potrafią wymyślić.

- To znaczy, że to wszystko nieprawda? - spytał Tom.

²¹ Sufizm: ogólnie, polega na regularnych modlitwach, recytacji reguł religijnych, studiowaniu świętych pism islamu, wyrzeczeniu się własnego ego.

Leżeli przytuleni w łóżku Sharon, otumanieni seksem, nie do końca przytomni, ich umysły i słowa szybowały bezładnie.

- Jego przyjaciel połknął własny język i zmarł podczas seansu hipnozy, w którą wprowadził go Ahmed. To akurat prawda. Cała reszta to poczucie winy. Zjawy dręczące go każdej nocy to wytwór jego własnej wyobraźni.

- On wierzy, że są prawdziwe.

- I uważasz, że sama wiara czyni je prawdziwymi?

Pomyślał przez chwilę.

- Tak.

- A więc jeżeli wierzę we wróżki, to znaczy, że istnieją?

- Nie to mam na myśli.

Wymamrotała coś niezrozumiale. Zасыpiała już. Wpatrywał się w ciemność wiedząc, że to pytanie prowadzi nieubłagane do kolejnego - o jego własne przekonania i wiarę. Ta wiara jawiła się jak wspaniała budowla niszcząca na pustyni, toczona erozją, upadająca po kawałku, której obraz przesuwiał mu się w głowie jak klatki filmu w przyspieszonym tempie. Stulecia bezlitosnych wichrów obracają ją w nicłość i pył. Kiedy zniknie, zostanie tylko pustynia.

- Próbuję powiedzieć - uczynił kolejny wysiłek nie mając pewności, czy ktoś go słucha - że jeśli wystarczająco dużo ludzi dzieli jakieś przekonanie, to niewątpliwie jest to prawda.

Mówił o BOGU, MIŁOŚCI i PRAWDZIE, i innych wielkich słowach wyróżnianych specjalną czcionką. Czyż były to tylko słowa

pisane na piasku? Pomniki upadłych władców? Budowle niszczące na pustyni, toczone rdzą wspomnień?

Leżąca obok niego Sharon zapadła w sen. Nie słyszała ani słowa. Popatrzył na nią. Kim była ta kobieta i czy robili coś złego? Czy to kalalo jego wspomnienia o Katie? Czy ona byłaby w stanie to zaakceptować? Jeżeli tak, to dlaczego ciągle miał wrażenie, że to akt niewierności?

Pierwszy popełnił, kiedy kochał się z Katie.

Nie potrafił pozbyć się tej fantazji. Równie dobrze mógłby nakazać sobie przestać śnić. Wbrew jego woli pojawiała się, kiedy kochał się z żoną. Właśnie podczas seksu z Katie przydarzyło mu się to pierwszy raz. Na miejscu Katie wyobraził sobie Kelly McGovern. W schowku przylegającym do klasy pospiesznie zdjął z niej bluzkę z krwawiącą różą serca. Pełne piersi Katie w jego dłoniach zmieniły się w niedojrzałe piersi Kelly; pod wpływem pieszczot jej brzuch się spłaszczył, uda stwardniały; zmienił się nawet jej zapach, a dziewictwo w magiczny sposób zostało odzyskane. Wytrysnął, prawie słyszał, jak nasienie z głuchym odgłosem wpada do jaskini jego fantazji. Chwilę potem wiedział z całkowitą pewnością, że Katie wie.

W pierwszej fazie zakochania doświadczali głębokiej telepatii, będącej udziałem wszystkich kochanków, dreszczu magicznego połączenia, zdolności odgadywania następnych słów partnera, wyczuwania jego potrzeb, komunikowania się skrótami myślowymi, niemal kodem, wyczuwania ukrytych myśli. Być może dotknęła ich jakaś szczególna łaska, bo ten okres był dłuższy, niż zazwyczaj. Ale

kiedy się skończył, jak w chwili tamtego wytrysku, wiedział, że nie da się tego ukryć. Było to jak śmierć.

To była śmierć.

Katie także to poczuła. Wyraz bólu i oszołomienia na jej twarzy mówił to wyraźnie, ale nie potrafili o tym rozmawiać. W jaki sposób? Bo czyż była to zdrada? Stopień abstrakcji był zbyt duży, nie mieli punktów odniesienia. Ale w jej oczach widział, że wie. Spojrzała na niego tak zimno, że przeszył go dreszcz, a potem odwróciła się, owinęła kołdrą i zasnęła.

Tamtej nocy długo nie mógł zasnąć, leżał i gapił się w ciemność. Tak, to było jak śmierć.

Spoglądał na Sharon śpiącą w mroku, z włosami rozrzuconymi na poduszce. Drgnął. Sądził, że jest pogrążona we śnie, tymczasem oczy miała szeroko otwarte i uważnie na niego patrzyła. Na jej ustach błąkał się niepokojący uśmiech. Leżała w nienaturalnej pozycji. Ramię trzymała pod głową, a ciało było wygięte pod dziwnym kątem. Pochylił się nad nią, aby włączyć lampkę nocną.

Zalało ją światło, a on zeszywniał ze zgrozy.

To nie była Sharon. W łóżku leżała naga Magdalena. Jej wytatuowana skóra była ciemna i pomarszczona jak skórka suszonej figi. Długie, szare włosy opadały na wyschnięte piersi. Na ramionach, nogach i brzuchu miała wytatuowane nieznane symbole, świecące jasno na ciemnej skórze. Oczy miała kompletnie białe, ślepe. Macała po łóżku, szukając go.

Poderwał się, uderzając plecami o ścianę.

- Co się dzieje? - usłyszał Sharon. - Co się dzieje?

Toma opanowały niekontrolowane dreszcze. Sharon próbowała go uspokoić.

- Tom, to ja - powiedziała. - To ja.

Zjawa zniknęła. Nad nim pochylała się Sharon, całkowicie ubrana. W ręce wciąż trzymała plastikową torbę z zakupami. Tom w panice rozglądał się po pokoju, szukając śladów starej kobiety. On także był ubrany.

- Kiedy wróciłaś? - zapytał.

- Właśnie weszłam do domu - odparła - a ty stoisz tutaj i wrzeszczysz.

Tom pozwolił, aby go objęła. Nie był jednak w stanie niczego jej wytłumaczyć. Powietrze w pokoju nadał było ciężkie od znajomego, ostrego zapachu.

Ahmed czuł się zakłopotany jeszcze przez wiele godzin po wyjściu Toma. Opowiedział mu historię o latach spędzonych na pustyni, ponieważ, jak co roku o tej porze, czuł potrzebę samooczyszczenia; przypadało to mniej więcej w rocznicę śmierci Mehemeta i tego, co uważał za swoje przekłete małżeństwo z *djinnem*. Jednak jego pobudki nie do końca były samolubne. Wyczuwał cierpienie Toma i współczuł mu. Widział *djinna* uczonego jego szyi niczym wampir. Sharon w swojej arogancji nazwałaby to inaczej, ale Ahmed wiedział, co to takiego. Opowiedział Tomowi swoją historię, aby nie czuł się osamotniony w swoim cierpieniu.

Zaczął się zastanawiać nad czymś, co do tej pory nie przyszło mu do głowy. Czy wszystkie *djinny* były rodzaju żeńskiego? Czy też, jeśli prześladowały kobiety, były rodzaju męskiego?

Potrząsnął głową próbując pozbyć się tych myśli, energicznie zgasił skręta w popielniczce, wrócił do biurka i wziął do ręki zwój, który uprzednio owinął w arafatkę. Pomiął wstęp, zniechęcony odkryciem, że to zapisy genealogiczne. Zignorował trzy pierwsze pierścienie spirali i wrócił do tłumaczenia w nowym punkcie, podążając za tekstem w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, w stronę środka spirali.

Ahmed pracował metodycznie i automatycznie, przekładając tekst na angielski niemal bezmyślnie. Jako doświadczony naukowiec

wiedział, że w starożytnym hebrajskim nie występują samogłoski i wymowa wymaga od czytelnika uzupełniania ich zgodnie z interpretacją tekstu. Z kolei interpretacja tekstu zależała od tego, jakie samogłoski zostały wstawione. Związek między czytelnikiem a tekstem był zatem bardziej mylący, niż dowolna liczba *djinnów*. Ahmed wypracował sobie metodę mentalnego dystansowania się od słów, jakie sugerowały jego własne notatki. Wszelkie wieloznaczności i niejasności umieszczał w nawiasach, aby zastanowić się nad tym później. Po przełożeniu kilku linijek zabierał się za szkicowanie logicznego zdania.

(Kiedy tylko) mole opuściły odzienie, tak grzeszność opuściła kobiety. Tak (jest) zapisane. A jeśli miesięczkująca (?) kobieta przejdzie pomiędzy dwoma mężczyznami, jeden (z nich) umrze. W (odległości) dwóch tysięcy łokci od (każdej) świątyni musi (stać) dom modlitwy dla nieczystych (cierpiących od) zarazy i strupów, ślepców, tych którzy niedawno (mają, mieli) stosunek seksualny, i krwawiących (miesięczkujących) kobiet. (To) wszystko zostało zapisane.

Ahmed w zamyśleniu uniósł brew nad zapisaną w tekście jawną wrogością wobec kobiet. Takie sformułowania były typowe zarówno dla zwojów, które widział wcześniej, jak i dla pism Starego Testamentu. Dwa tysiące łokci, ocenił, to odległość około pół godziny piechotą. Nie było w tym nic nowego. To następny akapit go zaskoczył.

Prawdziwy (Sprawiedliwy) Nauczyciel (mówi), że to nie jest właściwe i płynie z ust (fałszywych) i nikczemnych. Podli faryzeusze i

skrybowie są Kłamcami i nienawidzą kobiet. Nienawidzą (boją się) ich krwi menstruacyjnej wylewanej na ziemię przed obliczem księżyca, aby zapewnić sobie płodność. Pnącza winorośli. Zaplamiony (wypłowiasty) len. Zardzewiały metal. Pszczoły opuszczają (swoją) ul. (Szkodniki) opuszczają pola. Burza na morzu. Uleczone (wrzody? i inne choroby). Czynią (dobrze) kobietę nieplodną.

Naprawdę mogą to robić? - pomyślał Ahmed. Sięgnął po papierosa.

(Oni) (faryzeusze) odrzucają święty symbol księżyca (kult) i kobiety - kapłanki. Plują na nie i robią (z nich) jawnogrzesznice, kiedy wychodzą do Kanaana ze Świątyni Siedmiu Filarów, gdzie (tam) postawił mnie przeciwko Kłamcom. Świątynia Fontanny Krwi i święta (profesja, kapłaństwo), zabrał mnie (stamtąd) Ashtoreth, ocalił przed (ich) kamieniami.

Kim jest narrator? - zastanawiał się Ahmed. Kto opowiada tę historię? Ponownie przeczytał to, co przełożył i pracował dalej.

Co się tyczy cudownych rzeczy, które nie są (nie były) mówione przez Prawdziwego (Sprawiedliwego) Nauczyciela, ale przez Kłamliwego Nauczyciela, Fontannę Kłamstw, one (zostały) zapisane (jako) prawda. Tak więc on (Kłamca) będzie uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, ale w jego (Sprawiedliwego) imię. A on rzecze (powiedział) do niego jesteś KŁAMCĄ JEROZOLIMY, Fontanną Kłamstw, kłamliwym językiem i wrogiem. Tedy (jego) brat spojrzy na Wschód i ja spojrzę. Podczas gdy on (Kłamca) spogląda na Zachód. Dlatego go zabił (kazał zabić - może to pytanie) i (wypełnił)

proroctwo (o) Cierpiącym Słudze.

Te krótkie ustępy były efektem trzech godzin nieprzerwanej pracy. Ahmed przeczytał notatki i instynktownie sięgnął po jednego ze swoich cienkich papierosów. Zanim zmienił zdanie i wziął ze stołu skręta, włożył papierosa do ust. Pochylił się nad kolejnymi linijkami.

Stary/dawny (Sprawiedliwy) Nauczyciel przewidział, że w środku dnia (przypuszczalnie Słonecznego) roku Synowie Światła spadną na Synów Ciemności (i) wyrzucą wroga z tej ziemi. Niespełnione. Ogień nie spada (nie spadł) z niebios. Za (przestępstwo) fałszywego proroctwa (został?) skazany. Zamęt wszędzie pośród ludu. (Nowy) Sprawiedliwy Nauczyciel przybył i (wyśmiał) faryzeuszy i Kłamcę, który najbardziej nienawidził kobiet. Wtedy (przez) to (moje?) małżeństwo wpadli w szal, bardziej ze względu (na) kanaański obrzęd zaślubin w Siedmiu Filarach. Kiedy (w ten sposób) ocalił piszącego te słowa, bardziej (niż czymkolwiek) obraził faryzeuszy.

Ahmed przejrzał swoje notatki. *Ocalił piszącego te słowa?* Podejrzewał, że aby ustalić tożsamość autora będzie musiał wrócić do początku, do zewnętrznego ramienia spirali, i przetłumaczyć genealogię, długi ciąg imion na początku zwoju w nadziei, że wreszcie uda się określić, kto jest narratorem. Pojawiały się także inne pytania. Kim był Kłamca? Kim był Sprawiedliwy Nauczyciel? Nie miało to jednak znaczenia, chyba że uda się na to spojrzeć z perspektywy osoby opowiadającej tę historię.

Zadanie nie było inspirujące, raczej nudne, ponieważ imiona z niczym mu się nie kojarzyły. Piszący sporządził długą linię rodową

klanu wywodzącego się z ziemi kanaańskiej. Linia kończyła się imionami matki i ojca narratora oraz wzmianką o małżeństwie. Przynajmniej stało się jasne, że autorem zwoju jest kobieta, jako że zwój zawierał także linię rodową małżonka, również nienazwanego z imienia. Owo małżeństwo zostało określone jako „światlista” albo „błyszcząca” linia, a dziadkiem męża był Jakub Heli, żydowski rabin i członek sekty esseńczyków.

Ahmed ścisnął brzegi zwoju.

- Tak! - powiedział miękko. - Tak!

Jezus nie mógł iść dzisiejszą Drogą Krzyżową, bo w jego czasach uliczki inaczej biegły przez miasto. Poncjusz Piłat nie mógł powiedzieć „Oto Człowiek” stojąc na łuku Ecce Homo, ponieważ ten łuk wówczas jeszcze nie istniał. Ewangelie wskazywały, że Wzgórze Ukrzyżowania leżało poza murami miasta, a chociaż obecnie rzeczywiście znajduje się w mieście, to z kolei położenie oryginalnych murów miejskich jest dyskusyjne. Istnieje nawet przekonująca teoria mówiąca o tym, że Ukrzyżowanie miało miejsce raczej w Qumran, które w owym czasie znane było jako Nowa Jerozolima. Tom skrzywił się na myśl o zastępach greckich wdów zawodzących w niewłaściwych miejscach.

Poszedł do alternatywnego miejsca Ukrzyżowania²², znanego jako Ogród Grobu. Przestał się przejmować autentycznością, chciał tylko odrobiny spokoju.

Sharon próbowała mu pomóc po tym, jak zastała go w mieszkaniu w stanie szoku. Jednak Tom zamknął się w sobie i nie chciał mówić. Przez niego czuła się jak włamywacz. W końcu wpadła w złość nie tylko dlatego, że nie wiedziała, co dzieje się z nim w Jerozolimie; chciała też wiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się w Anglii. Czuła spore napięcie. Zamknął się w sobie, jak jej pacjentki z centrum rehabilitacji. A ona nie miała czasu na bezsensowne gierki.

²² W XIX w. brytyjski generał Charles Gordon, będący przejazdem w Jerozolimie, znalazł grobę, którą uznał za prawdziwy grób Jezusa. Dziś jest to wypielęgnowany ogród, który nie jest świętym miejscem i nigdy nim nie był.

Kłótnia była poważna i Tom poczuł się rozczarowany. Przecież dopiero odkryli się jako kochankowie. Złapała go za ramiona, dosłownie potrząsnęła nim. *Tom, o co chodzi? Dlaczego nie powiesz mi, co się dzieje?*

Zawahał się przy wejściu do Ogrodu Grobu. Natychmiast zobaczył dwóch potencjalnych przewodników. Machali rękami w jego kierunku i uśmiechali się fałszywie.

- Halo? Angielski? Halo?

- Kurwa! Zejdźcie mi z oczu!

Przewodnicy cofnęli się, obrzucając go wyzwiskami.

Dlaczego nie dadzą mi spokoju? - rozmyślał ponuro. Dlaczego bez przerwy się mnie czepiają? Nie można zatrzymać się ani na moment. Spojrzał na mężczyzn, którzy teraz gapili się na niego agresywnie. Zareagował zbyt ostro, ale nie mógł się powstrzymać.

- Odwalcie się i tyle!

Poczłapał wreszcie do Ogrodu Grobu i znalazł tam oczekiwaną oazę spokoju. Drapieżne zwierzęta polujące na turystów tutaj respektowały jego granice. Nikt nie prosił go o szkle; nikt nie próbował na siłę wciskać mu informacji.

Ogród mieścił się przy brudnym, arabskim dworcu autobusowym i wyglądał jak wiktoriańska fantazja o ukrzyżowaniu. W istocie było to zrealizowane marzenie generała Gordona. Cieniste drzewa oliwne rosły w otoczeniu jaśminów i oleandrów. Był tam nawet otwarty grobowiec wyciosany z żółtego piaskowca. Tom usiadł w ocienionej

altanie, zamknął oczy, głowę oparł na rękach. Ludzie kręcący się po ogrodzie nie zbliżali się do niego.

Katie, przepraszam, przepraszam, przepraszam. Byłabyś zachwycona tym ogrodem. Dlaczego nie przyjechaliśmy tutaj razem?

Wydawało się, że ostatnio bez przerwy, w myślach, przeprasza Katie. W zalewie wspomnień żar jerozolimskiego poranka zniknął. Tom był teraz w Dartmoor, na spacerze z Katie, sześć miesięcy przed jej śmiercią. Cieszyli się, że założyli solidne buty i wodoodporne kurtki. Nad wrzosowiskiem szalał wiatr, chłoszcząc strugami zacinającego deszczu. Po niebie gnały złowieszcze, purpurowe chmury wypełniające niebo po horyzont. W poszukiwaniu schronienia pobiegli pod granitowe skały; były dziwne, poskręcane, wyglądały jak okrągłe kawałki ciasta spiętrzone jeden na drugim. Stali tak skuleni, oparci plecami o skały, chłostani deszczem. Woda wsączała się pod kurtki, kapiała z nosów. Ubrania zaczęły przemakać; czuli, jak w kości wsącza się zdradliwe zimno. Katie ścisnęła jego rękę.

- Uwielbiam wrzosowiska w takim nastroju - powiedziała. - Tak samo jak przy pięknej pogodzie. Ale teraz bardziej. Uwielbiam to uczucie zagrożenia. A ty? Podoba ci się?

- Tak - odparł w sposób, który znaczył „nie”.

Roześmiała się i próbowała sprawić, aby też się uśmiechnął. Znalazła dla niego kawałek mokrej czekolady, jakby był małym chłopcem potrzebującym pocieszenia. Ten sposób też nie zadziałał.

- Uśmiechnij się - powiedziała Katie. - Jesteśmy przemoczeni, i co z tego? Za godzinę, czy dwie się wysuszemy. Jakie to ma

znaczenie? Czy jest coś ważniejszego, niż to, że jest się z osobą, którą kocha się najbardziej na świecie?

- W tej chwili jest mnóstwo takich rzeczy.

- Uśmiechnij się. Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię.

- Nie tak. Popatrz mi w oczy, jakby to były najważniejsze słowa wypowiedziane w życiu. Jakby to była ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek powiesz.

Ale burzowe chmury obniżyły się mocno, nagle pociemniały i spadła na nich ściana deszczu. Wykorzystał tę sytuację, aby na nią nie patrzeć i uniknąć niewygodnych próśb.

- Tom, powiedz to. Popatrz na mnie i powiedz, że mnie kochasz.

Otworzył oczy, spojrzał na nieskazitelne, wibrujące oślepiającym błękitem niebo nad Jerozolimą. Tak bardzo chciała tutaj przyjechać. Chciała, aby przyjechał z nią, a on jej tego odmówił. Po ogrodzie spacerowała mała grupka zwiedzających, oprowadzana przez srebrnowłosego Anglika.

- ...Chcemy w to wierzyć, dobrze nam z tą wiarą. Golgota oznacza „czaszkę”, albo „miejsce czaszki” i jeśli popatrzycie na tamtą skałę zobaczycie, że rzeczywiście ma kształt czaszki. W czasach starożytnych tutaj znajdowało się skrzyżowanie dróg, a Jezus został ukrzyżowany w miejscu publicznym, jako przykład. Ukrzyżowanie to długa i koszmarna śmierć. Skazaniec wisiał na krzyżu nawet i trzy dni, w każdym razie tak długo, jak długo był w stanie podpierać się nogami. Bez podparcia po prostu się dusił, dlatego właśnie w akcie

litości, aby przyspieszyć zgon, Rzymianie łamali nogi skazanym na taką śmierć. Jednak u Jana powiedziane jest, że nie połamano mu nóg. I tak wypełniło się kolejne proroctwo, iż „nie zostanie zmiądzona żadna kość jego”. A jeśli spojrzycie w tamtą stronę, ujrzycie grobowiec, który dla nas oczywiście jest piękny, ponieważ jest pusty...

Grupa przeszła obejrzeć grób z żółtego piaskowca. Tom podniósł wzrok i zobaczył, że przy bramie do ogrodu stoi mężczyzna w ciemnym garniturze. Napotkawszy jego wzrok odwrócił się pospiesznie i zniknął za bramą. Tom podniósł się i poszedł w tamtą stronę, ale mężczyzny już nie było.

Wyszedł z ogrodu nie zostawiając datku.

Ahmed drapał się po głowie, jakby obeszły go wszy. Tłumaczenie zwoju nie szło mu za dobrze. Dał sobie spokój, jednak nie był z siebie zadowolony. Nie mógł zasnąć, więc wstał i w nocy wrócił do tekstów. Z nawyku ponownie przetłumaczył wcześniejszą pracę i odkrył w niej błędy. Tylko w jednym akapicie znalazł co najmniej siedem źle umieszczonych głosek i cztery okropne błędy gramatyczne. Nawet biorąc pod uwagę dowolność możliwych interpretacji nie mógł zrozumieć, dlaczego wykonana praca jest aż tak mizerna.

Wyglądało to tak, jakby w środku nocy ktoś pozmieniał wszystko w manuskrypcie. Ta myśl kazała mu podejść do małej skrzyni, w której trzymał kolekcję talizmanów.

Ahmed zbierał talizmany: zbierał i co więcej, wierzył w nie. Był kustoszem prywatnego, maleńkiego muzeum. Miał talizmany wiszące na sznurkach, które można założyć na szyję. Miał też talizmany - bransolety albo pierścienie, inne stanowiły po prostu mieszaninę zwierzęcych zapachów. Jeszcze inne były zasuszonymi zwierzętami, skorpionami, albo jaszczurkami. W kolekcji miał również skurczoną ludzką głowę i zmumifikowany palec. Tym, którzy wiedzieli o jego zbiorze mówił, że to tylko akademickie zainteresowanie. W przypadku palca i głowy tak było w istocie. Jednak miał jeszcze inne przedmioty, które - żarliwie w to wierzył - chroniły go przed zakusami *djinnów*.

Spiralny zwój przypominał mu o pewnym medalionie pochodzącym z Kanaanu. Ukradł go z wykopalisk w Ugarit. Ostrożnie wyjął go ze skrzyni.

Była to moneta z wygładzonego i poczerńniętego brązu, przewiercona i nawleczona na brudny sznurek. Na niej również widniał spiralny napis wykonany pismem klinowym, którego Ahmed nie potrafił odczytać, mimo wykształcenia. Wiedział tylko, że była to modlitwa do Astarte²³ wyryta na spirali tak, że stanowiła labirynt, w którym można uwięzić złe duchy. Ahmed zawiesił ją na szyi i wrócił do pracy nad zwojem.

Skończył wprowadzanie poprawek, podwinął rękawy i z nowym wigorem zaatakował kolejny akapit.

Zwołał nową Radę Dwunastu (w której) zasiadali Sicarii i zeloci, ale nie faryzeusze i saduceusze. Ogłoszono Księcia Zgromadzenia. Zły Kapłan (Kłamca) faryzeuszy nienawidził (on) go ze względu na małżeństwo w Kanaanie i jego nienawiść do kobiet.

Wtedy uderzył mag Gromu (albo Błyskawicy). Przesunął (kalendarz) księżyc na niebie o (jeden) miesiąc, więc Sprawiedliwy Nauczyciel był w łasce. Wtedy (byłam) w drodze do Drzewa Figowego. Grom, pod innym imieniem Betania (przygotował) wężową truciznę, i aloes i mirrę, aby ożywić Nauczyciela (jego). Zwołał nową Radę Dwunastu (w której) zasiadali Sicarii i zeloci, ale nie faryzeusze i saduceusze. Ogłoszono Księcia Zgromadzenia. Zły Kapłan (Kłamca)

²³ Astarte: fenicka i kananejska bogini miłości, płodności i wojny.

faryzeuszy nienawidził (on) go ze względu na małżeństwo w Kanaanie i jego nienawiści do kobiet.

Wtedy uderzył mag Gromu (albo Błyskawicy). Przesunął (kalendarz) księżyc na niebie o (jeden) miesiąc, więc Sprawiedliwy Nauczyciel był uznawany. Wtedy (byłam) w drodze do Drzewa Figowego. Grom, pod innym imieniem Betania (przygotował) wężową truciznę, i aloes i mirrę, by ożywić Nauczyciela (jego). Kto wypełni proroctwo będzie (fałszywym) Mesjaszem. Odtąd święte pisma będą mówić o zmartwychwstaniu Cierpiącego Sługi. Z Rady Dwunastu tylko on, Szymon - Błyskawica, ja i Sicarii wiemy. Nie podobał mi się ten plan. Błyskawica dał prezent (łapówkę) Rzymianinowi, aby on (jego kończyny) nie zostały połamane w akcie litości.

Ahmed poczuł na sobie cień. Jak w gorączce przeczytał swoje notatki. Pośpiesznie gryzmolił coś w notesie. Nauczyciel Prawości. Prześladowany przez „Złego Kapłana”. Ożeniony z kobietą narratorką. Spełnienie proroctwa = figi wydające owoce przez całe pokolenia po zasadzeniu, zgodnie ze Starym Testamentem. Rada Dwunastu Zwolenników. Cierpiący Sługa/Księżę Zgromadzenia, możliwa śmierć. Sicarii = zabójcy, zastępujący zelotów. Inne imię Betanii, zmartwychwstały = Łazarz? = Szymon Mag, czyli cudotwórca? Czy to był Łazarz? Sicarii, który znał plan, Sicarii - Iskariota?

Brzmi znajomo, Ahmedzie? Czy to brzmi znajomo?

- Zrobili-zrobili-zrobilibilibili-zrobili-zrobili-bili.

- Christina, powiedz coś. To ja, Sharon. Co bierzesz? Co wzięłaś?

Sharon przyszła rano do centrum rehabilitacji i znów zastała Christinę w pokoju Białej Chmury. Odnalazła Tobie. Jedną z rezydentek widziała, jak pół godziny przed przyjazdem Sharon, przy śniadaniu, Christina przebijała różowe kapsułki.

- W jaki sposób wniosła tutaj towar? - chciała wiedzieć Sharon.

- Pewnie w sobie, *koanie*. Tak to się zwykle robi.

- Tobie, zostaw ją mnie. Dam sobie z tym radę. Powiedz mojej grupie, że przez chwilę muszą sami się sobą zająć.

Tobie wyszła, a Christina zaczęła się kołysać, miarowo uderzając głową o wygłuszoną ścianę.

- Zrobili-bili-bili. Tobie mnie wkurza.

- Rób tak dalej, a czeka cię dom wariatów. Nie możemy sobie z tym poradzić. Nie możemy z tobą pracować, skoro cały czas świrujesz. Nie jesteśmy tu tylko po to, żeby cię karmić i głaskać po głowie.

- Na-na-na, sza-na-na-na. Chcesz wiedzieć, jak to zro-bili-bili-bili? Sza-na-na.

Sharon przeszła z Christiną okres wycofania, detoksykacji, wzloty, upadki, ciągi i okresy abstynencji, środki pobudzające i

uspokajające, napady szału i apatię.

Sharon sama miała za sobą kiepską noc, po kłótni z Tomem nie spała dobrze. Do wściekłości doprowadzała ją myśl, że po całym dniu zmagania się z upartymi klientkami w centrum odwykowym, musiała jeszcze walczyć o to, aby Tom choć trochę zechciał się otworzyć. Wiedziała, że w przeciwnym wypadku nie będzie w stanie zmierzyć się z żalobą. Był bardzo zamknięty. Każdy strzęp informacji wydobywała z niego niemal siłą, odnosiła wrażenie, że wolałby łamać sobie po kolei wszystkie palce, byle tylko nie mówić. Nie docierało do niego, że gdyby wykrzyczał swój ból i wściekłość, mógłby pozbyć się dręczących go demonów i zaakceptować to, co stało się z Katie.

- Sza-na-na-nan-nan-na.

- Christina, jestem tobą zmęczona.

Przez lata pracy w centrum nauczyła się rozróżniać własne emocje. Jeśli czuła złość na którąś z klientek, mogła jej to powiedzieć albo odreagować później. To był elementarny mechanizm obronny. Terapeuta, który przez cały czas był spokojny, zrównoważony, uporządkowany i trzymał się w ryzach, potrzebował około dwóch lat, zanim sam stawał się klientem. Zamiana ról najczęściej następowała z dnia na dzień. Depresja i poczucie beznadziei były bardziej zaraźliwe niż grypa.

- Jestem zmęczona twoim gierkami, i mam dość tego, że nigdy nie korzystasz z pomocy, którą ci oferuję. Nie mam już cierpliwości. Wyczerpała się, więc poproszę Ciebie, aby się tobą zajęła. Jeśli nie będzie mogła, poproszę kogoś innego. Koniec.

Sharon wstała.

Christina nadal się kołysała.

- Zrobili-bili-bili. POWIEM CI, CO SIĘ ZDARZYŁO krzyknęła, kiedy Sharon była przy drzwiach. - Zrobili-bili-bili, powiem ci, powiem, powiem.

Zacząła się kołysać trochę szybciej, tyłem głowy uderzając o ścianę.

Sharon zawróciła i znów usiadła.

- Jakie pigułki wzięłaś?

- Nieważne nieważne nieważne powiem ci POWIEM CI JAK to zrobili. To zrobili. Połamali mu nogi, tak tak, połamali mu pierdolone nogi, tak to zrobili, tak tak, próbuję, tak, połamali pierdolone, on nie powinien był umrzeć nie nie, nie powinien był umrzeć, miał tylko tam wisieć, ROZUMIESZ, CO PRÓBUJĘ po prostu tam wisieć, dopóki go nie zdejmą, nie martwy, nie nie ani trochę, tylko udający martwego, żeby móc żyć, rzecz w tym, że on NIE POWIENIEN BYŁ UMRZEĆ, ale wiesz kto, wiesz kto, TO BYŁ SAUL, powiedział im, żeby POŁAMALI MU PIERDOLONE NOGI, powiedział połamcie mu nogi, to właśnie on. On to zrobił. Tak to zrobili! Zrobili!

Teraz Christina uderzała głową o wyściełaną ścianę naprawdę mocno. Sharon próbowała ją powstrzymać. Objęła ją.

- Kto? Christina, o kim ty mówisz? Nie wiem, o kim mówisz.

- Kto? Kto? Dlaczego, próbuję ci powiedzieć, próbuję, MÓWIĘ O JEZUSIE! JEZUSIE! BIEDNY JEZUS! POŁAMALI MU NOGI! TAK TO ZROBILI! JEZUS! MÓJ BIEDNY JEZUS!

Christina przestała się kołysać i opadła na podłogę, zawodząc w udreće. Jej ciałem wstrząsały drgawki.

Sharon próbowała ją podnieść i jakoś pocieszyć.

- Christina, to tylko prochy. Masz kiepski... Co wzięłaś?

- Niiieeee, nieeee, o nie. Biedny Jezus. Biedny Jezus.

Była niepokieszona. Zachowywała się tak, jakby sama była świadkiem wszystkiego, o czym mówiła. Jej ciało dygotało; dławiła się płaczem. Leżała na podłodze, z głową przyciśniętą do nylonowego dywanu i zalewała się łzami. Potem nagle powiedziała spokojnie:

- Jestem Maria Magdalena.

- Tak - powiedziała Sharon łagodnie - w porządku. A ja jestem dziewczica Maryja.

Christina usiadła z oburzeniem na twarzy. Odgarnęła z oczu długie, brązowe włosy. Potem przemówiła tym samym głosem, który poprzedniego ranka Sharon słyszała w radiu, w samochodzie. Sprawił wtedy, że stanęła na środku ulicy, a teraz znów go usłyszała. *Dlaczego próbujesz mnie uciszyć? To ja, Sharon, to ja. Próbuję ci powiedzieć, co się wydarzyło.*

- Christina!

Christina kręciła głową z boku na bok. Złapała swój kołnierzyk, jakby sprawiał jej ból.

- Nie mogę oddychać - powiedziała.

Słowa wydobywały się z ust Christiny. Był to jednak głos Katie.

Nie mogę oddychać nie mogę oddychać nie mogę oddychać.

- *Koanie*, nie mam pojęcia o czym mówisz. Widziałam tu już tyle rzeczy, że dawno temu przestałam w nie wierzyć.

Siedziały w biurze Tobie, pijąc drugą herbatę. Po tym, jak Christina przemówiła głosem zmarłej przyjaciółki, Sharon z krzykiem wypadła z pokoju na korytarz. Tobie była w pobliżu, naprawiała zawias w drzwiach. Przybiegła natychmiast, rzuciła tylko okiem na Sharon i zabrała ją do swojego biura.

- Marcia, bądź tak miła i posiedź z Christiną. Tym razem to terapeuta potrzebuje terapii.

Jednak Tobie nie prowadziła żadnej terapii; po prostu słuchała.

- Tobie, nie wiem, co się dzieje. Ale coś dzieje się na pewno. Tom nie może się pozbierać po śmierci żony i to zaczęło się odbijać także na mnie. Kiedy usłyszałam jej głos po raz pierwszy, uznałam to za wytwór mojej wyobraźni, ale gdybyś teraz tam była...

- Co dokładnie się stało? Opowiedz jeszcze raz.

- Christina bredziła jak zwykle, a potem jakby ktoś nacisnął jakiś guzik w jej głowie, odezwała się do mnie głosem Katie. Dokładnie jak w radiu wczoraj rano. To nie brzmiało *jak* głos Katie, to *był* głos Katie.

- A co z Tomem? Pieprzysz go?

- Tobie...

- Słuchaj, po tylu latach jeszcze mnie nie znasz? Myślisz, że cię osądzam?

- Nie. Ale jeśli masz zamiar mi powiedzieć, że doszło do tego, ponieważ mam poczucie winy, zacznę krzyżeć.

- Więc krzycz. Może to ci nawet pomoże.

- Ale ja nie czuję się winna! Naprawdę nie!

Tobie dotknęła palcem skroni.

- Tutaj nie - położyła dłoń na swojej dużej piersi. - Ale tutaj tak.

- Nie nadążam za tobą.

- Zapomniałaś, czego się tutaj nauczyłaś przez cały ten czas?

- Jasne, dołoż mi.

- Nie mam zamiaru. Pytam tylko, czy pamiętasz, że wszyscy jesteśmy pacjentami.

Sharon trafiła do centrum rehabilitacji Bet Ha-Kerem po tym, jak wreszcie przyznała się sama przed sobą, że ma problem. Tym problemem była kokaina, nałóg, który rozwinął się podczas osiemnastu miesięcy luksusowego życia z bogatym przedsiębiorcą budowlanym. Związek się zakończył, a jej został tylko kosztowny nałóg, którego nie była w stanie udźwignąć. Szukała więc pomocy i znalazła ją w Bet Ha-Kerem. Tobie zauważyła jej zdolność do empatii i umiejętność wspierania innych klientów. Uznała, że ma prawdziwy talent i że robi więcej dobrego, niż niektórzy z opłacanych terapeutów. Zatrudniła ją w centrum, początkowo na część etatu, jednak Sharon szybko się uczyła i jej status szybko się zmienił.

Tobie była inspiracją. Ta niewysoka, żydowska matka o szarych włosach i wydatnym biuście, poza tym, że wszystkich piekielnie wkurzała mówiąc do nich *koanie*, była najmądrzejszą osobą, jaką Sharon kiedykolwiek spotkała. Miała proste zasady i czytelne przekonania. Uważała, że ludzie mają ogromne skłonności do

kłamstwa, a ich pierwszymi ofiarami padają niezmiennie oni sami. Najpierw przestań okłamywać samego siebie, mówiła wszystkim, a wtedy masz jakąś szansę. Wyrażała przekonanie, że nie można nienawidzić ludzi ponieważ sami się okłamują. Powinno się ich kochać, gdyż samooszukiwanie jest znakiem ich człowieczeństwa. Wysiłek, aby przestać okłamywać samego siebie, utrzymywała, jest dobrym początkiem pracy nad sobą.

Przypominając Sharon o tym, że wszyscy są pacjentami, Tobie dokładnie to miała na myśli. Innym powodem, dla którego wciągnęła Sharon na swoją listę płac było to, że przypominała jej ją samą sprzed lat: Tobie była trzeźwą alkoholiczką.

- Co o tym myślisz? - zapytała Sharon nieco spokojniej.

- Toma coś dręczy, to jasne. Wygląda na to, że nie potrafi zmierzyć się z czymś, co ma związek ze śmiercią żony. Zostaliście kochankami i teraz dzielisz z nim jego neurotyczne majaki, o ile to o nie chodzi. Myślałaś, że możesz wskoczyć do jego łóżka i w ten sposób mu pomóc; znam cię. Ale w człowieku są jeszcze emocje. Nie utrzymasz ich na odległość; są jak choroby przenoszone drogą płciową, *koanie*. Są nawet od nich gorsze: czepiają się pleców i nie chcą odpaść.

- Jakbym słyszała Ahmeda i opowieści o *djinnach*.

- Ach, on. Widujesz się z nim? Co u niego?

- Mniej więcej bez zmian.

- Mieliśmy przez niego masę kłopotów. Z jego powodu zdecydowałam, że to będzie ośrodek tylko dla kobiet. Jednak zrobiłaś

z nim kawał dobrej roboty.

- Powiedzmy.

- Co zamierzasz w sprawie Toma? Nie możesz go skłonić do mówienia?

- Boże, próbowałam! Wiem, że coś w nim tkwi, ale jakakolwiek próba dotarcia do tego... to jak próba przepchnięcia wielbłąda przez ucho igielne.

- Tak - rozpromieniła się Tobie. - Albo przez pierścionek. Przez jego ślubną obrączkę, *koanie!*

Sharon czasami miała ochotę zabić Tobie.

Tego wieczoru opowiadała Tomowi, co się wydarzyło. Ostrożnie zamierzała powiedzieć mu o głosie Katie. Liczyła, że będzie to argument, który może wreszcie zmusi go do rozmowy.

- Christina próbowała mi coś opowiedzieć. O Jezusie Chrystusie na krzyżu.

- To było ukartowane - wypalił Tom.

- Co? Co powiedziałaś?

Tom sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Po prostu samo się powiedziało.

- Co miałeś na myśli mówiąc „ukartowane”?

Tom wznosił oczy do nieba.

- Tom, porozmawiaj ze mną. Porozmawiaj.

- Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Cholera jasna, spróbuj chociaż.

- Ciągle słyszałem ten głos w mojej głowie. Mówiłem ci, zaczęło się, jak tylko postawiłem stopę w Jerozolimie. Wciąż brzmiał mi w uszach, jak nagranie. Głos należał do kobiety. Potem jej tożsamość jakby się zmieniła. Przychodziła do mnie jako sen na jawie, albo tuż przed zaśnięciem. Jestem językiem, mówiła. Ale teraz zniknęła. Głos zamilkł kilka dni temu, zaraz po tym, jak kochaliśmy się pierwszy raz. Próbował opowiedzieć mi inną wersję Ukrzyżowania. Że wszystko zostało ukartowane. Oni znali Biblię. Tak to zorganizowali, aby Jezus wypełnił wszystkie proroctwa i przekonał ludzi, że jest Mesjaszem. To jedno wielkie oszustwo. Ale nie mieli zamiaru go uśmiercać. Nie wiem. Co ci mam powiedzieć?

- Tom, w porządku. Powiedz mi wszystko.

- W każdym razie głos nagle zniknął. Po tym, jak się kochaliśmy zamilkł i pomyślałem, że to koniec. Jednak zjawła wróciła. Pamiętasz tę noc, kiedy przyszedłaś do domu i zastałaś mnie krzyczącego? Wydawało mi się wtedy, że jestem z tobą. Ale to był ktoś - coś innego.

- Czy w tej nowej wersji Ukrzyżowania było coś o połamanych nogach Jezusa na krzyżu?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Klientka z centrum o tym mówiła. Jej opowieść była bardzo chaotyczna, ale w kółko powtarzała, że połamali mu nogi, i że to go zabiło.

- Pod ciężarem ciała, które nie opiera się na nogach, płuca przestają pracować i po prostu dusisz się. Gdzieś o tym słyszałem. Zrobili to, aby skrócić jego cierpienie.

- Albo żeby zabić kogoś, kto nie powinien był umrzeć?

- Tak, sądzę, że tak też można na to spojrzeć. Ale w Biblii powiedziane jest wyraźnie, że nie połamano mu nóg. Sharon, co to wszystko ma wspólnego ze mną? Dlaczego to przychodzi *do mnie*'?

Uznała, że nadszedł czas, aby mu powiedzieć.

- Tom, myślę, że poza tym głosem, który słyszałeś, był jeszcze jeden.

- Co ty mówisz?

- Tom...

Ale Sharon nie zdążyła powiedzieć, co ma na myśli. Zadzwoił telefon. Próbowwała go zignorować, ale w końcu podniosła słuchawkę.

- Tak? Och? Tak. Jasne. Aha. Tak. Naprawdę? Aha. Odłożyła słuchawkę.

- To Ahmed. Jest mocno podekscytowany. Chyba pracował nad tym twoim zwojem. Chce, żebyśmy do niego przyjechali.

- Teraz?

- Tak - westchnęła. - Teraz.

- Powinniście wiedzieć, że całą noc pracowałem nad tym okropnym zwojem. Będę z wami szczery: nie miałem na to ochoty. Ale nawiedziły mnie *djiny* i pomyślałem, że jeśli wezmę się do pracy, utrzymam je na wodzy.

Ahmed faktycznie wyglądał, jakby nie spał od kilkunastu godzin. W mieszkaniu panował nietypowy bałagan. Biurko zavalone było książkami naukowymi. Zwój leżał pośrodku, w kręgu światła rzucanego przez niewielką lampkę.

Choć wyglądał na wyczerpanego, usta mu się nie zamykały. Mówiąc, bezwiednie gładził swój jedwabisty, czarny wąs.

- No i zgadnijcie, co odkryłem? Ten przeklęty zwój roi się od *djinnów*. Jest ich pełno! Pełzają po nim, wysysają go, żywią się nim. A za każdym razem, kiedy coś przetłumaczę, one to zmieniają. Odwracam na chwilę wzrok, spoglądam ponownie, a tam jest coś zupełnie innego.

- Ahmed, przestań opowiadać bzdury. Powiedz wreszcie, co naprawdę jest w tym zwoju!

- Bzdury?

Arab oskarżycielsko wyciągnął brązowy palec w stronę Toma, ale mówił do Sharon.

- Jego zapytaj! Zapytaj swojego angielskiego kochanka! On wie! On wie, że to nie są bzdury!

Potem bardzo uprzejmie zwrócił się do Toma i zaproponował miętową herbatę.

- Daj mu piwo - warknęła Sharon. - Wolałby piwo, niż tę twoją obrzydliwą herbatę.

- Ona wie, że jestem muzułmaninem. Nie piję piwa.

Sharon poderwała się ze swojej poduchy i podeszła do lodówki okrytej arafatką. Z rozmachem otworzyła drzwi pokazując zgrzewkę Maccabee. Wyciągnęła trzy butelki i otworzyła je.

- To prawdziwy gnojek.

- Kocham cię - powiedział Ahmed, biorąc od niej jedno ze swoich własnych piw. - Żyj ze mną. Zostań moją ukochaną.

- Rozmawiałam z Tobie na twój temat. Przesyła pozdrowienia.

- Okropna kobieta - powiedział Ahmed do Toma. - Prawie mnie zabiła tymi wszystkimi pytaniami.

- Ocaliła mu życie - odparowała Sharon.

- Wolałbym spędzić noc torturowany przez tysiąc *djinnów*, niż znów zmierzyć się z tą kobietą. Przekaż jej proszę, że ja jej nie pozdrawiam.

- Ahmed, powiedz nam o zwoju!

- A tak, zwój. Mówiłem wam, że pracowałem nad nim całą noc? Mam nadzieję, że to doceniacie. Tom, przede wszystkim opowiedz mi o człowieku, który ci go dał. Myślisz, że wiedział jakie to ważne?

- Bez wątplenia. Zachowywał się jak paranoik. Uważał, że wszyscy na niego czyhają i chcą mu go odebrać. Ale odkąd mi go przekazał mam wrażenie, że jestem śledzony.

- Obawiam się, że masz rację. Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że zwój został spisany przez samego Jezusa Chrystusa.

- Co? - wykrztusili jednocześnie Tom i Sharon.

- Powiedziałem „na pierwszy rzut oka”. Autor zwoju przedstawia linię rodową, z której niewątpliwie wywodzi się Jezus. Jego ojcem był Józef Esseńczyk, dziadkiem Jakub - Heli i tak dalej, aż do króla Dawida. Zakładam, że jesteśmy na tyle dojrzały, aby nie przejmować się opowieściami o niepokalanym poczęciu. Początkowo więc pomyślałem, że mam do czynienia z tekstem spisany przez waszego Mesjasza. Możecie sobie wyobrazić moje podniecenie? Pamiętajcie, że islam zalicza go do proroków. Z wrażenia przestałem palić, aby mieć jasny umysł.

- Ale okazało się, że to nie Jezus go napisał? - zapytała Sharon.

- Nie. Wyjaśniło się, że ten rodowód został spisany ze względu na małżeństwo. To wcale nie takie dziwne. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że Jezus był żonaty. Kościół chrześcijański zawsze to wykluczał, ale w apokryfach są na to dowody; a skoro Jezus był rabinem, byłoby bardzo dziwne, gdyby nie był żonaty.

- Magdalena - wyszeptał Tom.

- Maria Magdalena - powiedział Ahmed. - Tak sędzę. Autorką zwoju jest kobieta, jednak jej imię nigdzie nie pada.

- Mów dalej.

- Pamiętajcie, że Jezus miał także brata?

- Jakuba - powiedział Tom. - Biblia wspomina, że miał brata Jakuba.

- Zgadza się. Ale ktokolwiek napisał ten dokument, początkowo jawi się jako wróg Jezusa. Nie wymienia go z imienia, ale też nie wyraża się o nim z szacunkiem. Mówi o nienazwanym bracie „Trudność” i „Dwuznaczność”. Teraz muszę bardzo uważać na interpretację tekstu, ponieważ jest zapisany rodzajem kodu. Wygląda na to, że autorka weszła w kruchy sojusz z ową „Trudnością”, domniemanym Jakubem, przeciwko wrogowi, którego konsekwentnie nazywa „Kłamcą” albo „Nauczycielem Kłamstw”. Byli zaangażowani w walkę z jakimś religijnym kultem.

Wszystkie te słowa o „Kłamcach”, „Wrogu” i „Prawym” doprowadzają mnie do obłędu, bo nigdy nie mam pewności, o kim mowa. Zmienia się to w zależności od tego, czy chodzi o przeszłość, czy o przyszłość. A do tego starożytny hebrajski jest tak niejednoznaczny, że nie wiesz, czy to „Nauczyciel go zabił”, czy to „on zabił Nauczyciela”. To wyłącznie kwestia interpretacji. Przeczytam wam coś, co przetłumaczyłem i nieco wygładziłem.

Ahmed podszedł do biurka i znalazł zapisaną kartkę papieru. Zaczął czytać: *Kiedy triumf Prawdy ponad Kłamstwem zawiódł, brat Sprawiedliwego Nauczyciela przystąpił do Kłamcy, a frakcje Wschodu i Zachodu zjednoczyły się przeciwko wszystkim. Kłamca i jego brat zstąpili do mojego grobu. Kłamca wydał polecenie, by połamać kończyny jego. Fałszywe proroctwa zostały podlane. Rośliny się zakorzeniły. Proroctwo się nie wypełniło.*

Tom zadrżał.

- Maria Magdalena. Ta scena w ogrodzie, ona przy grobie nie rozpoznała zmartwychwstałego Chrystusa.

- Figowiec - powiedział Ahmed - to drzewo, które potrzebuje kilku generacji zanim wyda owoce. Ich smaku zakosztują następne pokolenia. To metafora mówiąca o dojrzewaniu proroctw. Autorka zwoju należała do sekty religijnej próbującej sprawić, aby proroctwa zostały spełnione. Była żoną najważniejszej postaci.

- Jakiej postaci? - spytała Sharon. - Jakie proroctwa?

- To wszystko znajdziesz w Starym Testamencie. Cierpiącego Sługę. Księcia Zgromadzenia. Uzdrowiciela. Mesjasza, a niech to szlag. Posłuchajcie tego: *Sicarii, który pomagał przy planie Maga, zabił się z żalu. Rada Dwunastu rozwiązała frakcję. Odmówiłam małżeństwa z faryzeuszem, który skazał Sprawiedliwego Nauczyciela. Mój mąż. Mój Nauczyciel. Moje życie.*

- Nie jest to zupełnie jasne - powiedział Ahmed - ale przypuszczalnie nie powiódł się jakiś wielki plan dotyczący wypełnienia proroctw. Został udaremniony, może źle przeprowadzony, a Nauczyciel Prawości umarł. Potem jakiś człowiek, sądzę, że był to Jakub oraz jeszcze ktoś, „Wróg”, „Kłamca” połączyli siły i bez powodzenia próbowali nakłonić autorkę zwoju do działania.

- Tak - powiedział Tom, podnosząc się i podchodząc do biurka. Podniósł zwój. - Połamano mu nogi, na krzyżu. On wcale nie miał umrzeć. Miał przeżyć, a potem jakby wrócić z martwych.

- Wyprzedzasz moje myśli - powiedział Ahmed - ale to właśnie sugeruje ten zwój. Pamiętacie Łazarza? To była próba. Wziął jakiś narkotyk, może jad węża sprawiający, że wyglądał jak martwy. Musieli tylko utrzymać go przy życiu do czasu, aż usuną truciznę. W zwoju są wzmianki o aloesie i mirze. Sok z aloesu ma działanie oczyszczające, a mirra neutralizuje i łagodzi działanie trucizny.

Tom pomachał zwojem przed nosem Sharon.

- Teraz mi powiedz, że to wszystko mój wymysł. Teraz mi powiedz, że mam halucynacje, że to tylko poczucie winy, i że jeśli będę o tym mówił, to zniknie. Wszystko jest tu zapisane! Wszystko! Skąd miałbym o tym wiedzieć? Skąd miałbym wiedzieć?

- Nic nie wiesz - odparła Sharon.

- Wiem jedno: on nie miał umrzeć. Musieli się upewnić, że Rzymianie w akcie łaski nie połamią mu nóg. Nie udało się. Próbowali zdobyć władzę i spartaczyli to. Nie udało się. Tylko o to chodziło i nie udało się!

- Uspokój się - zaprotestował Ahmed. - Za bardzo się denerwujesz. Przerażasz biednego, starego Ahmeda. Siadaj. Napij się piwa. Zapal coś. Tylko się uspokój.

Tom odłożył zwój na biurko, wrócił na swoją poduchę i usiadł z głową schowaną w dłoniach.

- Tak lepiej - powiedział Ahmed. - Teraz mi powiedz, skąd o tym wszystkim wiesz.

Tom spojrzał w aksamitne oczy Ahmeda.

- *Djinn* mi powiedział.

- Dlaczego - zapytała Sharon - ty i Katie nigdy nie mieliście dzieci?

Siedzieli w Cafe Akrai, popijali piwo i udawali, że przyglądają się przechodniom.

Tom pociągnął łyk Maccabee.

- A dlaczego ty nie masz?

Położyła mu dłoń na przedramieniu.

- Nie. Nie rozmawiajmy w taki sposób. Zadaję ci pytanie, a ty odpowiedz otwarcie i szczerze, nie próbuj się wycofywać. Odpowiedz, jakbym była twoim przyjacielem.

Przeniósł wzrok na jej twarz. Miała zaciśnięte wargi, w oczach lśniło coś, co wyglądało jak złość. Jeśli rzeczywiście była zła, nie winił jej za to. Sam ją w to wplątał. Wrócił myślami do mieszkania Ahmeda.

Podobnie jak za pierwszym razem, przy wyjściu Ahmed tak manewrował, aby Sharon poszła przodem. Chciał zamienić z Tomem kilka słów na osobności.

- Czy ona wie? - wyszeptał Ahmed.

- O czym?

- O tym, że twój *djinn* się rozdziwił; teraz siedzi też na plecach Sharon. Przecież musisz o tym wiedzieć?

Spojrzał w spokojne oczy Araba, zastanawiając się, czy to jakiś zakamuflowany sposób na potwierdzenie faktu, że są kochankami.

Potem wyszedł na słońce i dołączył do Sharon.

Siedziała z nim przy kawiarnianym stoliku i czekała na odpowiedź.

- Wybacz. Ona chciała mieć dzieci. Ja nie.

- Dlaczego?

- Mieć dzieci to jakby umierać i zaczynać wszystko od nowa. To jakby stracić ukochaną. Nie byłem w stanie znieść tej myśli.

- Kłóciliście się o to?

- Codziennie.

Kiedy Tom powiedział „codziennie”, miał na myśli późniejszy okres ich trzynastoletniego małżeństwa. Zegar biologiczny Katie już nie tykał, raczej dzwonił. Przypomniawszy sobie, jak ją poznał, jak złapał ją za stopę na tamtej imprezie przed laty.

- Jej stopa - powiedział, budząc się ze wspomnień.

- Co? - spytała Sharon.

- Jej stopa. Nie opowiadałem ci nigdy, jak podczas przyjęcia natknąłem się na jej stopę? Umarła, a jej nieobecność stała się tak dojmująca, że brałem ze sobą do łóżka jeden z jej butów i w ciemności tuliłem się do niego. Jak pies, prawda? Jakby wcale nie umarła, tylko wysunęła stopę z buta.

Otwiera się, pomyślała Sharon.

- Musiałeś ją bardzo kochać.

Zaczął już formułować gniewną odpowiedź, ale zanim zdążył się odezwać, na ich stolik padł cień. Oboje spojrzeli w górę.

Przy stole stał niski, ciemnowłosy, opalony mężczyzna w czarnym garniturze. W ręku trzymał aktówkę. Jego powitalny uśmiech był równie sztywny, jak kołnierzyk przy koszuli.

- Mogę się przysiąść? - zapytał.

Tom spojrział na Sharon.

- To ten człowiek, który za mną łązi.

- Przepraszam - powiedział tamten. Jego uśmiech był bardzo sztuczny. - Mogę usiąść?

Postawił aktówkę pod stołem.

- Przypuszczalnie wiecie, kim jestem.

- Nie - odparł Tom.

Wyciągnął rękę, a to spowodowało, że rękaw marynarki podjechał mu do połowy przedramienia.

- Ian Redhead.

Znow uśmiechnął się szeroko i nieszczerze.

- Anglik - dodał.

Tom uściśnął jego dłoń. Sharon również, dość lekceważąco. Mężczyzna był kłębkiem nerwów. Wreszcie usiadł.

- Oczywiście jesteśmy zainteresowani zwojem.

- My? - zdziwiła się uprzejmie Sharon.

Wyprostował się nerwowo.

- Sądzymy, że Dawid Feldberg dał panu zwój. To znaczy musieliśmy poczekać i przekonać się, kto odziedziczył majątek pana Feldberga, zanim złożymy hojną ofertę. Testament wprawdzie nie

został jeszcze zrealizowany, ale pośród jego rzeczy nie było śladu zwoju. Sądźmy, że dał go panu.

- Owszem.

- Co za ulga; to znaczy, dobrze jest wiedzieć, co się z nim stało. Mówił panu, że od lat chcieliśmy go od niego kupić? Od lat. Czy nadal go pan ma?

- Nie.

- A gdzie jest?

- Sprzedałem go.

Redhead sposepniał.

- Komu? Komu pan go sprzedał?

Tom spojrział na Sharon.

- Skąd byli ci ludzie?

- Masz na myśli tych z instytutu, czy tych innych, skądś tam?

- Proszę, tylko nie mówcie, że byli to Bracia w Chrystusie.

- Nie - odparł Tom. - Sharon, co to byli za jedni?

- Katolicy? - odpowiedział Redhead. - Żydzi?

- Powiedział chyba, że anglikanie - zadumała się Sharon. - Tak, anglikanie.

- Ależ to niemożliwe! - głos mu się wyostrzył. - To ja reprezentuję anglikanów!

- No to pewnie nas okłamał - powiedziała szybko Sharon.

- Ile panu zapłacił?

- Proszę mi wybaczyć - chłodno powiedział Tom - ale to chyba moja prywatna sprawa.

Anglikański przedstawiciel uderzył dłonią w stolik.

- Chcę tylko powiedzieć, że mogłem przebić tę ofertę. Spoczywał na mnie obowiązek zabezpieczenia zwoju. Zawiodłem. Nie ma pan pojęcia, co to oznacza.

- Przykro mi - odparł Tom.

Redhead spojrział na niego gniewnie.

- Jest pan chrześcijaninem?

- Tak, ale staram się o tym nie pamiętać.

- Nie ma pan pojęcia, jak ważny dla społeczności chrześcijańskiej jest ten zwój.

- Albo dla społeczności żydowskiej? - wtrąciła się Sharon.

- Jest pani Żydówką? Czy ona jest Żydówką? Nie mówię, że nie jest ważny dla Żydów. Ale dla nas jest ważniejszy. Panie Webster, sądzę...

- O, wie pan, jak się nazywam.

- Panie Webster, sądzę, że jest pan chrześcijaninem, nieważne, co pan mówi. Znać to po panu. Dam panu wizytówkę.

Wyciągnął spod stolika teczkę i otworzył ją. Tom oczekiwał, że zobaczy tam paczki banknotów, ale wewnątrz były tylko luźne kartki papieru, kredki i kolorowe pisaki. Redhead wydobył wizytówkę i podał mu ją. Już zamykał aktówkę, ale coś przyciągnęło wzrok Toma. Był to plik dużych, kolorowych obrazków z połączanymi brzegami, przedstawiających sceny biblijne, takich, jakie zbierają dzieci uczęszczające do kościoła.

Tom wskazał na obrazki.

- Kiedyś je zbierałem.

- Prowadzę szkółkę niedzielną. - Redhead oznajmił to niemal podniośle. - Tutaj, w Jerozolimie.

- Brakowało mi tylko jednego obrazka. Nazywał się „Dzień Zmartwychwstania”.

- Muszę powiedzieć... - Redhead zamknął aktówkę - że Kościołowi także brakuje pewnych obrazków do kolekcji. Między innymi tego zwoju. Jeśli zmieni pan zdanie, proszę się odezwać. Mój adres jest na wizytówce.

Podniósł się i uściśnął rękę Sharon.

- Kto wie? Kto wie? Może moglibyśmy znaleźć dla pana ten brakujący obrazek.

I wyszedł, zostawiając Toma i Sharon patrzących się na siebie w osłupieniu.

- Nie cierpię ludzi, którzy posługują się metaforami - oświadczył Tom.

- Wydaje mi się, że miał na myśli tylko tyle - powiedziała Sharon - że mógłby znaleźć dla ciebie ten obrazek.

- Co zrobisz? - spytała przy kolejnym drinku, po tym jak Redhead odszedł.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Zabolą cię uwaga o tym, że jesteś chrześcijaninem. Trafiło cię to, co?

- Zacząłem przez to myśleć o Katie. Na kilka miesięcy przed śmiercią nagle zrobiła się religijna.

- Katie? Przecież nigdy nie miała takich zapędów.

- To prawda. Ale wiesz, jak to jest ze starymi ludźmi, kiedy pod koniec życia zaczynają się zwracać ku religii. Tak samo było z nią. Wiedziała, że umrze. Jestem pewien, że wiedziała.

Nikt nie był bardziej zaskoczony od Toma, gdy na kilka miesięcy przed śmiercią Katie poprosiła go, aby poszedł z nią do kościoła. Dotąd ideologia New Age to było wszystko, na co było ją stać w sprawach duchowości. Gotyckie katedry jakoś mniej do niej przemawiały, niż tajemniczość kamiennych kręgów. Dlatego zadziwiła Toma któregoś ranka przerywając mu lekturę niedzielnej gazety słowami: O, „Święto Plonów”.

- Święto Plonów? - powtórzył.

Siedział w szlafroku, był nieogolony i zaskoczony.

- W Tottenham Hotspurs, o trzeciej.

- Nie, dziękuję.

- Kiedyś miałeś w sobie wiarę. Zawsze mi powtarzałeś, że masz w sobie wiarę.

- Miałem. Nie wiem. Wydawało mi się, że interesowałaś się Misteriami Ziemi.

- Och, Tom, w sumie chodzi o to samo. O wdzięczność.

- Wdzięczność za co?

- Na litość boską! Czy naprawdę jest tak źle?

Potem usiadła mu na kolanach, objęła go i pocałowała.

- Proszę, chodź, proszę, proszę.

- Dlaczego?

- Ponieważ coś się wydarzy. Czuję to. Jakby niebo miało się otworzyć i uwolnić barwy twojego tatuażu.

Gapił się na tatuaż, aby nie patrzeć jej w oczy. Nie chciał iść na żadne Święto Plonów i powiedział to. Ku jego zdziwieniu rozplakała się. Katie nigdy nie stosowała łez, aby nim manipulować i od bardzo dawna nie płakała. Teraz szlochała tak, jakby się nad nią znęcał.

Wahał się czy jej nie ulec, ale uznał, że to kwestia zasad. W końcu poszła sama. Po powrocie zapytał, czy jej się podobało. Potrząsnęła głową i nie odzywała się do niego przez cały wieczór. Znowu coś umarło między nimi.

- Nie chciałem iść na pieprzone Święto Plonów.

- Co? - powiedziała Sharon. - Dlaczego krzyczysz?

Tom przypomniał sobie, gdzie jest.

- To było... to było, jakby wiedziała, że umrze.

- Tom, to nonsens.

Sharon przypomniała sobie, co powiedziała jej Katie, kiedy widziały się po raz ostatni.

- Chodź ze mną do Getsemani - powiedział nagle.

- Co, teraz? W środku nocy?

- Tak, teraz.

Wstał.

- Po co? Brama będzie zamknięta. To bez sensu.

- Muszę to zrobić. Chcę zapalić świeczkę dla Katie. Pójdiesz?

Dla niej?

Skoro tak stawiał sprawę, nie mogła odmówić, mimo że nie miała ochoty włóczyć się tam po nocy. Nawet w dzień nie lubiła tam chodzić. Miejsca ważne dla chrześcijan od zawsze pełne były oskarżeń i pretensji wobec Żydów. Echo zdrady i cierpienia sprawiało, że Ogród Getsemani był raczej straszny, niż piękny. Nie lubiła go. Ale to miejsce dawało Tomowi dziwną energię. W tym ogrodzie użądliła go pszczoła - przynajmniej tyle zrozumiała z jego nieskładnej opowieści o tamtym dniu.

Nie, nie miała najmniejszej ochoty iść tam w nocy, ale co mogła zrobić, skoro tak bardzo mu na tym zależało? Jechała samochodem przez miasto, a on w milczeniu siedział na miejscu pasażera. Zaparkowała auto i ruszyli pod górę, do bram ogrodu zdrady.

Zgodnie z jej przewidywaniami była zamknięta, ale w jaskini, w której Tom spotkał franciszkańskiego mnicha płonął mały, żółty ogień świecy. Tom złapał Sharon za rękę, poprowadził ją w bok od bramy, aż znaleźli miejsce, w którym mogli przejść przez mur. Ignorując jej protesty, Tom wspiął się na mur i pociągnął ją za sobą.

Sierp księżyca przebił się spoza chmur oświetlając zimnym, widmowym światłem drzewa oliwne. Ich błyszczące liście na tle fioletowego nieba wyglądały jak srebrne monety. Tom oparł dłoń o pokręcony pień jednego z nich.

- Co my tutaj robimy? - jęknęła Sharon.

Tom zauważył coś pod nogami. Na wpół zakopana w wyschniętej ziemi, pod drzewem oliwnym leżała mała Biblia. Podniósł ją. Była dość stara i prawie przegniła. Jakiś turysta, może

pielgrzym, musiał ją zgubić, albo może nawet zostawił ją jako wotum. Otworzył ją. Grzbiet książki rozpadł mu się w rękach. Tom chciał zobaczyć, na jaki rozdział trafił losowo, ale zamiast tego ujrzał błyszczącego, czarnego robaka, obrzydliwego i dużego jak ślimak bez skorupy, który wypełził spomiędzy zbutwiałych kartek. Robak wspiął się na kciuk Toma.

- Faj! - z odrazą odrzucił Biblię.

- Co się stało?

- Jakiś czarny robak.

- Nic nie widziałam.

Sharon także zaglądała do książki, była ciekawa, na czym się otworzy. Widziała tylko białą stronę.

- Chodźmy.

Zbliżyli się do jaskini i zobaczyli mnicha we franciszkańskim habicie pochylonego nad pulpitem, kreślącego coś w skupieniu. Zdawał się kontynuować pracę poprzednika, którego Tom poznał w dniu, w którym użądliła go pszczoła: rysował jakieś linie na papierze. Jednak to nie był ten sam mężczyzna.

Tom sądził przez chwilę, że patrzy na dziecko w brązowym habicie. Podszedł bliżej i przekonał się, że mnich był karłem. I był czarny. Musiał usłyszeć chrzęst ich kroków na żwirze, bo podniósł wzrok i przechylił głowę, nasłuchując. Tom i Sharon cofnęli się pod osłonę drzew.

Mnich odłożył pióro, ześlizgnął się z wysokiego stołka i podreptał do wejścia jaskini. Zobaczyli, że jego oczy były zmętniałe,

niemal białe.

Tom powiedział coś. Mnich zeszywniał i odwrócił głowę w ich stronę. Nasłuchiwał w napięciu. Wykrzyczał coś, czego nie zrozumieli. Potem odezwał się po angielsku.

- Jest tu kto?

Wstrzymali oddech.

- Odezwij się!

Po kilku chwilach wrócił do swojego pulpitu, wspiął się na stołek i na powrót zabrał się do pracy.

- Możemy już iść?

- Jeszcze nie - powiedział Tom.

Weszli pomiędzy drzewa oliwne. Tom prowadził Sharon do miejsca, w którym spotkał Magdalenę.

- Tutaj - powiedział. Przyciągnął ją szorstko do siebie i pocałował.

Sharon roześmiała się i objęła go, potem ujęła jego twarz w dłonie. Językiem ostrożnie badał jej usta, aż poczuła zawrót głowy. Rozpiął guzik jej spodni i z cichym zgrzytem odpiął zamek. Zsunął jej majtki i włożył w nią palec. Sharon odsunęła się.

- Nie - wyszeptała. - Tom, nie tutaj.

Nalegał, przytulając się do niej. Jej sutki stwardniały pod naciskiem jego ciała. Przerwała jednak pocałunek.

- Kochanie, nie tutaj. Proszę, Tom. Chodźmy stąd.

Tom ją zignorował. Odsunęła się z niepewnym uśmiechem i uniosła ręce w przepaszającym geście. Tom w odpowiedzi rzucił się

naprzód, złapał ją za pasek przy spodniach, odwrócił i przycisnął do szorstkiego pnia oliwki. Kciukami zaczepił o brzeg jej jeansów i majtek, ściągając je w dół. Przytrzymując ją przy drzewie mocował się z własnymi spodniami. Usiłował wepchnąć członek w jej odbyt.

Sharon uwolniła się i z rozmachem uderzyła go pięścią w głowę. Cios był solidny. Trafiła go mocno w ucho, aż się zachwiał. Opadł na kolana, jedną rękę przyciskając do ucha, drugą ocierając usta. Jego erekcja zaczęła zanikać.

- Tom, co ci odbiło? - wysyczała Sharon, podciągając spodnie. - Co, do kurwy nędzy, ci odbiło?

- Przepraszam. Przepraszam.

- Przepraszam? Odwał się!

Sharon ruszyła w stronę miejsca, gdzie sforsowali mur. Tom, wciąż na kolanach, patrzył jak znika między drzewami.

Czekał w ciemnościach przez jakiś czas, drżąc w zimnym blasku księżyca. *Co się z tobą dzieje? Co się z tobą dzieje, człowieku?* Coraz bardziej tracił nad sobą kontrolę. Wiedział, co właśnie zrobił, ale nie wiedział, dlaczego. Poddał się prymitywnemu impulsowi. Przeszedł po nim jak fala tsunami. Coś w nim tkwiło i próbowało właśnie wydostać się na wolność.

Nie, nie był opętany. Jakże łatwo byłoby uznać, że przejął nad nim kontrolę jakiś duch. Chociaż czuł, że to niezupełnie on sam rzucił się na Sharon, to z całą pewnością to coś było *w nim*. Jakaś jego cząstka próbowała się uwolnić i przejąć kontrolę nad jego życiem. Odbywało się to powoli i boleśnie, jakby po jednym pękały w nim

szwy. Jedna zjawą, jeden szew. Każda halucynacja i każdy wybuch coś przybliżał. Był przerażony tym, co miało nadejść.

Po chwili Sharon powoli i ostrożnie wynurzyła się zza drzew. Uklękła przy nim. Jej wściekłość minęła. Pogładziła go po włosach.

- Czuję, jakbym rozpadał się na części - powiedział Tom.

- W porządku - powiedziała mu do ucha. - Już dobrze.

Z kącika oka spłynęła mu łza. Starła ją kciukiem.

- Nie, nic nie jest dobrze - powiedział Tom.

- Jestem tutaj.

Wzięła w ręce jego dłoń i pocałowała go łagodnie w usta. Potem rozpięła bluzkę i położyła na piersiach jego dłoń.

- Tego właśnie chcesz, prawda?

- Tak.

Sharon przycisnęła piersi do jego ust. Tuliła go, a on ssał jak dziecko. Potem położyła go na zakurzonej ziemi. Zsunęła mu spodnie i położyła chłodne, zwilżone śliną palce na jego członku.

- Nie chciałem... - zadrżał.

- Óóóó...

Położyła mu palec na ustach. Potem wyslizgnęła się z koszulki uwalniając piersi, zrzuciła spodnie i stanęła przed nim naga. Czuł jej podniecenie, w nocnym powietrzu wyczuwał jej zapach, spowijała go, okrywała smuga cudownej woni. Wyłowił w powietrzu jeszcze jakiś zapach, zmieszany z oszałamiającym aromatem jej waginy. Uświadomił sobie, że to zapach balsamu. Spojrzał na Sharon stojącą nad nim w mroku, wyglądała podniecająco i strasznie zarazem, jak

figura na dziobie statku widma. Zobaczył, że to wcale nie była Sharon. Stało się to, czego przez cały czas bał się najbardziej, i najbardziej pragnął.

- Katie. Och, Katie.

- Musiałam przyjść.

- Katie.

Opadła przed nim na kolana, chłodnymi dłońmi obejmując jego twarz.

- Nie płacz. Nie wiesz, jakie to trudne. Próbowałam znaleźć drogę do ciebie.

Była ciepła, kobieta z krwi i kości. Czuł swoje łyzy na jej wargach. Pocałował ją, smakowała dokładnie tak, jak zapamiętał.

- Ta stara kobieta to Magdalena? - spróbował.

- To byłam ja. Próbowałam cię odnaleźć. Tom, nic nie mów. Kochaj mnie.

Katie opadła na ziemię, delikatnie wciągając go na siebie.

- Kochaj mnie, Tom - mruzczała. - Kochaj mnie.

Rozsunęła nogi, otwierając się na niego. Przeciągnął dłonią po jej brzuchu, ale tam gdzie powinno być łono, wyczuł coś innego. Zobaczył otwartą księgę, nie tyle leżącą na jej ciele, ile stanowiącą jego część. Otwarta okładka uformowana była z ciała wewnętrznej strony ud. Włosy łonowe układały się w znaki tajemniczego pisma. Strony zaczęły się przewracać, jak na wietrze. Potem pojawiła się w nich gnijąca dziura, niczym czeluść pełna niszczycielskiego robactwa.

- Błagam! - powiedział Tom.

- Kochaj mnie, Tom. Kochaj mnie.

- Błagam! - powtórzył rozpaczliwie.

- *De profundis* - wysyczała Katie.

Odrzuciła głowę i roześmiała się szyderczym, skrzeczącym śmiechem, ciało wiło się, skręcało i wreszcie zapadło w księgę. Wystrzeliła płomieniem, powietrze wokół zawirowało popiołem i żarem, pozostawiając odór spalenizny i ostry zapach balsamu.

Tom odchylił głowę i zaszlochał.

Spojrzał w górę. Ujrzał nad sobą ciemną postać. Był to maleńki mnich, jego białe oczy błyskały dziko w czarnej twarzy. Wyciągnął palec w stronę Toma.

- Człowiek czy duch? - krzyknął. - Jesteś człowiekiem, czy duchem?

- Jezu Chryste - powiedział Tom do Sharon zaraz po tym, jak pierwszy raz spotkał się z Tobie. - To nie może się udać.

- Daj jej szansę - syknęła Sharon. - Doceń ją. I pamiętaj, że to z jej strony przysługa. Robi to dla mnie.

Tobie przestała przyjmować mężczyzn w Bet Ha-Kerem z powodu Ahmeda. Podczas głębokiego kryzysu, jakaś jego część kazała mu włamywać się w nocy do pokoi kobiet, albo w ciągu dnia osaczać je w ustronnych, małych pomieszczeniach. Nagi i w stanie wyraźnego podniecenia dopadał swoje ofiary z nożem kuchennym w ręce i błagał o odcięcie tego, co wówczas uważał za źródło wszystkich swoich problemów. Ta dość ekscentryczna prośba przerażała niektóre kobiety, chociaż Ahmed nigdy żadnej z nich nie skrzywdził. Stwarzał większe zagrożenie dla siebie, niż dla kogokolwiek innego. Główną obawą Tobie było wówczas to, że któraś z kobiet pogrążonych w mroku własnego kryzysu może spełnić jego prośbę.

Sharon musiała bardzo nalegać, aby Tobie zgodziła się na spotkanie z Tomem.

- Tylko sprawdź, czy zdołasz skłonić go do mówienia - powiedziała. - Ze mną po prostu nie chce rozmawiać.

- Pracuję dwadzieścia pięć godzin na dobę. Kiedy mam zrobić jeszcze i to?

- Zostaw w spokoju moją grupę dzienną. Odczep się od księgowego. Nie patrz na ręce sprzątacze. Przestań się pętać po kuchni.

- Pół godziny. To wszystko. Daję mu pół godziny. Sharon ją ucałowała.

- Jesteś cudowna.

- Daj spokój. Jest orzechem czy cebulą?

Był to ich własny, psychologiczny skrót myślowy. Niektórzy ludzie łatwo się otwierali, zrzucali skórę jak pomarańcza, ukazując wewnątrz kleistą, gąbczastą masę. Inni pękali z trudem, jak orzechy. Cebule były sprytne, udawały, że zdjęły już wszystko, do ostatniej warstwy, ale tak naprawdę nie dopuszczały do tego. Czasami, przy cebuli, to doradca kończył we łzach.

- Cebulą - powiedziała Sharon.

Namówiwszy Tobie na spotkanie z Tomem Cebulą, Sharon musiała jeszcze tylko namówić Toma na spotkanie z Tobie Nożycoręką.

- Nie ma mowy - oświadczył Tom.

Ale Sharon była zdeterminowana. Przypomniała mu, w jak opłakanym stanie znalazła go poprzedniej nocy w ogrodzie.

Rozwścieczył ją i zranił brutalnym atakiem, wybiegła więc z ogrodu, zdecydowana go tam zostawić. Usiadła w aucie i usiłowała zebrać myśli, złość jej nieco opadła, w końcu poczuła zaniepokojenie. Potem usłyszała jego niemal zwierzęce wycie.

Zanim do niego przybiegła, był już tam mały mnich usiłujący postawić go na nogi. Tom był brudny, prawie nagi. Bełkotał imię Katie.

- Dziękuję - powiedziała Sharon do mnicha. - Zabiorę go.

- Jest bardzo zdenerwowany - powiedział mnich, usiłując zlokalizować ją na tle nieba białymi, niewidzącymi oczami.

- Owszem. Widzę.

Pomogła mu się ubrać, a mnich otworzył im bramę.

- Tom, co pamiętasz z ostatniej nocy?

Szczerze mówiąc pamiętał wszystko.

- Przyznaj, że masz problem - powiedziała mu Sharon. - Nie chcesz rozmawiać ze mną, to może porozmawiasz z Tobie.

Sharon nie pozwoliła, aby temat gdzieś się rozmył i suszyła mu głowę tak długo, aż zgodził się pójść na wstępne spotkanie. Gdy Tobie po raz trzeci powiedziała do niego *koanie*, poczuł do niej prawdziwą niechęć. Potem oznajmiła, że będzie mogła się z nim spotkać dopiero po popołudniu, pod warunkiem, że Sharon pójdzie do domu.

- *Koanie*, jestem zbyt zajęta. Sharon też jest zajęta, nie możesz pętać się jej pod nogami.

I poszła sobie, zapraszając go, aby wrócił później. Zanim wyszedł z centrum zajrzał do Sharon, która w kuchni rozmawiała z jakimiś kobietami. Jego pojawienie się spowodowało szmer niepokoju.

- No i? - zapytała Sharon.

Tom potrząsnął głową.

- To się nie uda.

Oczy Sharon pociemniały groźnie.

- W porządku - skapitulował. - Tylko jedno spotkanie.

Wyszedł mając świadomość, że kobiety zgromadzone w kuchni wypytyują teraz o niego.

Zgodnie z planem wrócił do centrum na chwilę przed wyjściem Sharon. Pocałowała go i obiecała, że będzie miał uczciwy proces. Potem wprowadziła go do sterylnej sali o ścianach w kolorze magnolii, z nylonowym dywanem na podłodze i pełnym stalowych krzeseł ustawionych w kręgu. Tam kazała mu poczekać na Tobie.

Po piętnastu minutach Tobie zajrzała przez drzwi i pomachała do niego.

- Już idę, *koanie*. Już idę. I znów zniknęła.

Tom kręcił się nerwowo przez następnych dwadzieścia minut, zanim Tobie znów się pojawiła. Był zmęczony i poirytowany. Nie wiedział, że Sharon powiedziała do Tobie: „Każ mu czekać. Niech się trochę wścieknie”.

Tobie usiadła.

- Chcesz kawy?

- Nie - odparł zimno.

- Ale ja chcę. Zaraz wracam.

Zniknęła na kolejnych pięć minut i wróciła z tacą, na której stały dwa kubki. Usiadła zacierając ręce.

- Wygodnie ci? Nie lubię tych pustych krzeseł. Wydaje mi się wtedy, że w pokoju jest pełno duchów.

- Jest w porządku.

- Na pewno?

- Doskonale.

- Świetnie. Cóż, napijmy się kawy, zanim zaczniemy. Czarna czy biała?

Tom w końcu dał sobie wcisnąć tę kawę. Tobie zrobiła mnóstwo zamieszania proponując mu cukier, którego nie chciał oraz ciasteczko imbirowe, które przyjął. Wreszcie zakończyli ten skomplikowany rytuał, odstawili kubki na puste krzesła i Tobie mogła zaczynać.

- No dobrze, *koanie*. Bierzmy się do roboty. Co chciałbyś mi powiedzieć?

- Słucham? - zdziwił się Tom.

- Jak zrozumiałam z rozmowy z Sharon, masz mi coś do powiedzenia. Strzelaj. Po to tu jestem.

Przyłożyła teatralnie rękę do ucha.

- No już, słucham.

- Żartujesz sobie.

- Żartuję? Dlaczego miałabym żartować?

- To jakieś nieporozumienie. Sharon sugerowała, że to *ty* masz coś do powiedzenia *mnie*.

- Chyba was nie rozumiem.

Tom z niedowierzaniem potrząsnął głową. Tobie zerknęła na zegarek.

- *Koanie*, nie chcę cię poganiać, ale naprawdę nie możemy spędzić tu całej nocy. Dokładniej rzecz ujmując, mamy pół godziny. Ja naprawdę mam co robić, jedna z pacjentek ma dziś urodziny. Wiesz, zawsze wtedy pieczemy tort i takie tam.

Tom spojrział na nią ze zdumieniem. O co chodziło Sharon? Dlaczego tu siedział i słuchał tej stukniętej starszej pani z niebieskimi włosami?

- Sharon uważała, że to dobry pomysł i tyle - powiedział.

Uśmiechnęła się słodko, a potem w skupieniu przyglądała się małej plamce na spódnicy.

- Uważała, że powinienem porozmawiać.

- Porozmawiać? O czym, *koanie*?

- Uważa... to znaczy, Sharon uważa, że przechodzę jakiś kryzys.

- Dlaczego tak uważa?

- Z wielu powodów. Głównie ze względu na ostatnią noc. Ale...

- Opowiedz mi o ostatniej nocy. Tom westchnął.

- Cóż, skończyłem nago w ogrodzie Getsemani, to główna...

- *Koanie*, a czy to jest dla ciebie normalne?

- Normalne? Oczywiście, że to nie jest dla mnie normalne! Ja nie...

- *Koanie*, ja tylko pytam. Więc zgadzasz się, że to rodzaj kryzysu?

- Niezupełnie kryzysu, raczej...

- No, jeśli to nie jest kryzys, to co to jest? Nagi facet w ogrodzie Getsemani?

- Słuchaj - wybuchnął Tom. - Chcesz, żebym mówił, a kiedy zaczynam, za każdym razem mi przerywasz!

Tobie poprawiła się na krześle i przyglądała włosy. Potem uśmiechnęła się do Toma z fałszywą słodyczą.

- Wybacz, *koanie!*

Rozdrażniony Tom znów spróbował.

- W porządku. Przyznaję, ostatniej nocy w Getsemani kompletnie mi odbiło.

- Odbiło? Co to znaczy odbiło? Może wypileś kilka piw. Dlaczego nie? Czasami sama mam ochotę zedrzeć z siebie ciuchy i zaszaleć. Nie patrz tak na mnie. Tak, mam ochotę nawet w moim wieku.

- Nie, to nie piwo było przyczyną.

- No to co to było?

- Nie wiem. Po pierwsze... cóż, próbowałem zgwałcić Sharon.

- Zgwałcić! Myślałam, że jesteście kochankami! Czyżbyś już jej nie pieprzył?

Tom dotąd nie miał okazji słyszeć tak bezpośrednich słów od starszej pani, która wyglądała, jakby właśnie oderwano ją od smażenia konfitur.

Zauważyła to.

- O co chodzi? Nie możemy rozmawiać jak dorośli ludzie? Powiedzmy coś sobie wprost. Twój tatuś pieprzył twoją mamusię, a twoja mamusia pieprzyła twojego tatusia. Tak jak mój tatuś i moja mamusia, i tak jak wszyscy inni. Stąd właśnie się wzięliśmy. Drugi

pewnik jest taki, że kiedyś umrzesz. Cała reszta jest do wzięcia. Więc jeśli nie możemy rozmawiać o seksie i śmierci jak dorośli, to nie wysilajmy się i lepiej pogadaj o tym z jakimś rabinem albo z jednym ze swoich księży. Nadażasz?

Tom został należycie skarcony.

- Tak, jesteśmy kochankami. I to niezupełnie był gwałt, ale chciałem... Mówiła „nie”, a ja ją ignorowałem. Muszę zaznaczyć, że nie zrobiłem tego nigdy - ani jej, ani żadnej innej kobiecie. Nie wiem, dlaczego się tak zachowałem.

- Co tam robiliście?

- Gdzie?

- W ogrodzie.

- Nie wiem. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Zapadła chwila ciszy. Tobie uznała, że nie będzie więcej tego drażnić, ani dociekać, dlaczego tam był.

- Spróbujmy inaczej. Jak się wtedy poczułeś? Gdy zachowałeś się w taki sposób wobec Sharon?

- Źle. Po prostu źle.

- Nie. Tak się czujesz teraz. Spróbuj jeszcze raz. Zastanowił się nad tym.

- Czuję gniew.

- Byłeś rozgniewany na Sharon. Co takiego zrobiła, że poczułeś gniew?

- Nie na Sharon. Ona nic nie zrobiła. Nie byłem zły na Sharon.

- Więc na kogo?

Tom poczuł falę gorąca. Był zdenerwowany. Na czoło wystąpił mu pot. Miętosił własne ucho.

- Ja... To nie...

- *Koanie* - powiedziała, patrząc na zegarek. - Wiem, że obiecałam ci pół godziny, ale muszę lecieć. Podniosła się i poszła do drzwi.

- Zaczęło się robić interesująco, nie sądzisz? Przyjdź jutro o tej samej porze. Bądź dobrym chłopcem i pozmywaj nasze kubki, dobrze?

Tom gapił się na nią w milczącym niedowierzaniu. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. W zamyśleniu podrapał się w głowę i zaczął zbierać naczynia.

Zaniósł je do kuchni. Zastał tam kobietę z grzywą długich, ciemnych włosów i twarzą bladą jak księżyc. Widział ją wcześniej pośród kobiet, które rozmawiały z Sharon. Z założonymi ramionami opierała się o zlew i chłodno spoglądała na Toma. Nie ruszyła się, kiedy mył kubki i stawiał je na suszarce.

- Jestem Christina - powiedziała. - Jesteś chłopakiem Sharon?

- Tak.

- Wiem. Wiem wiele rzeczy - powiedziała Christina. - Widzę przez ciebie. Widzę przez ciebie na wylot.

- Dobrze - powiedział Tom.

Szybko wyszedł z budynku centrum.

Sharon wróciła do mieszkania wdzięczna za chwilę oddechu, którą zyskała dzięki spotkaniu Toma i Tobie. Ponad godzinę mogła napawać się prawdziwym spokojem. Nie chodziło o to, że była Tomem zmęczona. Przeciwnie, ale jednak zaskoczyła ją siła uczuć, jakie do niego żywiła. To, co początkowo uważała za wielki akt hojności ze swej strony, niemal matczynej w swojej istocie, niebezpiecznie zmieniło charakter. Nie było w tym nic matczynego, czuła raczej przywiązanie kochanki. Dziękowała niebiosom za tę godzinę tylko dla siebie i możliwość spokojnej oceny sytuacji.

Paradoksalnie, Sharon posługiwała się seksem, aby trzymać mężczyzn na dystans. Zdawała się mówić: możesz się do mnie trochę zbliżyć, ale reszta nie jest dla ciebie. Niektórych facetów doprowadzała tym do szaleństwa. Niektórzy nawet płakali. Naraziła się na mnóstwo wyrzutów i wyzwisk. Nazywali ją szmatą, suką, zdzirą. Męska próżność osadzona w kontekście seksualnym, zazwyczaj potrzebowała także oddania, aby nieść je jak puchar zwycięstwa. Jeśli oddania w pakiecie nie było - a u Sharon najczęściej go nie było - obrażali się, lub wściekali. Obojętność Sharon przerażała ich.

- Ty i Tom byliście kochankami, prawda? W college'u?

Katie zapytała ją o to wprost. Sharon przyjechała do miasta pod pretekstem wspólnego oglądania feministycznego przedstawienia. Znużone przestarzałą retoryką spektaklu wymknęły się w połowie. Dla nich akt drugi toczył się już w barze.

Tak bezpośrednio zadane pytanie sprawiło, że Sharon oblała się rumieńcem.

- Tak. Ale tylko raz. I było beznadziejnie. Byliśmy pijani.

Katie mrugnęła do niej. Sharon dłońmi próbowała ochłodzić policzki.

- Oboje byliśmy kompletnie pijani. Nawet nie jestem pewna, czy zrobiliśmy to porządnie. A jeśli tak, to nie wiem, jakim cudem. Rano obudziliśmy się cuchnąc curry i czosnkiem. Nie było to zbyt romantyczne.

- Nie oddaliło to was od siebie?

- Tak - skłamała. - Tak, nie da się ukryć.

Żałowała tego kłamstwa. Katie chciała się z nią zmierzyć, próbowała usunąć potencjalną przeszkodę na drodze swojego związku. Coś leżało jej na sercu, a ona skłamała i dała jej odpowiedź, jaką Katie przypuszczalnie chciała usłyszeć. Sharon rzeczywiście była zawiedziona tamtą, tonącą w oparach alkoholu, pijacką nocą, ale nigdy się do tego nie przyznała. Ani Katie, ani Tomowi, a przez długi czas również sobie samej.

W barze przysiadło się do nich dwóch przystojnych, wypielegnowanych, młodych mężczyzn o identycznych fryzurach, więc przerwały rozmowę.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Katie. - Właśnie sobie rozmawiamy. Siadajcie. Posłuchajmy, co macie do powiedzenia.

Bezlitośnie podpuszczała chłopców, którzy musieli być od nich przynajmniej o dziesięć lat młodszy. Zbliżał się czas zamknięcia lokalu. Sharon wbiła paznokcie w udo siedzącego obok niej młodzieńca.

- Wiesz, jak to jest, laski muszą czasem pójść razem do toalety pogadać sobie o chłopakach.

- Ehm? - powiedział, mrugając. - Co?

- A ty w tym czasie kupisz nam tequilę, dobrze? Podwójną.

Potem poszły z Katie do toalety.

- Co ty wyprawiasz? - chichotała Katie ściągając spodnie w kabinie.

- Wchodzisz w to? - odchrząknęła Sharon z drugiej.

Katie tylko głośniejsze zachichotała.

Sharon wyszła z toalety i udawała, że ogląda w lustrze swoją brew.

- Pytałam, czy w to wchodzisz.

- Co masz na myśli?

- Jedziemy do nich. Możesz powiedzieć Tomowi, że zaciągnęłam cię do nocnego klubu.

Katie przestała się śmiać. Spojrzała w lustrze na Sharon.

- Nie, Sharon. To nie tak.

Sharon bardzo tego żałowała. Katie wiedziała, że Sharon ją sprawdza. Wiedziała, że nie jest w najmniejszym stopniu

zainteresowana tymi dwoma ufryzowanymi smarkaczami czekającymi w barze. Wiedziała, że Sharon próbowała nakłonić ją do zdrady.

Katie wiedziała, i ona wiedziała. Nigdy jednak nie przyznały się do tej dziwacznej, złożonej telepatii, zdarzającej się często między kobietami, więc Sharon musiała grać dalej w tę grę. Wyszły z toalety, a na stoliku czekały duże tequile.

- Cóż - powiedziała Sharon, wychylając szklaneczkę. - Naprawdę miałam chęć na gorącą noc, ale moja przyjaciółka powiedziała nie, a my dziewczyny, trzymamy się razem.

Sharon nie mogła zapomnieć miny młodzieńca, który najwyraźniej zapłacił za drogie drinki.

Ten epizod był chyba jedyną małą skazą w stosunkach między Sharon i Katie, i chociaż wybaczony, nie został zapomniany.

- Nie powinnaś oddzielać religii od seksu - powiedziała Katie, kiedy wracały do domu.

- Dlaczego nie? - parsknęła. - Chrześcijanie tak robią.

Od tamtej nocy minęły trzy lata. W swoim jerozolimskim mieszkaniu, godzinę przed powrotem Toma, Sharon zrzuciła buty i pozapalała świece w całym pokoju. Zaciemniła go spuszczaając rolety. Był to rytuał, który sobie wypracowała, aby zniwelować stres spowodowany pracą. Tym razem chciała spokojnie zastanowić się nad Tomem.

Requiem Mozarta było jej ulubioną muzyką antystresową. Nie miało to nic wspólnego z religią, jednak ta muzyka sprawiała, że niemal traciła przytomność. Dźwięki płynęły, a ona zasypiała, albo w

mroku dryfowała między snem a jawą. Potężna siła *Requiem* prowadziła ją korytarzem ze śliskiego, czarnego winylu, prawie jakby sama spadała po spirali obracającej się wolno płyty. Powoli wkraczała w przyprawiające o zawrót głowy continuum, unosila się na skrzydłach snu, muzyka się zmieniała w rozpryski światła, a potem znów wracały dźwięki, ale tym razem jako pojedynczy głos, uwodzicielski, znajomy, nalegający: *Pomóż mu. Musisz mu pomóc.*

Tik. Tik. Tik.

Jednostajny dźwięk sprawił, że Sharon otworzyła oczy. Drzemała w fotelu. Igła podskakiwała na końcu wciąż obracającej się płyty. Wiedziała, że spała, była jednak niejasno świadoma słów kołaczących się w jej głowie. Świece były nieco krótsze. Ich płomyki rzucały miękkie, żółte światło. Adapter wciąż tykał prowokująco.

Tik. Tik. Tik.

Wyłączyła sprzęt i uniosła ramię adaptera. Odwróciła się i zeszywniała nagle, upuszczając igłę z powrotem na płytę.

W drzwiach między sypialnią a korytarzem stała kobieta. Była naga, nie patrzyła na Sharon, tylko na grubą księgę, którą trzymała przed sobą. Na opalonej skórze wiły się wyblakłe tatuaże. Oczy w twarzy pokrytej zmarszczkami błyszczały jak kawałki wypolerowanego, czarnego kamienia.

- Katie? - wyszeptała Sharon.

Ale to nie była Katie. Kobieta wciąż czytała, jej usta poruszały się, szeptem wymawiając słowa. Wyglądała, jakby nie była świadoma obecności Sharon. Odwróciła stronę w księdze. Pergamin w jej dłoni

pomarszczył się i zwinął; kartka zamieniła się w białego ptaka z piórami pokrytymi starożytnym pismem. Ptak zerwał się z księgi, kołując w stronę Sharon. W księdze przewróciła się następna strona, natychmiast zamieniając się w kolejnego ptaka; potem następna i następna. Ptaki kołowały po pokoju, by po chwili wyfrunąć przez otwarte okno.

- Zanim przyszedłeś, śniła mi się Magdalena.

- Tobie też? Jesteś pewna, że to był sen?

- Nie. Nie jestem. Drzemałam w fotelu. Obudziłam się, a ona tam była. Mrugnęłam i zniknęła.

- Czy to był *djinn*?

- Może. Może to było coś innego, coś, co udawało *djinn*a. Nie wiem, czym jest *djinn*.

- A ja chyba już wiem.

- Myślisz, że obserwuje nas w ciemności?

- Tak.

- Myślisz, że patrzy, jak się kochamy? Że teraz na nas patrzy?

- Tak. Kryje się w ciemności i patrzy. Już się tym nie przejmuję.

- Ooooch... kiedy całujesz mnie w brzuch w taki sposób...

Kochaj się ze mną jeszcze raz. Kiedy się ze mną kochasz, nie może wejść we mnie *djinn*. Boję się, że wejdzie.

- Nie boisz się, kiedy ja tam jestem?

- Nigdy. Ale boję się miłości, która mnie przenika. Tom, boję się ciebie pokochać.

- Czy miłość to *djinn*?

- Tak, chyba tak. Miłość jest czającym się w ciemności *djinn*em. Czeka, aby wejść w twoje ciało.

- Nie. *Djinn* jest tym, co przychodzi, kiedy miłość znika, kiedy już się napatrzy.

- Masz rację. Miłość traci barwy. Miłość się męczy. Chce podążać dalej. Odchodząc zostawia pustkę, czeluść, otwartą ranę, krwawiącą i głęboką. Miejsce, w którym może żyć *djinn*. Dlatego boję się miłości. Tom, nie pozwól, abym cię kochała. Nie pozwól mi na to.

- Co z Katie? Dlaczego z nikim nie chcesz o niej rozmawiać?

Tobie zawsze mówiła wprost. Siorknęła kawy i zagrzechotała filiżanką o spodeczek. Przy drugim spotkaniu kazała Tomowi przygotować kawę w kuchni i skarciła go, że nie przyniósł ciasteczek.

- Przynieś z szafki herbatniki imbirowe *koanie*, bez nich nie mogę pracować.

W kuchni znalazł nie tylko ciasteczka, ale także Christine. Siedziała przy stole gapiąc się w nietkniętą szklankę wody.

- Dzień dobry - powiedział głośno Tom.

Zignorowała go, nawet nie podniosła głowy. Wrócił do pokoju, w międzyczasie Tobie poprzestawiała krzesła. Dwa z nich ustawiła naprzeciwko siebie, jedno z boku.

- Dla kogo to puste krzesło? - spytał lekko Tom.

Tobie wzruszyła ramionami.

- Może dla kogoś, a może dla nikogo. Co z Katie?

- A co ma być?

Tobie pochyliła się i położyła mu na ramieniu malutką, różową dłoń.

- Pragniesz ulgi i wiesz, że to nie żart. To bardzo ważne.

- Tak.

- Więc opowiedz mi o niej.

- A co chcesz wiedzieć?

- Gdzie cię boli, *koanie!* Gdzie boli!

Tom wyglądał na zaniepokojonego. Tobie wyglądała na zmęczoną.

- Właśnie dlatego przestałam zawracać sobie głowę mężczyznami. Wszyscy jesteście tacy głupi. Dlaczego ja w ogóle marnuję energię? Możesz sobie udawać, że nie wiesz, o czym mówię. Robię to tylko dla Sharon. Dobrze. Zróbmy to po twojemu. Zacznijmy od pogrzebu. Możesz mi o nim opowiedzieć?

- Została skremowana. Normalna rzecz. Szybka robota. Jakiś wikary, którego nawet nie znała. Odklepał formułki i kurtyna opadła. Koniec. Następny proszę.

- Dużo w twoich słowach gorzkości.

- A czego się spodziewałaś?

Rzeczywiście, czego? - zastanawiał się Tom. Śmierć osadzona jest w rytuałach, które albo pomagają się z nią uporać, albo nie. W pogrzebie Katie najbardziej przeraził go zinstytucjonalizowany profesjonalizm, sprawność, skrupulatne wykonanie zadania. Wikary prześlizgnął się przez ceremoniał jakby zmieniał biegi w nowoczesnym, sprawnym samochodzie, słowa świstały jak dobrze naoliwione dynamo, ulatywały w niebyt. Czuł się jakby stał pod szubienicą i czekał tylko, aż otworzy się zapadnia. Pod nią przesuwawała się taśma bezgłośniejszej maszyny. Skazaniec spadał, egzekucja została wykonana, ale nie wzruszyła nikogo. Jakby oglądał film z pogrzebu. Tego dnia nawet pogoda była odpowiednia, padał deszcz. Ludzie podchodzili i mamrotali jakieś banalne słowa pocieszenia; Tom miał

uczucie, że na sznurze nadal wisi człowiek, że nadal walczy, kopie i wrzeszczy.

- W jaki sposób umarła twoja żona?

- Spadło na nią drzewo.

- Dość nietypowy rodzaj śmierci.

- Jechała samochodem podczas wichury. To raczej nic dziwnego jesienią w Anglii. Wiatr powalił wiele drzew. Wracała z kościoła i jedno z nich wylądowało na jej samochodzie.

- Była sama?

- Tak.

- Cholerny pech.

- Jak to pech?

- Więc dlaczego tak paskudnie się z tym czujesz?

Tom uniósł wzrok.

- Wiesz, to niej jest dla mnie łatwe.

- Wiem, *koanie*. Dla mnie też nie. Takie rzeczy nigdy nie są łatwe.

Tom zanurzył się w ciszy. Jeśli czekał, że Tobie go z niej wyciągnie, rozczarował się. Minęło może pięć minut, każda sekunda ciągnęła się jak kosmiczna próżnia. Wreszcie spojrzał na Tobie i zobaczył, że nie spuszcza z niego cierpliwych, łagodnych, szarozielonych oczu.

- Co?

- Właśnie miałeś mi powiedzieć, dlaczego czujesz się z tym paskudnie.

Drzwi się otworzyły, weszła Christina i nie pytając o pozwolenie usiadła na trzecim krześle. Tom popatrzył na Tobie.

- *Koanie*, stosujemy tu coś w rodzaju systemu otwartego. Każdy pomaga każdemu. To znaczy, że nikt nie jest pacjentem i nikt nie jest lekarzem. Christina i wszystkie przebywające tutaj kobiety mają doświadczenia i przemyślenia, które mogą być pomocne.

Christina gapiała się martwo w przestrzeń. Jeśli Tobie sugerowała, że mogłaby pełnić funkcję terapeutki, Tom zaczął się zastanawiać, co tutaj robi i jak głęboko się pogrążył.

- Wystarczająco głęboko - powiedziała Christina.

- Co? - powiedział Tom.

- Słyszałeś.

- Słyszałem, ale...

- Ożesz, kurwa.

- Nie bądź agresywna - uspokoiła ją Tobie.

- To on jest agresywny - odparła Christina.

- Ale ja nie...

Christina zignorowała go i zwróciła się do Tobie.

- Staram się być wdzięczna, Tobie, naprawdę. Ale tylko go posłuchaj. Jak mam być wdzięczna? On praktycznie ma umysł na wierzchu. Pieprzę to, jeśli on tak ma się zachowywać, to ja wychodzę.

Gwałtownie wstała przewróciwszy krzesło i wyszła z pokoju.

Z hukiem zamknęła za sobą drzwi. Tom znów spojrzął na Tobie. Spokojnie poprawiała sobie włosy.

- Właśnie miałeś mi powiedzieć, dlaczego czujesz się z tym paskudnie - powiedziała.

Dziwne. Powtórzyła te słowa dokładnie takim samym tonem, którego użyła zanim przeszkodziła im Christina. Tom popatrzył na krzesło. Stało normalnie, chociaż nie widział, aby Tobie je podnosiła.

- Tom, wyglądasz na rozbitego.

- O czym ona mówiła?

- Kto, *koanie*?

- Christina. Co miała na myśli mówiąc o wdzięczności?

- *Koanie*, nie nadążam. Co ma do tego Christina?

- Weszła i... - Tobie patrzyła na niego z całkowitym brakiem zrozumienia - i przewróciła krzesło.

- Ależ *koanie*, nikt tutaj nie wchodził. Ani Christina, ani nikt.

Tom spojrział na nią twardo, podejrzewając jakiś podstęp.

- Zaczekaj.

Wstał, wyszedł z pokoju i przemknął korytarzem do kuchni. Christina nadal siedziała przy stole, gapiąc się przed siebie. Przed nią stała nietknięta szklanka wody.

- Czy byłeś przed chwilą w tamtym pokoju? Odpowiedz mi!

Christina nawet nie drgnęła. Tom agresywnie przysunął do niej twarz. Nawet nie mrugnęła. Uniosła wargi odsłaniając zęby w grymasie między warknięciem a uśmiechem. Tom wrócił do pokoju.

- Teraz wyglądasz na zdenerwowanego - powiedziała Tobie. - Powiedz, co cię zdenerwowało.

- Do diabła! Widziałem - albo tak mi się wydawało - że dołączyła do nas Christina. Siedziała na tym krześle. Powiedziała do ciebie coś o wdzięczności.

- Coś takiego?

Tobie wskazała na odręczny napis na ścianie.

*Bądź wdzięczny wszystkim, których tu spotykasz
za to, że dają ci szansę pracy nad sobą.*

Tom westchnął.

- Więc poznałeś Christinę, tak? Sharon świetnie sobie z nią radzi. Coś ci o niej powiem: jest jak radiostacja, wylapuje wszystko z powietrza. Ale spróbuj ją nastroić! Nigdy nie wiadomo, co złapiesz. Zakłócenia, pirackie stacje, czy komunikaty policyjne. Nieważne, co robimy, nie jest w stanie utrzymać określonej długości fali. Nie, Tom, nie było jej w tym pokoju. Ale ktoś to zrobił. I chyba wiemy, kto to był, prawda, *koanie*?

- Tak?

- Tak. O tak, oboje wiemy, kto to był. Zgadza się?

- Wracala do domu z kościoła. Była niedziela.

- Była religijna? - spytała Tobie.

- Pomijając okres kilku miesięcy przed śmiercią, nie, ani trochę. To raczej ja miałem jakąś szczątkową wiarę. Na początku ją to denerwowało. I ją, i Sharon. W sumie, jeszcze w college'u, to właśnie Sharon odciągnęła mnie od religii.

- Wierzę. Ale mówimy o Katie, nie o Sharon.

Tobie nie pozwoliła mu odejść od tematu.

- Tego ranka wiał niesamowicie silny wiatr.

Tom zapamiętał kolor nieba, wyglądało jak rozżarzona stal obrabiana młotem. Przypomniawszy sobie czubki jesiennych drzew chwiejące się szaleńczo, kiedy szła do samochodu. Jeszcze raz poprosiła, aby z nią pojechał. Wtedy to był już rytuał. Każdej niedzieli pytała, a on odmawiał. „Idziesz?”. „Nie.” Ale tego ranka jej pytanie miało specjalny ton, nowe znaczenie. Dźwięczało jak dzwon. Nakładała makijaż z pośpiechem, jakby chciała ukryć coś, co popękało pod spodem.

Potem samochód nie chciał zapalić. Pamiętał, jak stał za drzwiami i czuł się jak tonący. Silnik rzeził głucho na podwórku, znowu i znowu. Podczas nocnego deszczu zamokły przewody. Bał się, że Katie zmieni zdanie i zostanie w domu. Wreszcie założył buty i wyszedł, aby jej pomóc. Otworzył maskę i osuszył styki, zanim znów spróbował uruchomić samochód, mamrocząc pod nosem „Zapał, cholera, po prostu zapał”.

Wreszcie motor zakrzuszył się i wrócił do życia. Nacisnął gaz, z rury wydechowej buchnął ciemny dym i uleciał z wiatrem. Bez słowa usiadła za kierownicą. Nie pocałowali się. Nawet nie spojrzeli sobie w oczy. Odjechała. Wtedy Tom po raz ostatni widział ją żywą.

- Nie chciałeś jechać z nią? - spytała Tobie.

- I tak bym nie pojechał.

- I tak? Co masz na myśli?

- Musiałem... Tego ranka miałem spotkanie. Musiałem się z kimś zobaczyć, ale nawet gdybym nie musiał, to i tak nie pojechałbym z nią.

Do kościoła, który upodobała sobie Katie, było jakieś dwanaście mil. Oczywiście bliżej domu były też inne kościoły, ale ten był średniowieczną budowlą z piaskowca, częściowo saksońską, częściowo normańską. Odkryli ją podczas spacerów. Katie zakochała się w pochylonej dzwonnicy, dziwacznych napisach na siedemnastowiecznych nagrobkach, w rozmytych deszczem gargulcach i płaskorzeźbach drzemiących pod warstwami politory; w popękanej kamiennej chrzcielnicy i zapachu więdnących kwiatów; w fajerkach witraży; i w ciężarze wypowiedzianych przez wieki modlitw wżartych w kamienne mury.

Postrzegając świątynię jako największy skarb, który zachował się tylko dlatego, że szalejący ikonoklaści nie zdołali się do niej dostać, albo byli zbyt zmęczeni własnym wandalizmem. W niszy we wschodniej ścianie stał posąg Marii, świętej patronki. Osłonięta przed wiatrami historii nie była to Maryja Dziewica, nie Matka Boska, ale Czarna Madonna, mroczna, erotyczna Maria - kobieta. Miała rozpuszczone włosy, odziana była w powiewną szatę, a w wyciągniętej ręce trzymała flakon z balsamem. Spoglądała na południowy wschód, podobno dokładnie w stronę Jerozolimy.

Magdalena patrząca z wieży.

- O czymś pomyślałem - powiedział Tom do Tobie. - Wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Kościół, do którego zaczęła chodzić, to był kościół Marii Magdaleny.

- Czy to ma znaczenie?

- Nie. Tak. Boże, nie wiem.

- Wygląda na to, że może mieć.

- Skoro tak mówisz.

- Spróbujmy z innej strony. Z kim miałeś się zobaczyć tego ranka, w dniu jej śmierci?

- Z nikim. To nie jest ważne.

Tobie popatrzyła na zegarek.

- Tom, musimy na tym zakończyć. Pozmywasz, prawda? A jutro może mi powiesz, z kim się umówiłeś w dniu śmierci swojej żony.

W kuchni nikogo nie było. Ulżyło mu, że Christina sobie poszła. Starannie umył i wytarł filiżanki, a ponieważ poprzednio Tobie go za to skarciła, schował je do szafki. Wychodząc z budynku natknął się na Christinę siedzącą na zalanych słońcem schodach.

- Hej, ty - zawołała.

Przystanął na stopniu obok. Spojrzała na niego, mrużąc oczy od słońca.

- Katie przesyła pozdrowienia.

W niektórych częściach tunelu woda sięgała Sharon do połowy ud. Miała na sobie szorty i plastikowe sandały. Strumień światła z latarki załamywał się na powierzchni wody i tworzył złudzenie dymu. Przesunęła światłem po grubo ciosanych w skale ścianach i sklepieniu tuż nad głową. Nierówny, brązowy kamień błyszczał słabo.

Usłyszała za sobą plusk. Ahmed potknął się i oparł o mur. Nie odezwał się i kolejnych dwieście jardów pokonali w milczeniu.

- Jak to się stało, że nigdy wcześniej tutaj nie byłaś? - chciał wiedzieć Ahmed.

- Niezupełnie w ten sposób rozumiem rozrywkę.

Tunel Ezechiasza zbudowano, aby podczas oblężenia sprowadzać do miasta wodę z ukrytego źródła. Ahmed zgodził się porozmawiać z Sharon o *djinnach* tylko pod warunkiem, że zrobią to tutaj.

Tego wieczora Sharon wyszła z pracy, pocałowała Toma, zanim poszedł na kolejną ze swoich trudnych sesji z Tobie i pod wpływem impulsu nie pojechała prosto do domu, ale do Ahmeda. Jak zwykle, nie odezwał się aż do czwartego dzwonka. Ogolił głowę. Nie skomentowała tego w żaden sposób. Robił to od czasu do czasu twierdząc, że *djinni* wieszają się na włosach i że właśnie dlatego mnisi, zakonnice i inni święci przyjmując śluby ścinają włosy. Zauważyła jednak, że był nieco spięty.

- Od tygodnia nie paliłem haszyszu. Żadnego alkoholu, nic. Odstawiłem nawet tytoń.

- Dobrze ci to zrobi. I utrzyma *djinny* z daleka.

Jego gorzki śmiech przypominał raczej kaszel.

- Nie masz o tym pojęcia. Bez tego *djinnów* jest znacznie więcej. Nie wiesz nic.

- Ahmed, wydaje mi się, że zostałam zaatakowana przez *djinna*.

- Wiem - odparł poważnie. - Spodziewałem się, że mi to powiesz.

Ahmed o *djinnach* mówił na dwa sposoby. Jeden był formą żartu, jakby jego stałe związki z demonami i duchami były świetnym tematem rozmów, jakby sam wiedział, że to nonsens, ale mimo to podejmował tę grę. Drugi sposób polegał na specyficznej modulacji głosu, stawał się bardziej miękki i niższy, a rozmówcy zaczynali się zastanawiać, czy czasem się z nich nie nabija.

- Widziałem to.

- Coś się dzieje. Nie rozumiem tego. Wiem, że ma to związek z moimi uczuciami do Toma.

- Wciąż sypiasz z tym cholernym Angolem, a mogłabyś mieć mnie! - krzyknął gniewnie. - Popatrz na siebie. To obrzydliwe! Jesteś w nim zakochana!

- Może.

- Uważaj z miłością. To najgorszy ze wszystkich *djinnów*.

- Ahmed, bądź poważny. Chcę z tobą porozmawiać.

- Jestem poważny. Ale nie lubię rozmawiać o *djinnach*. To najpewniejszy sposób, aby je zwabić.

- Ahmed, co ty mu naopowiadałeś? Czym nabiłeś mu głowę? Cokolwiek to jest, przeniosło się na mnie.

- A więc zaczęłaś wierzyć w *djinny*. Czujesz, że są blisko. Chcesz, abym pomógł twojemu przyjacielowi, tak? Dobrze, może i pomogę, ale nie będziemy rozmawiać tutaj. Nie chcę, aby mi się tu rozmnożyły. Rusz się, idziemy na spacer.

- Możemy przejść po murze? Uwielbiam chodzić po murze.

Bez towarzystwa nie czuła się tam bezpiecznie.

- Oszalałaś? Ten mur pęka od *djinnów*. To ich najbardziej ulubiony punkt w całym mieście. Niektóre z nich udają nawet izraelskich żołnierzy. Nie, tutaj jest tylko jedno miejsce, w którym możemy bezpiecznie o nich porozmawiać.

- Co to za miejsce?

Ahmed ścisnął ją za ramię. Głos mu się uspokoił. Z ogoloną głową i błyszczącymi oczami wyglądał jak szaleniec.

- Pokażę ci, jak przywołać *djinna*. Nigdy więcej tego nie zobaczysz. Wierz mi, po prostu nie będziesz chciała.

Sharon była zirytowana, ale nie miała siły spierać się z Ahmedem. Najpierw pojechali do niej po jakieś odpowiednie ubranie, a potem zeszli do tunelu, gdzie Ahmed najwyraźniej był znany. Dozorca przywitał go i zapewnił, że ostatni turyści wyszli już jakiś czas temu. Miał właśnie zamykać, więc mieli gwarancję, że nikt za

nimi nie wejdzie i będą w tunelu sami. Sharon zastanawiała się, ile czasu spędził tam Ahmed.

Tunel, według jego słów, był dość długi. Weszli do niego z chlupotem, poziom wody był raz wyższy, raz niższy, przejście albo się zwężało, albo poszerzało, od czasu do czasu sklepienie było tak niskie, że musieli się schylać. Światło latarek przesuwano się po wilgotnych ścianach. Sharon zatrzymała się, kiedy zobaczyła światło nad głową.

- Co się stało? - wyszeptał Ahmed.

Wskazała na małe, poruszające się światełko. Ahmed minął ją, ruszyła za nim. Potem znów zauważyła światło i zamarła.

- Ktoś tu jest - wysyczała.

Ahmed odwrócił się spokojnie.

- Nie bądź kretynką. To odbicie twojej własnej latarki.

Pokonali mniej więcej połowę drogi. Ahmed pokazał jej punkt, w którym przed wiekami spotkali się starożytni inżynierowie kopiący tunel z przeciwnych kierunków.

- To najbezpieczniejsze miejsce w całym mieście. Tutaj można wezwać *djinna* zachowując względne bezpieczeństwo. Powiedziałem „względne”. Daj mi swoją latarkę.

Wyłączył obie i otoczyła ich nieprzenikniona ciemność. W tunelu było zimno. Słyszeli tylko pluskanie wody uderzającej o ściany, poza tym było tu cicho jak w grobie.

Ahmed odezwał się gdzieś z ciemności. Słyszała, jak brodzi w niewidocznej wodzie. Powoli krążył wokół niej.

- To jest najstarsza część miasta. Stara, jak dzieje Kanaanitów. Nawet starsza. Kiedyś była tutaj osada. Długo, długo potem przybył tu Dawid i nadał miastu swoje imię. Zostało zbudowane...

- Dlaczego mnie okrążasz? Straszysz mnie...

- ZAMKNIJ SIĘ DZIWKO! ZAMKNIJ SIĘ! Nic nie mów!
Teraz muszę zaczynać od początku!

Sharon była zaszokowana jego nagłym wybuchem. Zwątpiła w sens wycieczki do tunelu. Zawsze dogadywała się z Ahmedem, choć innych przerażał. Do tej chwili wierzyła, że nigdy nie skrzywdziłby jej; teraz jednak wyczuwała, że targa nim jakiś nowy kryzys. W końcu widziała zwiastuny: ogoloną głowę, nagłe odstawienie prochów, wybuchowość.

- To jest najstarsza część miasta - powiedział znów, okrążając ją, delikatnie burząc wodę, powtarzając swoje słowa w identycznym porządku jak poprzednio. Słyszała jego cichy oddech i pluskanie wody w miarę jak się poruszał.

- Zbudowano je wokół źródła, źródła Gihon, ponieważ ówcześni ludzie rozpoznali to miejsce. To był, i jest nadal, pępek ziemi, jej pierwotna moc. Jak ziarno połączone z pamięcią rośliny, która je wydała, tak i to miejsce połączone jest z pamięcią jego początków. Hindusi nazywają je *chakra*. Aborygeni *jiva*. Jerozolima zbudowana jest nad takim punktem. Moi ziomkowie powiadają, że skała pod Złotą Kopułą jest gigantycznym korkiem powstrzymującym tkwiącą tam energię przed wybuchem i zalaniem ziemi.

Ahmed zataczał coraz mniejsze kółka. Czują na karku jego oddech. Chciała mu powiedzieć, że ją przeraża, ale bała się odezwać.

- Ale korek jest nieszczelny. Z tego miejsca unoszą się opary. To miasto jest jak ogromny umysł zawieszony nad otchłanią, zatruty oparami własnych snów.

Ahmed powoli zaczął się wycofywać w ciemność. Jego głos cichł, zanikał, zmieniał się w miękki szept.

- Jest odurzony i pogrążony w sennych majakach. Tutaj *djinny* budzą się do życia. Sen powołuje je do istnienia. Tutaj powstają.

Zniknął.

Sharon znalazła się sama w atramentowej ciemności. Nasłuchiwała jego oddechu, na próżno. Otaczała ją ciemność i cisza. Czekala na jakiś dźwięk, plusk wody zdradzający jego obecność, ale niczego nie usłyszała. Od ścian tunelu odbijał się tylko dźwięk jej własnego oddechu i bicia serca.

- Ahmed - spróbowała cicho.

Potem głośniej.

- Ahmed!

Sklepienie tunelu odpowiedziało echem jej własnego głosu.

- Nie waż się mnie zostawiać, gnojku!

W dodatku zabrał obie latarki. Przeszła w wodzie kilka jardów i zatrzymała się zdezorientowana. Z której strony tu weszli? Powiedział, że dotarli do połowy, ale czy mówił prawdę? Znów ruszyła przed siebie i wrzasnęła, kiedy wpadła na ścianę. Pomacała ją,

uczepiła się paznokciami, jakby bała się, że grawitacja przestanie działać.

Potem uświadomiła sobie, że w tunelu ktoś jest.

Usłyszała ciężki oddech i miała nieodparte wrażenie, że ze strachu zejdzie jej skóra z dłoni, jak rękawiczka. Próbowwała się odezwać, ale wydała z siebie tylko zduszony skrzek.

- Ahmed?

Odpowiedzi nie było. Ale ktoś stał w wodzie kilka stóp dalej. Poczowała czyjąś przytłaczającą, zimną, nieustępliwą obecność. Kolejna fala strachu przebiegła po jej skórze i ścisnęła za gardło. Wyczuła, że to coś rośnie, zbliża się. Rękami chwyciła się ściany.

Poczowała znajomy zapach, na powierzchni wody skrzyżowało się światło dwóch latarek. Z czarnego strumienia wody wynurzał się posąg i zmierzał w jej stronę. Był to średniowieczny posąg kobiety z rozpuszczonymi włosami, trzymającej w ręce wyrzeźbiony w szarym kamieniu flakon z jakąś zawartością. Sharon wyciągnęła rękę, aby dotknąć jej twarzy. Kamień był niewiarygodnie zimny, na jego szarej powierzchni skraplała się para.

Kiedy dotknęła wilgotnego, kamiennego policzka, ciepło jej dotyku sprawiło, że posąg zaczął się zmieniać. To nie był już kamień, tylko żywe ciało. Była to stara kobieta z odrzuconym, czarnym welonem. Pokryta tatuażami Magdalena stała w wodzie z wyciągniętą ręką, w której nie trzymała flakonu, tylko martwego, białego ptaka.

Sharon oparła się plecami o ścianę, z jej ust wydobył się zduszony szloch. Ale obraz Magdaleny rósł przed nią i wynurzał się coraz bardziej, drżał, aż wreszcie zmienił się znowu.

- Christina! - odetchnęła Sharon, widząc swoją klientkę z centrum odwykowego.

Christina ubrana w jeansy i koszulkę, stała w wodzie i uśmiechała się nieziemskim, szalonym uśmiechem. Zdawała się nie słyszeć Sharon. Znowu się zmieniała. Oczom Sharon ukazała się Katie.

Trzymała dłonie przy ustach, robiąc z nich tubę. Twarz miała wykrzywioną gniewem i wydawało się, że krzyczy coś, próbuje przebić się przez czas, ale z jej ust nie wydostał się żaden dźwięk. Sharon przyłożyła dłoń do ściśniętego gardła.

- Co? Katie, co mówisz? - wyszeptała.

Ale Katie, udręczona własną niemocą, wciąż krzyczała bezgłośnie z otchłani.

Zjawa zafalowała i miejsce Katie zajął kolejny kamienny posąg. Tym razem wyglądał jak kanańska bogini wyrzeźbiona w żółtym kamieniu. Sharon nie zdążyła się jej przyjrzeć, posąg zaraz zmienił się w ohydną, nieludzką postać, ni to w gada, ni to w owada, wyglądał jak pierwotne morskie stworzenie o błyszczącym pancerzu, wyciągające ku niej drżące konwulsyjnie macki. Kiedy zmienił się po raz ostatni, Sharon ujrzała samą siebie z ustami otwartymi w niemym szlochu.

Stała jak sparaliżowana, nie mogła nawet krzyknąć. Nagle pojawił się przy niej Ahmed i próbował ją uspokoić. Nie rozumiała, co do niej mówił. Kiedy prowadził ją do wyjścia, rozglądała się w

panice dookoła szukając ohydneho ducha, który sięgnął po nią z oślizgłej ciemności.

Kiedy dotarli do końca tunelu usiadła, wyczerpana tak bardzo, że nawet nie była w stanie płakać. Widziała swoje odbicie w sadzawce. Ahmed usiadł obok, głaszcząc jej ramię.

- Co to było? - powiedziała wreszcie.

- Oczywiście *djinn*.

- Właśnie tak wygląda?

- Nie wiem, jaką postać przybrał dla ciebie. Dla każdego jest inny.

- Czy naprawdę wygląda tak, jak ostatnia postać, którą widziałam?

- Nie potrafię ci odpowiedzieć. To ty nadajesz mu formę. Wszystkie formy. Wyłącznie ty.

- Jeśli można sprawić, aby się pojawił, to czy można też sprawić, aby odszedł?

- Nie jestem w stanie tego zrobić. Jestem zbyt zakochany w moim *djinnie*.

Spojrzała mu w oczy. Nie umiała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy był kompletnie stuknięty, czy może niezwykle mądry. Potem popatrzyła na własne odbicie w spokojnej wodzie.

Z kim miał się wtedy spotkać? W dniu, w którym umarła Katie, w dniu, w którym przygniotło ją wyrwane z ziemi drzewo, miotane wiatrem i przekłete. Obwiniął się o jej śmierć. Doprowadziła do niej jego bezwolność. Więc poniesie karę.

Z kim umówił się tamtego dnia? Pytanie Tobie dźwięczało uporczywie w jego głowie, kiedy wieczorem wracał do mieszkania Sharon. Gdyby nie zadała go ta stara, żydowska, pewna siebie gorgona²⁴, może odpowiedziałby na nie. Ona wiedziała instynktownie, domyśliła się niemal natychmiast. Wiedziała, gdzie uderzyć. Ta pękata *wiedźma* o niebieskich włosach i dużych piersiach *wiedziła* i nie ukrywała tego.

Nie chodziło o jej samozadowolenie i złośliwą satysfakcję. Zastanawiał się, dlaczego uległ prośbom Sharon. I co to w ogóle było za miejsce? Na jaką terapię mogły liczyć mieszkanki centrum? Na czczą gadaninę, przelewanie z pustego w próżne i możliwość wypruwania flaków podczas tak zwanej sesji? I ta wariatka Christina. Niby dlaczego miałyby ją tolerować? Dlaczego miałyby w ogóle siedzieć w tym samym pomieszczeniu z kimś takim? Tylko dlatego, że ta bezczelna żydowska mamuśka miała odważny, rewolucyjny pomysł, żeby wszyscy razem prali swoje brudy?

²⁴ Gorgony: w mitologii greckiej trzy córki Forkysa i Kleto. Spojrzenie gorgon obracało w kamień, to na co patrzyły.

Był wściekły. Przemierzał rozgrzane ulice z zaciśniętymi pięściami. Dwaj młodzi, brodaci chasydzi usłyszeli, jak mówił do siebie. Popatrzyli na niego dziwnie, kiedy przechodził. Odwzajemnił spojrzenie.

Nie powie jej. Nie może. Po pierwsze, Tobie natychmiast powie Sharon. Żadna z nich nie zrozumie. Są kobietami. Nie potrafiłyby zrozumieć, z czym musiał się zmagać. Ich reakcje były łatwe do przewidzenia.

Co kobiety mogły o tym wiedzieć? Kto dał im moralne prawo do osądzania mężczyzn? Cóż mogły wiedzieć o mrocznej głębi ich żądz? A jednak wiedziały! Przynajmniej na pewnym poziomie, nieświadomie i intuicyjnie od najmłodszych lat wiedziały, jak wywołać pożądanie. Dziewczęta po raz pierwszy przekraczające próg szkoły już to wiedziały. Kryły tę wiedzę za dziewiczym rumieńcem. Okres nauki w gimnazjum zbiegał się w czasie z okresem ich dojrzewania. Przez dwa pierwsze lata uczyły się kontrolowania i sterowania tą szczególną siłą. Trzeciego roku rozkoszowały się władzą, jaką daje, a potem nauka korzystania z niej była właściwie zakończona. Zakończona i testowana na biednych, pryszczatych rówieśnikach, opóźnionych w dojrzewaniu, ale targanych taką burzą hormonów, że miewali halucynacje jak po alkoholu. W klasach unosiły się różowe chmury feromonów, a w powietrzu krzyżowały się sprzeczne sygnały. W jaki sposób ci biedni, niemądrzy smarkacze mieli skupić się na nauce?

Wiedziały o tym czwartoklasistki takie jak Kelly McGovern, w wyprasowanych białych bluzkach z krwawiącą różą, w prowokacyjnych spódniczkach, z nogami drżącymi na zbyt wysokich obcasach. Choć taka manipulacja wydawała się niemożliwa w wykonaniu tak młodej osoby, Kelly wiedziała, jak stanąć o cal za blisko, kiedy poprawiał jej ćwiczenia; jak odpiąć dwa górne guziki bluzki, żeby widział białe piersi drżące jak gołębica w sieci; i jak z nieśmiałym uśmiechem, spod spuszczonej rzęs spoglądać uwodzicielsko i sugerować, że dostrzega, jak ze sobą walczy...

Z takiego właśnie powodu sięgnął dna Mike Sands. Plotki o romansie nauczyciela z piątoklasistką okazały się prawdziwe. Niedowierzenie personelu szybko zmieniło się w otwartą wrogość i w ciągu tygodnia popularny, lubiany kolega został zdegradowany do rangi pogardzanego pariasa. Nauczycielki traktowały skandal osobiście, mówiły o nim z goryczą, jak gdyby to one były napastowane; nauczyciele słabość kolegi uznali za obrazę, ale niewybredne dowcipy zdradzały skrywaną zazdrość.

- Biedny facet - powiedziała Katie, kiedy Tom jej o tym opowiedział.

Biedny facet? Bardzo różnie go określano, ale tylko Katie wyraziła współczucie.

- Biedny facet? To śmieć - odparł Tom. - Wykorzystał swoją pozycję. Miał przewagę. Zasłużył sobie na wszystko, co go spotyka.

Sam słyszał, jak jego głos twardnieje.

- Powinien tylko zostawić ją w spokoju - stwierdziła Katie. - To wszystko. Ale nie mógł. I upadł.

Katie często zaskakiwała go swoimi opiniami.

- To seks, prawda? Nie radzimy sobie z nim. Dlatego nasze religie tak bardzo go nienawidzą. Mają nas ocalić przed nami samymi. Jeśli nie będziemy mieć żadnych pewników, nie będziemy mogli sobie ufać.

- To bitwa - zgodził się z nią.

- Tak?

- O, tak.

Chciał to powiedzieć ironicznie, ale w jego głosie pobrzmiwała powaga.

Mike Sands złożył rezygnację zanim go zwolniono. Tom nie wiedział, co się z nim działo, czy nadal pracował gdzieś jako nauczyciel? Odszedł, ale jego nazwisko straszło jeszcze długo. Minał kolejny semestr, któregoś dnia Tom jak zwykle przyjechał do szkoły i wtedy zobaczył na tablicy ten napis.

Nie ogłaszał żadnej prawdy. Zawierał stek wyssanych z palca bzdur. Tom wszystko wyjaśnił, znalazł chłopca, który to zrobił i odniósł się ze zrozumieniem do jego obsesyjnej zazdrości o Kelly McGovern. Wyjaśnił mu, że dziewczyna jest zadurzona w nauczycielu, co jest zupełnie normalne w jej wieku. Był miły, dał mu ostrzeżenie i nie wyciągnął konsekwencji.

Ale teraz nie mógł się powstrzymać, aby nie patrzeć na Kelly w nowy sposób. Prawie dosłownie roztaczała wokół siebie złociste

światło, wyczuwał jakąś aurę, niesamowitą żywotność. Jej zainteresowanie nim zaczęło go rozpraszać, wręcz martwić. Kiedy guzdrała się na koniec lekcji, zawsze ostatnia, nie mógł nie zauważyć, jak torba zwisająca z ramienia podciąga brzeg spódniczki, ukazując gładkie udo. A kiedy zamykał za nią drzwi zawsze się odwracała i łapała jego spojrzenie.

Jezu, pomyślał, ona ma piętnaście lat, i tak na mnie działa.

Któregoś dnia po nudnej lekcji religii porównawczej, Kelly podeszła do niego z pytaniem.

- Dlaczego nie przerabiamy Pieśni nad Pieśniami?

Inni uczniowie wychodzili z klasy. Nie miał pojęcia, co jej odpowiedzieć.

- Słucham?

- Przerabiamy cały ten hinduizm, islam i buddyzm. Dlaczego nie możemy zająć się Pieśnią nad Pieśniami?

- Kelly, to nie jest religia. To księga Starego Testamentu. Pieśń weselna.

Udawał, że szuka czegoś w szufladach biurka, żeby nie patrzeć jej w oczy.

- Wiem. Chłopak mojej siostry jest w college'u; powiedział, że to jest zbyt trudne dla nauczycieli w gimnazjum.

- Doprawdy?

Spojrzał na nią. Odgarnęła miedziane włosy i zwilżyła językiem różowe wargi. Zrobiła to całkowicie nieświadomie. Mdłe światło elektryczne zabarwiło żółtawo jej twarz i usta.

- Zaczekaj - powiedział, pospiesznie podrywając się z krzesła. - Przyniosę ci egzemplarz, weź go do domu i przeczytaj.

Klucze drżały mu w ręce, kiedy otwierał schowek na tyłach klasy. Chciał tylko dać Kelly kopię Pieśni i pozbyć się jej. Nie mógł znieść jej obecności. Nie mógł jej znieść.

W schowku poczuł się bezpiecznie, choć przez cały czas miał świadomość, że ona jest tuż za drzwiami. Zapalił światło i przebiegł wzrokiem po rzędach starych podręczników. Szukał czegoś z dużą czcionką i suchym komentarzem, najlepiej w chłodnym, współczesnym języku naukowym, czegoś odpowiedniego dla piętnastoletniej syreny zadurzonej w nauczycielu.

Sięgał właśnie na półkę, kiedy drzwi się otworzyły i weszła do środka. Delikatnie i powoli zamknęła je za sobą. Stała odwrócona do niego plecami, trzymając klamkę.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał z ręką na półce. Puściła klamkę i odwróciła się. Nogi skrzyżowała w kostkach i lekko złączyła dłonie na udach. Patrzyła w ziemię.

- To nie jest dobry pomysł, żebyś tu wchodziła - powiedział, z jakiegoś powodu szeptem.

- Dlaczego?

- Bo to nie wygląda dobrze.

- Dlaczego nie?

- Kelly, proszę, idź już.

- Nie wydaje mi się, żeby pan tego chciał. Myślę, że mnie pan lubi.

- Tak. Ale byłoby lepiej, gdybyś wyszła. Naprawdę.

Wiedział, że powiedział za dużo. Równie dobrze mógłby przyznać się do wszystkiego. Musiał tylko powiedzieć „wyjdź stąd”, ale nie zrobił tego. Stał jak sparaliżowany. Emanowała napięciem seksualnym, zarażała go, przenosiła je na niego. Opuścił ręce i zacisnął pięści. W maleńkim schowku czuł w powietrzu jej oddech. Prawie czuł jego smak, słodki jak pożądanie i kwaśny jak strach.

Wiedział, że nauczyciele snują fantazje związane z klasowymi schowkami. Większość z nich zapewne zaprzeczyłaby; a bardzo nieliczni stanęli w obliczu takiej sytuacji. Kelly stała naprzeciwko Toma, który opierał się o półki pełne szkolnych Biblii, z trudem przetykał ślinę i próbował uspokoić łomoczące serce. Jego wzrok opadł na delikatne wzniesienie jej piersi pod krwawiącą różą. Miała krótki oddech i uświadomił sobie, że boi się tak samo, jak on. Zrozumiał, że oboje stracili kontrolę nad sytuacją. Wtedy, po raz pierwszy od momentu wejścia do schowka, spojrzała mu w oczy. Gdyby tego nie zrobiła, gdyby nadal patrzyła w podłogę, magia mogłaby zniknąć i mogliby ocaleć oboje; ale podniosła wzrok, w jej oczach migotały złote iskierki. Tom nie pamiętał, jak i kiedy jego ręce objęły ją w talii, a język smakował jej usta. Całowali się długo, aż odprężyla się w jego ramionach.

- Nie, to bez sensu - powiedział. - Nie Kocham cię.

- W porządku.

- Nie, to wcale nie jest w porządku. Nic nie jest w porządku.

Czuł się tak, jakby próbował zatrzymać pociąg machając chusteczką z wiaduktu. Kelly była całkowicie bierna i nie spuszczała z niego oczu. Patrzyła, jak rozpina jej spódniczkę i zdejmuje ją. Wciągnęła powietrze, kiedy zahaczył kciukami o brzeg majtek i zsunął je do kostek.

Usłyszeli, że drzwi do klasy otwierają się. Zamarli. Wpatrywała się w niego bez jednego mrugnienia. Ktoś wszedł, otworzył szufladę biurka i potem ją zamknął. Kroki oddaliły się, drzwi klasy znów się otworzyły i zamknęły.

- Zaczekaj - powiedział.

Klucze od schowku wciąż tkwiły w zamku, z drugiej strony. Wyciągnął je i zamknął drzwi od wewnątrz. Ze starego fotela zgarnął stertę zeszytów. Popchnął ją na fotel, zdjął jej buty i wyplątał z majtek i rajstop. Mocowała się z jego spodniami. Poprowadził jej rękę do swojego członka. Trzymała go lekko, czule.

Był oszołomiony jej pizmowym zapachem, czuł jej pożądanie. Docierało do niego jak czysty, jasny dźwięk dzwonu. Z daleka słyszał głos: *Zamknięty jest mój ogród, mój luby! Źródło wyschło, fontanna zamarła.*

Zadrzała, kiedy wsunął w nią palec. Był zaskoczony tym, jaka była wilgotna i podejrzewał, że nie jest dziewicą.

- Boże. Boże.

- W porządku - powiedziała. - Już to wcześniej robiłam. Wszystko w porządku.

Jezu, uspokajała go! Znów ją pocałował, a potem rozpiął jej bluzkę, całował dziewczęce, białe piersi uwolnione z niepotrzebnego stanika. Całował jej brzuch. Bardzo chciał wsunąć w nią język, ale bał się, nie chciał jej przestraszyć ani zrobić czegoś, co mogłoby ją zniechęcić.

Powstań, wietrze północny, nadleć, wietrze z południa, wiej poprzez ogród mój, niech popłyną jego wonności! Niech wejdzie miły mój do swego ogrodu i spożywa jego najlepsze owoce!

Zamiast tego zwilżył palec, znów go w nią włożył, a ona wyprężyła się z rozkoszy. Z fascynacją patrzyła na to, co z nią robił. Usta miała rozchylone. Spazmatycznie łąpała powietrze, kiedy ją pieścił.

Ukochany mój przez otwór drzwi włożył rękę swą, a serce me zadrżało z jego powodu. Wstałam, aby otworzyć miłemu memu, a z rąk mych kapłała mirra, z palców mych mirra drogocenna - na wgłębienia zamka.

Zacisnęła mocniej palce obejmujące jego członek i pociągnęła go ku sobie. Mocniej rozsunął jej uda, rękę podłożył pod jej pośladki, zanim w nią wszedł. Jęczała i kwiliła, gryzła jego palce, w końcu musiał zakryć jej usta ręką.

- Przestań - powiedział. - Nie rób hałasu.

- W porządku. Już nie będę.

Kochał się z nią łagodnie i agresywnie na zmianę; chciał, aby to było dla niej dobre doświadczenie. Chciał wyjść z niej przed

wytryskiem, ale była tak ciasna i gorąca w środku, że nie zdołał się opanować.

Kiedy skończył, ubrał się pospiesznie, przepelnięty poczuciem winy. Ona zrobiła to samo. Potem otworzył drzwi i sprawdził, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Posłuchaj - powiedział, kiedy wyszli ze schowka. - Posłuchaj...

- W porządku - powiedziała. - Nic nikomu nie powiem. Teraz, kiedy wiem, nie powiem nikomu.

Wzięła swoją torbę i zarzuciła ją na ramię. Tym razem spódnica nie podjechała w górę. Uśmiechała się, ale nie spojrzała na niego. Patrzył, jak idzie korytarzem, przechodzi przez boisko, jak każda uczennica wracająca po lekcjach do domu.

Jak mógłby opowiedzieć o tym Tobie czy Sharon? Co kobiety mogły o tym wiedzieć? Ich potrzeby były dla mężczyzn całkowitą zagadką. I skąd miałyby wiedzieć? Nigdy nie czuły takiego wichru namiętności, nigdy nie trzymały rąk w takim ogniu. Skąd miałyby wiedzieć, jak to jest być mężczyzną i czuć dłoń Natury zaciskającą się na genitaliach? Co one o tym wiedziały? Nigdy nie rozumieją, że męska seksualność jest poza wszelką kontrolą.

Czuł wściekłość patriarchów Starego Testamentu skierowaną przeciwko kobietom za ich władzę nad seksem, za dawanie i odbieranie, kuszenie i zwodzenie, za manipulowanie, upokarzanie, za hańbę i potępienie.

- Więcej nie spotkam się z Tobie - oświadczył Tom po powrocie do mieszkania Sharon. - Nie chcę mieć z nią więcej do czynienia.

- Chyba jest zły - powiedziała Sharon.

- Zazwyczaj mówił dzień dobry - stwierdził Ahmed, rozpierając się w ulubionym fotelu Toma i sącząc Maccabee.

- Myślałem, że nie pijesz piwa.

Tom otworzył lodówkę, wziął sobie piwo, po czym opadł na sofę obok Sharon.

- Co ona ci zrobiła?

- Nic. Właśnie w tym rzecz. To strata czasu. Gadasz bez końca, w kółko to samo. I to miałoby mi pomóc? Jakoś nie pomaga. To ośrodek dla uzależnionych, zgadza się? Więc niektórzy z nich są uzależnieni od gadania.

- Masz rację - powiedział Ahmed machając butelką. - A ta baba jest najgorsza z nich wszystkich. Będzie próbowała obrać cię jak pomarańczę.

Tom spojrzał na niego spode łba.

- W każdym razie więcej tam nie idę.

- Cały czas to powtarzasz.

- Weź przykład ze mnie - powiedział Ahmed. - Trzymaj się z daleka. To miejsce jest jak poczekalnia dla *djinnów*. Sharon i Tobie wyciągają je z tych osób, które tam przychodzą, a potem *djinny* kręcą

się tam i czekają na kogoś takiego jak ty, Tom, żeby wskoczyć ci na plecy. Wierz mi, to nie jest zdrowe miejsce.

- Jesteś stuknięty - stwierdziła Sharon.

- Śmiejesz się ze mnie? Za mało dziś widziałaś? Za mało? Tom, ona myśli, że skoro pracuje, gdzie pracuje, to jest pod ochroną. Ale teraz zmieni zdanie.

- O czym on mówi?

- O niczym.

- Fajna fryzura, Ahmed - powiedział Tom.

- Czy on się ze mnie nabija? Tak? Poczekaj, któregoś dnia sam obetniesz sobie włosy w taki sposób.

Ahmed rzucił mu złe spojrzenie.

Sharon wyczuła zmianę nastroju. Zmieniła temat.

- Ahmed dużo pracował nad zwojem. Ma ci wiele do opowiedzenia. Przyniosę wam jeszcze po piwie.

- To trudna praca - głos Ahmeda był dziwnie zduszony. - Kiedy spirala słów zbliża się do środka zwoju, zapis jest coraz gęstszy, a litery mniejsze i trudniejsze do odszyfrowania. Ale wydaje mi się, że to ważne. Ostatnio powiedziałem wam, że po śmierci Jezusa na krzyżu, zawiązała się jakaś frakcja. Magdalena została odsunięta, kiedy brat Jezusa, Jakub, próbował stanąć na czele nowego ruchu. Nakłaniali Marię, aby przy grobie rozpoznała w Jakubie zmartwychwstałego Jezusa. Początkowo nie zgodziła się. Ale pojawiła się trzecia siła, opisana przez nią jako gończy pies Kajfasza. Był to faryzeusz, ktoś z policji religijnej. Maria opisuje go jako kogoś,

kto nienawidził kobiet, był oportunistą i kłamcą, który nawrócił się na chrześcijaństwo i zrobił kozła ofiarnego z Sicarii - Judasza Iskarioty - w odwecie za tę część planu, która się nie powiodła. Jakub i ten człowiek razem udali się do Damaszku. W drodze ów człowiek - Kłamca - został opętany przez *djinna* udającego, że jest duchem Jezusa. Od tej chwili Kłamca głosił, że przemawia na mocy władzy przekazanej mu przez Jezusa.

Chociaż Maria nie posługuje się jego imieniem, a inni nazywają go Kłamcą, albo Nienawidzącym Kobiet i tak dalej, jestem przekonany, że mowa tutaj o Saulu, początkowo jednym z prześladowców Jezusa, znanym później jako święty Paweł. Maria opisuje drugi konflikt wewnątrz ruchu. Kłamca, ponieważ nienawidził kobiet, próbował odrzucić te nauki Jezusa, które mu się nie podobały. Jakub i Maria zawarli tymczasowe porozumienie, aby pozbyć się Kłamcy z Jerozolimy. Udało im się, a on podążył na zachód. W Efezie go pobito, a na Kretę nie wpuszczono wiedząc, kim był. Wtedy udał się do Koryntu i Rzymu szukając nawróconych pośród pogan.

- Jeśli Kłamcą był Paweł... - powiedział Tom.

- To Kłamca odniósł sukces. Stał się wielkim Apostołem. Głową kościoła chrześcijańskiego. Jest nią po dziś dzień.

Połamali mu nogi. Połamali mu nogi.

- Ale jeżeli to ten sam człowiek... - powiedział Tom. Połamali mu nogi.

- Chcę powiedzieć, że jeżeli to ten sam człowiek...

- To co? - spytała Sharon wtykając mu piwo do ręki.

- Nic - odparł, odstawiając piwo. - Nic. Słuchajcie, jestem zmęczony. Idę się położyć, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Nie czuję się za dobrze.

Zostawił Sharon i Ahmeda rozmawiających w salonie i poszedł do sypialni. Rozebrał się. Drżał na całym ciele i nagle zrobiło mu się bardzo zimno, jakby miał gorączkę. Naciągnął na ramiona cienkie prześcieradła i zwinął się w kłębek. Przy dźwięku głosu Ahmeda dochodzącego z salonu zapadł w sen.

Obudził go chłód. Na zewnątrz wył wiatr i targał gałęziami drzew rosnących wzdłuż ulicy. Usiadł, rozglądając się nieprzytomnie po pokoju. Obok niego ktoś się poruszył. Katie także się obudziła. Był w domu, w Anglii. Przy nim leżała Katie i szukała jego ciepła.

- Co się stało? - wymamrotała.

Była na wpół rozbudzona. Pachniała snem, było w tym coś uspokajającego.

- Katie. Katie.

- Co się stało?

Wstał z łóżka, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Zielone drzewa na zewnątrz kołysały się na wietrze. Ulica była mokra. Szare dachówki domów po przeciwnej stronie ulicy błyszczały od deszczu. O szybę uderzały krople wody.

Katie, z twarzą napiętą z troski, usiadła w łóżku.

- Katie, wiesz, co mi się śniło? Nie uwierzyłabyś, nigdy w życiu. Chodź, przytul się. Nie żyłaś. Zabiło cię przewrócone drzewo. A ja byłem w Jerozolimie z Sharon, ty mnie nawiedzałaś. I nawiedzała mnie jeszcze Maria Magdalena. Och, Katie!

- Już dobrze. Jestem tutaj. Jestem.

- To był koszmar.

- Byłeś zrozpaczony? Zrozpaczony dlatego, że nie żyłam?

- Rozpadałem się na kawałki. W Jerozolimie. To było takie żywe.

- Pójdę zrobić kawy - nałożyła szlafrok. - Może to był znak.

- Znak?

- Jerozolima. Maria Magdalena. Może dla odmiany powinienes pójść ze mną do kościoła.

- Do kościoła? Co? Tak, może i tak. Może pójdę. Czuję się strasznie dziwnie.

Zabłyły jej oczy.

- Naprawdę? Pójdiesz? Hej, coś ci się musiało stać.

Słyszał, jak krząta się na dole, napelnia czajnik, słyszał dźwięk naczyń wyjmowanych z szafki: znajome, domowe odgłosy.

Znów wyjrzał przez okno. Czuł wilgoć w powietrzu, w przeciwieństwie do skwaru panującego w jego śnie. Ruch na mokrej ulicy był znikomy. Ludzie spędzali niedzielę w domach. Wokół domu hulał wiatr.

Po ulicy szedł chłopiec roznoszący gazety. Idąc czytał komiks, a swoją pracę wykonywał automatycznie, bez patrzenia sięgał wolną ręką do torby. Wszystko było tak cudownie zwyczajne i uspokajające. Tom usłyszał, jak gazeta spadła na wycieraczkę pod drzwiami. Przeszedł bosy po grubym dywanie, założył szlafrok i poczłapał na dół.

Rozłożył niedzielną gazetę. Coś było nie w porządku z pierwszą stroną. Tytuł był nieczytelny, a nagłówki wyglądały jak hebrajskie

literę w jego śnie. Katie stanęła za nim i wyjęła mu gazetę z ręki. Otworzyła drzwi i zawołała gazeciarza.

- Spróbuj zwracać uwagę na to, co nam przynosisz - powiedziała z krzywym uśmiechem, oddając mu magazyn.

Chłopiec poczerwieniał.

- Przepraszam - wybąkał.

Zajrzał do swojej torby i wyciągnął normalną, niedzielną gazetę wypchaną dodatkami.

Tom zerknął na datę. Trzydziesty października: w jego śnie tego dnia umarła jego żona.

Łokciem otworzył drzwi do salonu. Zasłony wciąż były zaciągnięte. Na stoliku do kawy stała niedokończona butelka czerwonego wina; w dwóch kryształowych kieliszkach został po nim osad. Opadł na fotel i ukrył głowę w dłoniach. Czuł się, jakby śnił od miesięcy; jego umysł wciąż nie był jasny. Miał lekką gorączkę. Fragmenty snu zaczęły do niego wracać. Arab. Żydówka. Coś o zwoju spisany w formie spirali.

- Tom, dobrze się czujesz?

Katie stanęła nad nim trzymając parujące kubki z kawą.

- Tak. Tak, ja...

- Mówiłeś poważnie o pójściu ze mną do kościoła?

Potrząsnął głową.

- Nie mogę. Umówiłem się z kimś. Nie mogę się z tego wykręcić.

Słowa popłynęły same, jakby czytał scenariusz. Mówił je do niej w każdy niedzielny poranek. To już był odruch. Rozczarowanie na jej twarzy było nie do zniesienia.

- Przez chwilę myślałam, że mówisz serio - powiedziała odsłaniając okna.

Tom poczuł ukłucie strachu przed tym, co zobaczy, kiedy odsunie zasłony. Z ulgą stwierdził, że ich malutki ogródek i patio wyglądają jak zwykle, i że mur z czerwonej cegły stoi, jak stał.

- Zaczekaj. Zmieniłem zdanie. Pójdę.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Spowodował to ciężar snu, w którym umarła. Śniło mu się, że zginęła właśnie tego dnia, trzydziestego października, kiedy wracała z kościoła do domu. Burza powaliła drzewo prosto na jej samochód. Nawet jeśli to był tylko sen, nie mógł znieść myśli, że miałaby jechać sama. Pojedzie razem z nią i wróci inną drogą. Był z kimś umówiony; ale o tym pomyśli później.

We śnie był odpowiedzialny za śmierć Katie. Zadał jej tysiące maleńkich ran. Czują, że jego miłość powoli ulatuje, a zbliża się do niej śmierć. Kiedy miłość umiera, ona umiera razem z nią. Tak chciała Katie. „Umrę bez twojej miłości”, mawiała. Mówiła to całkowicie poważnie.

We śnie miał na nodze tatuaż. Imię Katie na kolorowym tle. Spojrzał na kostkę. Nie było tam żadnego tatuażu.

Kiedy jechali do wiejskiego kościoła Marii Magdaleny, wichura była coraz silniejsza. Drzewa gięły się pod naporem potężnego wiatru. Drogę zaśmiecały gałęzie i liście. Tylko kilku kierowców odważyło się wyjechać z domu.

Samochód prowadziła Katie.

- Jesteś bardzo milczący - powiedziała zmieniając bieg.

- Ciągle myślę.

- Wiem - powiedziała uspokajająco. - Próbujesz to sobie poukładać.

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

- Przestań. Przynajmniej tu jesteś.

Dotarli do kościoła. Sine chmury wisiały nisko nad ziemią. Kościelna dzwonnica pochylała się pod naporem wiatru jak statek walczący ze sztormowymi falami. Wysiedli z samochodu. Brama prowadząca na cmentarz dygotała. Wielki cis na dziedzińcu kościoła skrzypiał i kołysał się na wszystkie strony. Nawet zniszczone płyty nagrobne wyglądały tak, jakby w każdej chwili miały pofrunąć z wiatrem.

- Lepiej wejdźmy do środka - powiedziała Katie zamykając samochód.

Zbliżyli się do budynku. O ścianę przedsionka opierała się wysoka, podwójna, aluminiowa drabina sięgająca niszy z wizerunkiem Marii Magdaleny, jakby ktoś próbował ukraść posąg. Ostry wiatr powodował, że drabina brzęczała. Zahaczony o jeden z niższych szczebli, kołysał się młotek. Tom miał złe przeczucie.

Wrażenie grożącego niebezpieczeństwa nasiliło się, kiedy Katie sięgnęła do żelaznego pierścienia na drzwiach kościoła. Uchyliła drzwi i odwróciła się do niego.

- Chodź - wyszeptała. - Nie stój tu.

Tom kulił się, wiatr szarpał jego włosami i obijał drabinę o mur.

- Nie mogę - powiedział. - Nie mogę.

- Tom, nie bądź niemądry. Chodź.

Prześlizgnęła się przez drzwi zostawiając go na zewnątrz.

Lodowaty wiatr skrzeczał wokół kamiennego kościoła jak drapieżny duch. Niebo pociemniało. Nie było jeszcze południa, ale równie dobrze mógł to być środek nocy. Kątem oka zauważył jakiś ruch. Spojrzał w górę. Pół tuzina kamiennych gargulców wybałuszało na niego oczy i wykrzywiało twarze z wysuniętymi jęzorami. Deszcz spływał z nich jak ślina. Odwrócił wzrok, nerwowo przeciągnął ręką przez włosy, nie mógł ani wrócić, ani wejść. Kiedy znów uniósł oczy, jego wzrok padł na posąg Magdaleny. Tom aż się cofnął. Figura zmieniła pozycję. Oczy miała spuszczone, patrzyła na niego; ręka, w której wcześniej trzymała flakon, teraz była wyciągnięta pod innym kątem, wskazywała na niego.

- Katie, nie mogę tego zrobić! Nie mogę wejść do środka!

Jak na komendę, usłyszał niski warkot wydobywający się z gardeł gargulców i nagle wszystkie ich głowy zaczęły ujadać jak wściekłe psy.

- Katie!

Ponad szczekaniem gargulców usłyszał, jak jego żona woła do niego zza wielkich, dębowych drzwi kościoła.

- Tom, wiesz, co robić! Wiesz, co robić!

Spojrzał na drabinę i młotek. Złapał go i zaczął wspinać się po szczęblach. Z całych sił walcząc z wiatrem, dotarł do najniższego rzędu gargulców. Pierwszy stwór ślinił się i skrzeczał, kiedy wycelował młotkiem w jego pysk. Narzędzie uderzyło w miękki piaskowiec, a figura eksplodowała w chmurze pyłu. Drugiego i trzeciego gargulca spotkał taki sam los.

Dyszząc i jęcząc z wysiłku wszedł wyżej, do drugiego rzędu głów. Ale kiedy się wspinał, głowy gargulców zaczęły się zmieniać. Tom kurczowo złapał się szczębla. Pierwsza miała twarz Dawida Feldberga, błagającego go, aby ratował zwój. Inne gargulce także się zmieniły. Widział głowę Ahmeda i Tobie z centrum odwykowego.

- Tom, proszę - szlochali. - Proszę!

- Tom, nie daj się nabrać! - z kościoła dobiegł go głos Katie. - Nie daj się nabrać!

Wciąż jęcząc z udręki i wysiłku, Tom uderzył młotkiem w pierwszą twarz, rozbijając ją w drobny mak. Potem z rozmachem rozbił ostatnią. Wiatr uniósł pył. Odłamki kamienia poleciały na ziemię.

- Wejź do środka! - krzyknęła Katie.

Wiatr wył i miotał się wokół wieży, odpychał drabinę od muru. Przez chwilę chwiała się niebezpiecznie, ale znów opadła na ścianę. Tom zdołał się opanować. Od figury Magdaleny dzieliło go tylko

kilka szczebli. Wiatr uderzał go prosto w twarz, szarpał nim z siłą huraganu, jednak Tom zdołał wspiąć się na ostatni szczebel. Spazmatycznie łapiąc oddech wyciągnął rękę, aby dotknąć posągu. W chwili, gdy jego palce dotknęły zimnego kamienia wiatr świsnął jak gigantyczna łapa, wyrywając spod niego drabinę i ciskając ją w ciemność kościelnego dziedzińca. Tom poczuł, że po niekończącej się spirali spada w mrok.

Wylądował na własnych nogach, wewnątrz kościoła. Stał tuż za dębowymi wrotami.

Przy ołtarzu zgromadziło się około dwunastu osób. Ale tylko stojąca pośród nich Katie zdawała się go dostrzegać. Uśmiechnęła się.

- Katie, co ty tutaj robisz?

Potrząsnęła głową uznając pytanie za niedorzeczne.

- Czekamy, Tom. Czekamy na poranek.

Katie odwróciła się. Tom rozejrzał się i wtedy zobaczył napisy. Ochrowe ściany kościoła w trzech miejscach zamalowane były sprayem w spiralne wzory. Wszędzie widniało to samo słowo, KŁAMCA, pisane coraz mniejszymi literami. Kiedy przyjrzał się bliżej, zobaczył słowo KŁAMCA KŁAMCA KŁAMCA nabazgrane na spiralach, a im bliżej środka, tym bardziej litery zlewały się, aż w końcu zamieniały się w bezkształtną plamę farby.

Tom podszedł do ołtarza. Zgromadzeni coś mamrotali. Przed ołtarzem pojawiły się kamienne spiralne schody i wierni prowadzeni przez wikarego wkroczyli do mrocznej krypty. Każdy stopień pokryty był tajemniczymi runami i hebrajskimi literami. Tom, stojąc za Katie,

podjął szeptany zaśpiew. Schodziła po schodach, powtarzając słowa jak inni.

- Kłamca, kłamca, kłamca.

Dołączył do chóru.

- Kłamca, kłamca, kłamca.

- Czy w tym śnie - zapytała Tobie - rozbijanie którejś z tych twarzy sprawiło ci przyjemność?

- Tak, twojej - z naciskiem odparł Tom. - Pamiętam, że kiedy dotarłem do ciebie, byłem szczególnie zadowolony.

Tobie zaśmiała się perliście.

- *Koanie*, skąd ja to wiedziałam? Skąd ja wiedziałam, że właśnie tak odpowiesz?

- Czy ta wiedźma naprawdę musi tutaj siedzieć?

Tom kiwnął głową w stronę Christiny, która towarzyszyła im od początku sesji. Siedziała na odwróconym krześle, z rękami pod podbródkiem. Nie spuszczała oczu z Toma i nie odezwała się ani słowem.

- Nie pozwalam klientom na agresję w stosunku do siebie - powiedziała spokojnie Tobie. - Możecie być ze sobą dowolnie szczerzy, ale bez agresji.

Ktoś zajrzał do sali i poprosił Tobie o odebranie pilnego telefonu.

- Porozmawiajcie sobie, dzieci, zaraz wracam. Porozmawiajcie sobie.

Tom przez trzy minuty znosił milczenie i nieruchome spojrzenie Christiny.

- Przynajmniej możemy się zgodzić, że tym razem faktycznie tutaj jesteś. Zacząłem myśleć, że jesteś kolejną zjawą. Wywinęłaś całkiem niezły numer.

Christina nic nie odpowiedziała. Mrugnęła raz, prawie niedostrzegalnie. Tom potrząsnął głową. Pomimo zasłony zmierzwionych włosów i bladej, wyniszczonej twarzy uznał, że kiedyś musiała być atrakcyjną kobietą. Anoreksja, którą karała się za swoje przewinienia sprawiła, że miała figurę dwunastolatki.

- Wiem, że chcesz mnie przelecieć - powiedziała ponuro.

- Co?

- Wiem to.

- Prędzej przeleciałbym zwłoki.

- Już to robiłeś.

Tom poczerwieniał. Christina nawet nie drgnęła. Siedzieli w ciszy kolejnych kilka minut, aż wróciła Tobie.

- Zrobiliście coś dla siebie? Pogadaliście?

- Nie - powiedział Tom.

- Tak - powiedziała Christina.

- Dobrze - stwierdziła Tobie. - Dobrze.

- Zapytaj go o uczennice - powiedziała Christina wstając z krzesła. - On uwodzi uczennice.

Zanim wyszła z pokoju, Tom usiłował zamordować ją wzrokiem. Christina rzuciła mu spojrzenie przez ramię.

- Cóż - mruknęła Tobie.

Tom wciąż gapił się na drzwi.

- Tom, nie przejmuj się. Ostrzegałam cię, że Christina wychwytuje różne rzeczy. Nie wie nic więcej, wierz mi. Odbiera tylko sygnały i tyle. Uważam, że to ma związek z jej chorobą.

- Chorobą? Co ty tu za lazaret prowadzisz?

- Powiedzmy, że już nic mnie nie dziwi. To właśnie z nią miałeś się spotkać tamtego dnia? Z uczennicą?

Tom kiwnął głową.

- Mieliście romans?

- Była jedną z moich ulubienic. Tamtego dnia spotkałem się z nią, aby to skończyć. Najczęściej spotykaliśmy się w niedziele, kiedy Katie była w kościele. W sumie tylko kilka razy. Wiedziałem, że to obłąd, ale szalałem za nią.

- Dlaczego chciałeś z tym skończyć?

- Miałem zamiar jej powiedzieć, że to się musi skończyć. Wrócił mi rozum. Dotarło do mnie, co robię Katie i sobie. Miałem zamiar zostawić ją w spokoju. Podjąłem decyzję i chciałem jej powiedzieć.

- A Katie tego dnia zginęła.

Tom otarł pojedynczą łzę.

- Spotkałem się z Kelly i zakończyłem to. Czułem się chory i pusty. Wróciłem do domu i położyłem się do łóżka. Obudził mnie telefon z policji. Kiedy Katie wracała do domu, na jej samochód przewróciło się drzewo. Zwykłe drzewo wyrwane przez wichurę.

- Trudno nie traktować tego osobiście.

- Wiem, co o mnie myślisz. Wiem, jak to musi wyglądać. Cóż, może to wszystko jest prawdą...

- Przestań - przerwała mu Tobie. - Natychmiast przestań.

Pochyliła się na krzesło i obie dłonie położyła mu na przedramieniu. Po raz pierwszy zauważył, że jej oczy są młode. Wielu ludzi w wieku Tobie miało oczy jak zmatowiałe paciorki, zmętniałe z racji wieku, pozbawione młodzieńczego blasku i radości życia. Oczy Tobie lśniły współczująco.

- Tom, po pierwsze, ja nikogo nie osądzam. Nie po to tutaj jestem. Za dużo błędów popełniłam w życiu, aby teraz kogoś osądzać. Do jasnej cholery, zrozum to. Widzę, jak cierpisz i chcę abyś wiedział, że i ja cierpię. Widzisz, mówienie o tym jest chyba jedynym sposobem, żebyś przestał się samobiczować. Człowiek jest dla siebie najgorszym sędzią.

- To nie był koniec. Wiedziała o tym. Chłopak Kelly z tej samej szkoły zrobił się zazdrosny. Wiedział coś, albo się domyślał. Zaczął o mnie wypisywać różne rzeczy na tablicy. Przyłapałem go i załatwiłem sprawę, tak mi się w każdym razie wydawało. Ale potem ktoś inny - nie sądzę, aby to był on, może sama Kelly - zaczął wysyłać listy do Katie. Któregoś dnia Katie powiedziała mi o tym, a ja się przyznałem. Dotkliwie ją zraniłem. Ale obiecałem jej, że więcej nie zobaczę się z Kelly.

Kiedy... kiedy Katie zginęła, znów zaczęły pojawiać się obelgi. Rano wchodziłem do klasy i widziałem tablicę zapisaną wulgaryzmami, czasami były szokujące, takie, których nawet nie znałem. Potem miewałem kilka tygodni spokoju i napisy znów się

pojawiąły. Nie mógł tego robić tamten chłopak, bo przeniósł się do innej szkoły.

I zawsze był to piątek rano. Któregoś czwartku wiedziałem, że to się znów wydarzy i postanowiłem zostać na noc w klasie, spróbować przyłapać sprawcę. Sprzątaczek łatwo było uniknąć. Był tam schowek... takie małe pomieszczenie na tyłach klasy, w którym przechowywaliśmy przybory szkolne. Zamknąłem klasę na klucz i usadowiłem się w tym schowku, zostawiając uchylone drzwi. Całą noc nie spałem. Może zdrzemnąłem się na moment przed przyjściem nauczycieli i pierwszych uczniów, ale kiedy stamtąd wyszedłem, tablica - jak zwykle - była zapisana stekiem wyzwisk. A drzwi klasy nadal były zamknięte na klucz.

Teraz wiem, kto to robił. Powinienem był wiedzieć od początku. To ona. Kiedy uważnie przyjrzałem się wyrazom, poznałem jej charakter pisma, tyle że pisała drukowanymi literami. To było pismo Katie. Ona to robiła.

Tobie zamrugała spokojnie.

- Nie mogłem już tego znieść. Złożyłem wymówienie, musiałem uciec. Jediną osobą, do której mogłem się zwrócić, była Sharon, tutaj, w Jerozolimie. Ale Katie podążyła za mną. Wyśledziła mnie. Jest tutaj. Nie pozwala mi się uwolnić, Tobie. Nie pozwala mi się uwolnić.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Tom wpatrywał się w podłogę. Wreszcie Tobie się odezwała.

- Myślę, że przebyliśmy dziś długą drogę i uważam, że na razie wystarczy. Zanim wyjdiesz, zrobię ci herbatę, ale obiecaj mi coś.

Obiecaj, że opowiesz wszystko Sharon. Bardzo się o ciebie martwi, nie rozmawiasz z nią o tym. Zrobisz to?

Tom wzruszył ramionami.

- To nie wystarczy. Chcę obietnicy. Tom, obiecasz mi to?

Rabin i Arafat rozmawiali. Przywódcy rządu Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny byli o krok od wypracowania historycznego kompromisu. Żydzi i Arabowie rozmawiali, w przeciwieństwie do Sharon i Toma.

Tom oddalał się coraz bardziej. Tobie powiedziała Sharon, że podczas „sesji” zaczął się otwierać, ale ma przed sobą daleką drogę. Sharon nie wtrącała się z rozmysłem, dając Tobie przestrzeń do działania, a Tomowi miejsce na oddech. Miała ogromną nadzieję, że Tobie zdoła oderwać go od Katie i że będzie miała go dla siebie.

Stało się jednak odwrotnie. Dzień po dniu, Tom oddalał się od niej. Sprawiał wrażenie nieobecnego, nawet kiedy się kochali. Sama była zaskoczona swoją inwencją i namiętnością, patrzył na nią wtedy ze zdumieniem i przestraszonym, jakby w chwili utraty koncentracji jedno z nich mogło zamienić się w owada. Nie zatracał się, nawet w kulminacyjnym momencie. A tego właśnie chciała: całkowitego poddania, unicestwienia, transcendencji. Pragnęła miłości bezwarunkowej.

Chciała tego wszystkiego, ponieważ miała dosyć okłamywania samej siebie. Przez piętnaście lat udawała, że nie jest zakochana w Tomie. Była już tym zmęczona. Przez całe piętnaście lat udawała przed Tomem, a potem przed Katie. I udawała przed sobą. To ostatnie kłamstwo było najtrudniejsze do udźwignięcia i najbardziej bolesne.

Sharon kłamała, ponieważ nie radziła sobie z tym. Jej bezradność wynikała z wpojonego jej we wczesnej młodości przekonania, że miłość należy tłumić, wypierać, ukrywać. Wcześniej się nauczyła, że machanie płomienną pochodnią uczuć przerażało obiekt miłości. Wbrew oczekiwaniom, obdarowany uciekał, wycofywał się. Nabrała przekonania, że nikt nie chce takiej deklaracji oddania.

Poza mesjaszami, demonami i bogami.

Sharon odebrała tę bolesną, uniwersalną lekcję w wieku lat czternastu. Bezwarunkowo oddała swoje ciało i duszę mężczyźnie dwukrotnie od siebie starszemu. Wziął jej dziewictwo i zostawił w zamian poczucie żalu i rozczarowania, że oddanie nie zostało odwzajemnione. Przysięgła sobie, że już nigdy nie narazi się na taki ból. Dotrzymała słowa, ale zatraciła instynkt miłości. Nie pozwalała sobie na miłość. Roztoczyła nad nią zasłonę dymną, wepchnęła pod dywan, zamknęła w szafie. Jej trudny do zniesienia blask był wtedy ledwie widoczny. Była w tym tak dobra, że zdołała ukryć go sama przed sobą.

Kiedy Sharon po raz pierwszy spotkała Toma, na jej sercu zacisnęła się pięść. Ukryła się za ścianą lodu. Jakiś czas później przypadkowo wylądowali w łóżku i wtedy instynkt zagłuszyła alkoholem, ale kiedy się ożenił poczuła, że jej świat runął. Powoli i z rozmysłem rozgięła palce dłoni obejmującej jej serce i zaprzyjaźniła się z jego żoną Katie. Wiedziała, że Katie nie była dla niego odpowiednią kobietą, to ona nią była. Katie zginęła w tym okropnym

wypadku, Sharon poczuła wtedy mieszaninę nadziei, wdzięczności i żalu. Przez chwilę nienawidziła się za to i po raz kolejny ukryła prawdziwe uczucia pod przykrywką cynizmu i wątpliwości. W końcu nadeszło to, co wydawało się niemal niemożliwe, Tom przyjechał do Jerozolimy - przyjechał do *niej* - a ona wyszła i uwiodła pierwszego z brzegu, młodego Araba, jako antidotum na tę truciznę, na straszne, ściskające serce cierpienie, wynikające z przekonania, że Tom od dawna powinien być z nią.

Rozum i serce. Jakby były dwoma odrębnymi bytami, jakby oszukiwały się, okłamywały i okradały wzajemnie. Jak to możliwe, że było w nich tyle sprzeczności?

Tego dnia, Rabin i Arafat rozmawiali pod bezchmurnym, niebieskim niebem Jerozolimy, pod jej błyszczącymi, złotymi kopułami. Nad miastem unosiły się nawoływania z minaretów, ku bogom płynęły modły. Żydzi i Arabowie dzielili się chlebem, tylko Tom się oddalał.

Sharon przypomniała sobie, że ma coś do załatwienia. Tobie poprosiła ją o dostarczenie koperty dawnej klientce mieszkającej w pobliżu ortodoksyjnej dzielnicy Me'a She'arim. Sharon spełniła prośbę, potem poszła w stronę getta. Była ciekawa, w jaki sposób ultraortodoksyjni Żydzi zareagowali na polityczny przełom. Tak jak Palestyńczycy pod wodzą fanatycznego Hamasu demonstrowali w Gazie, tak i tutaj odbyły się już demonstracje przeciwko porozumieniu.

Przy wejściu do getta widniał napis:

CÓRY JEROZOLIMY:
ZAWSZE UBIERAJCIE SIĘ SKROMNIE

Napis namalowano łuszczącą się, złotą farbą na czarnym tle.

NIE PROWOKUJCIE
NASZYCH NAJGORSZYCH INSTYNKTÓW

Skromność, jak wiedziała, oznaczała zakaz pokazywania kolan, kostek u nóg, ramion, a nawet łokci. Stała przed wejściem w bluzce bez rękawów i spódnicy sięgającej jedynie do kolan. Była już wcześniej w getcie, wtedy stosownie ubrana. W tej chwili poczuła nagły gniew: jakim prawem grupa Żydów zajęła część Jerozolimy i każdemu, kto do niej wkraczał narzuciła swoje zasady? Czy to nasza wina, że nie umiecie nad sobą panować? pomyślała. Czy kobiety naprawdę muszą zmagać się z waszymi demonami?

Jej własny demon kazał jej wejść do środka.

Od wewnątrz, dzielnica Me'a She'arim wyglądała jak plan filmowy. Wąskie uliczki pełne były sklepików, z których towary dosłownie wylewały się na chodniki. Chasydzi dreptali w tę i z powrotem, niemal każdy wyglądał jak osiemnastowieczny litewski arystokrata. Jestem Żydówką, pomyślała. Ale co mam wspólnego z tymi ludźmi? Wiele nocy spędziła u Ahmeda, spierając się z jego stukniętymi fundamentalistycznymi, arabskimi przyjaciółmi, równie szalonymi jak ci Żydzi. Mijające ją dwie kobiety popatrzyły na nią krzywo. Ich głowy były ogolone. Wiedziała, że na specjalne okazje

mają peruki. Peruki! Jakiś staruch z brodą jak Matuzalem warknął na nią z progu sklepu, a może tylko odchrząknął. Przystanęła i uśmiechnęła się do niego. Znowu warknął.

- Czy szłam za szybko? - zapytała dobrym hebrajskim. - A może za wolno?

Starzec nie odpowiedział. Poszła dalej, natknęła się na grupę młodych mężczyzn o rozbieganych oczach, stojących na rogu ulicy, dyskutujących o toczących się właśnie rozmowach pokojowych. Usłyszała słowa „zdrajca” i „zdrada”.

- Rabin i Arafat próbują zaprowadzić pokój - powiedziała głośno. - Powinniście dziękować Bogu. Ci ludzie ryzykują życie dla pokoju!

Młodzieńcy gapili się na nią w osłupieniu. Poszła dalej, czując ich spojrzenia wwiercające się w jej plecy i pośladki.

Zabieraj się stąd, powiedziała sobie. Co ty wyprawiasz?

Zagłębiła się w getto. Getto! Jakie to dziwne, że dla reszty świata to słowo oznacza miejsce, z którego trudno uciec. Tutaj getto było kulturową fortecą, do której wicherzyciele, czas, a nawet historia nie mieli wstępu.

Wynoś się stąd. To nie jest miejsce dla ciebie.

Oparła się plecami o mur pokryty graffiti o treściach religijnych i wyciągnęła papierosa. Kiedy go zapalała, coś mocno uderzyło w ścianę obok jej głowy. Upuściła papierosa. W powietrzu unosiła się chmurka pyłu i w pierwszej chwili pomyślała, że to pocisk. Potem zobaczyła, że u jej stóp leży kamień.

Wynoś się stąd! Biegiem!

- Jestem Żydówką! To także mój kraj! Nie mówcie mi, co mam zrobić! - krzyknęła wyzywająco.

Kiedy rozejrzała się wokół, zobaczyła tłumek brodatych, młodych Chasydów w okularach, wpatrujących się w nią złym wzrokiem. To pewnie któryś z nich rzucił kamieniem.

Tego właśnie chcesz? Właśnie tego?

Zawróciła i ruszyła w kierunku, z którego przyszła.

Siedząc w samochodzie przycisnęła do twarzy chusteczkę i rozpłakała się. Nie z powodu wydarzenia w getcie i nie dlatego, że się przestraszyła - co zresztą było prawdą - płakała przez Toma.

Tom nie mógł jej kochać, bo był opętany. Był opętany myślami o swojej nieżyjącej żonie, a coś takiego, dobrze o tym wiedziała, mogło rozszarpać człowieka jak szpony demona. Myśli były jak duchy - nie, *nie jak* duchy, one *były* duchami. Niektóre były dobre - jak anioły, a inne nieczyste - jak zmory. Manipulowały, kusiły, wodziły za nos, krzywdziły. Miłość była duchem - dobrym aniołem, lub plugawym demonem. Jak inaczej wytłumaczyć ludzkie zachowanie? Anioł-demon miłości sprawia, że ciało trawi gorączka, ręce przestają słuchać poleceń mózgu, chadza się w miejsca, do których nie powinno się chadzać. Okłamuje się własne serce, tak jak robiła to Sharon.

Tom nie miał w sercu miejsca na anioła-demonia miłości, ponieważ był opętany. Był jak Jerozolima. Jak to miasto, które z każdej wieży, z każdej świątyni, kaplicy i minaretu głosiło miłość. A

jednak nie miał na nią miejsca, był opętany jak to miasto pełne fundamentalizmu szczerzącego zęby w każdej dzielnicy, pełne teologicznej gorączki i religii z obsesjami na własnym punkcie. Wieże i mury Jerozolimy pękały od chorych demonów, od *djinnów* oblegających umocnienia, broniących ich przed miłością.

Tom był strefą okupowaną. Sharon nie mogła do niego podejść. Nie mogła powiedzieć mu tego wszystkiego, więc siedziała w swoim samochodzie i płakała.

- No i proszę - powiedziała Tobie. - Tajemnica się rozwiązała. Naprawdę nie ma nic więcej do dodania.

Tom był rozbity. Rozpraszała go myśl, że Sharon zaraz wyjdzie z budynku, a jego umysł nadal krążył gorączkowo wokół tego, co powiedziała mu poprzedniej nocy. Rano, zanim zdążył z nią porozmawiać, wyszła do pracy. Zawarli rodzaj cichego porozumienia. Tom chodził na sesje z Tobie tylko wtedy, kiedy Sharon wychodziła; w ten sposób utrzymywali dystans między ich związkiem, a zawodowym zainteresowaniem Sharon jego postęпами. Ale stawało się to coraz trudniejsze. Wiedział, że Tobie rozmawiała z Sharon: według Tobie poufność była tylko kolejnym poziomem ukrywania się. On z kolei rozmawiał z Sharon o sesjach. Jednak poprzedniej nocy Sharon powiedziała coś, co wprawiło go w osłupienie.

- Słucham?

- Przecież mówię wyraźnie. Wczoraj powiedziałeś mi, że to Katie wypisywała te rzeczy na tablicy. Co tu jeszcze można dodać?

Tom popatrzył na uśmiechniętą twarz Tobie, wietrząc podstęp. Tego popołudnia dołączyła do nich nie tylko Christina, ale jeszcze dwie inne kobiety - Rachel, której dotąd nie widział, i Rebecca, która była rezydentką w centrum. Rachel miała współczujące brązowe oczy i miękkie, czarne loki; jednak dramatyczne przeżycia zostawiły na jej twarzy głębokie bruzdy - mogłaby być modelką dla studentów

malarstwa. Rebecca wyglądała jak seryjna morderczyni. Kobiety siedziały na krzesłach pochylone, jakby czekały na jakieś rewelacje. Tylko Tobie była zrelaksowana, siedziała wygodnie oparta, z założonymi rękami.

- Dlaczego nie wierzę, że mówisz serio?

- Nie mówię serio? Czy jest jakiś powód, abym nie mówiła serio? Katie pisała na tablicy, chociaż nie żyła.

- Może ty nie wierzysz w duchy - powiedział Tom - ale znam całe mnóstwo ludzi, którzy wierzą.

- Ja wierzę w duchy - powiedziała seryjna zabójczyni.

- Ja też - dołączyła się Christina.

Rachel uśmiechnęła się słodko.

- Czy ja powiedziałam, że nie wierzę w duchy? - zapytała Tobie.

- Powiedziałam coś takiego?

- Tak - gorzko odparł Tom - pewnie masz jakąś przejrzystą teorię dopuszczającą ich istnienie, a jednocześnie nikomu nie każesz w nie wierzyć. Bez wątpienia jesteś w stanie je zracjonalizować. Ja mówię *duch*. Ty mówisz *wina*.

- Przejrzystą teorię? *Koanie*, w moim życiu nie ma nic przejrzystego, możesz mi wierzyć. Ale jeśli chcesz wiedzieć co myślę o duchach, to proszę bardzo. Śmiejemy się z tych średniowiecznych wymysłów. Psychologia ma na to różne określenia: „halucynacje”, „projekcja”, „przeniesienie”. To jest współczesna ortodoksja. Wszystko wynika z wewnętrznego zamętu, zgadza się? Ale w ciągu dwustu lat być może powstanie nowa ortodoksja, ludzie zrozumieją

istotę energii i oddziałujące na nich siły duchowe. Wtedy może będą kpić z prościutkiej, naiwnej, dwudziestowiecznej psychologii. Tom, cholera, po prostu raz na jakiś czas dopuść do siebie myśl, że mam trochę pieprzonej wyobraźni, dobra?

Toma zamurowało. Tobie po raz pierwszy przy nim zakłęła i po raz pierwszy wyszła poza osobowość rozbrajającej, miłej, starszej pani. Wyglądała na rozgniewaną. Także trzy pozostałe kobiety patrzyły na niego tak, jakby sądziły, że już najwyższy czas, aby zaczął się porządnie zachowywać.

- Przepraszam - spróbował.

- Nie przepraszaj. Bądź konkretny. Mamy tutaj więcej żalu niż jesteśmy w stanie zużyć.

- To prawda - dodała niejasno Christina.

- A prawda jest taka, Tom, że zaczynamy się lekko niecierpliwić.

- - Czego jeszcze chcesz? Wszystko ci wczoraj powiedziałem.

Wyrzuciłem to z siebie.

- Wielka sprawa - mruknęła Christina.

- Taaa, wielka mi rzecz - powiedziała seryjna morderczyni.

Tom był zdziwiony tym, że nagle wszystkie są przeciwko niemu.

- Poza tym - odezwała się Tobie - tutaj chodzi nie tylko o twoje uczucia. Inni ludzie też cierpią.

Sharon? Mówiła o Sharon? Zeszłej nocy Sharon przeszła samą siebie. Wbrew swoim przekonaniom przyozdobiła dla Toma mieszkanie, przygotowała mu posiłek, pozapalała mnóstwo świec i wyznała mu *prawdę*.

- Zawsze? - powiedział Tom po piętnastu sekundach osłupienia.

- Zawsze.

- Nawet w college'u?

- Od pierwszej chwili, kiedy tylko cię zobaczyłam. Od tamtego czasu prawie wszystko, co robiłam, miało albo ci zaimponować, albo pozwalało mi być blisko ciebie, albo od ciebie uciec. Koszmar, prawda?

- Tak?

- Mam na myśli ukrywanie tego przez cały czas. Myślałam o tobie każdego dnia, bez przerwy. Udawałam zadowolenie, kiedy się ożeniłeś. Udawałam, że po śmierci Katie nie poczułam nadziei. Przeszłam wszystkie stopnie w piekle nieodwzajemnionych uczuć.

- Sharon, ledwie mogę uwierzyć w to, co mówisz.

- No, ja myślę. Nie masz pojęcia, ile mnie kosztuje to wyznanie. Jesteś we mnie, opętałeś mnie, nawiedzałeś przez cały ten czas, jak duch. I nawet nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Nie musisz nic robić. Po prostu musiałam ci powiedzieć, to wszystko. Musiałam zmienić tę sytuację i powiedzieć ci.

- Czujesz się lepiej?

- I lepiej, i gorzej jednocześnie.

Poszli do łóżka, ale między nimi zaległ zbyt wielki ciężar: wyznanie Sharon, jego własne wyznanie podczas sesji z Tobie, duch Katie, który stawał się tym bliższy, im bardziej starał się go odsunąć.

Odczuwał to namacalnie, jak sztylet w ciemności muskający wrażliwe, odkryte ciała. Nie był w stanie się kochać. Sharon rozplakała się gorącymi, gorzkimi łzami.

- Tak - powtórzyła Christina za Tobie - inni też cierpią.

Rachel, która dotąd nie odezwała się ani słowem, uśmiechnęła się słodko.

- Istnieją dwie możliwości. Jedna to taka, że faktycznie wierzymy w duchy, i druga, że to nie Katie pisała na tablicy - powiedziała wreszcie.

Tom patrzył to na jedną, to na drugą. Rebecca i Rachel wpatrywały się w niego z fascynacją. Tobie z przekrzywioną głową uważnie go obserwowała. Christina mrugała tępo.

- Powiedz nam, co tam było napisane - łagodnie powiedziała Tobie.

Tom odkaszlnął.

- Tylko świństwa. Zwykle świństwa, jakie zazwyczaj wypisują gówniarze.

- Powiedz nam dokładnie.

- Wiecie, o co chodzi. „Nauczyciel pieprzy” i takie tam.

- Masz.

Tobie trzymała w ręce pisak. Głową wskazała lśniąca, białą tablicę i wepchnęła mu pisak w dłoń.

- Pokaż nam.

- Czy to konieczne?

- Nie bój się. Nic nie jest w stanie nas zaszokować.

- Do diabła, nic - potwierdziła seryjna morderczyni.

Tom podniósł się sztywno i stanął przy tablicy. Potrząsnął głową, jakby chciał się zdystansować od dziwnego rytuału. Potem spokojnie, dużymi literami napisał słowo „KURWA”. Spojrzał na grupę. Tobie zachęcająco skinęła głową. „NAUCZYCIEL PIEPRZY DZIEWICE”, napisał dalej.

- Powiedziałeś - odezwała się spokojnie Tobie - że to był charakter pisma Katie. Potrafisz naśladować jej pismo?

Wzruszył ramionami, wytarł litery i napisał je raz jeszcze zaokrąglonym, kobiecym, jednak zdecydowanym pismem. Potem zaczął pisać coraz szybciej. „KELLY MCGOVERN SSIE FIUTA WEBSTEROWI”. Zaczął gryzmolić jeszcze szybciej, jakby ze złością. „DAJE MU DUPY. ON DYMA JĄ W CIPEŁ”. Zapełniał całą przestrzeń tablicy, jego dłoń szaleńczo śmigła po tablicy, jakby była osobnym bytem, niezależnym od reszty ciała, tłukła się o tablicę jak ptak ze złamanym skrzydłem, albo owad szukający schronienia. Biała przestrzeń zapełniała się gniewnymi, oskarżycielskimi słowami. Spocił się, wypisując coraz więcej i więcej świństw w poprzek tego, co napisał wcześniej. Wreszcie tablica zaczęła przypominać czarną pajęczynę nie do odczytania. Bezwładnie opuścił rękę. Odwrócił się do publiczności.

- Zadowolona?

- Tak - odparła Tobie. - Bardzo.

- Możemy już iść? - spytała Christina.

- Tak, teraz tak, już wiemy.

Christina i seryjna morderczyni podniosły się i wyszły, jakby siedząc tutaj robiły Tomowi i Tobie wielką łaskę.

- Co miałaś na myśli mówiąc *już wiemy*? - spytał Tom drżącym głosem.

- Sądzę, że ty też wiesz - odparła Tobie.

Rachel, która została, uśmiechnęła się współczująco.

- Co masz na myśli? Co ty mówisz?

Obydwie kobiety patrzyły na niego w milczeniu. Potem go oświeciło.

- Rozumiem - przytaknął z uśmiechem Tom. - Myślisz, że ja to zrobiłem. Myślicie, że ja sam wypisywałem to na tablicy, tak? Czy to właśnie chcecie powiedzieć?

- Wydaje mi się - oświadczyła Tobie - że jesteś tu jedyną osobą, która coś mówi.

- Jesteś stuknięta.

- Chyba wszyscy jesteśmy. Trochę.

- Myślisz, że sam to sobie zrobiłem?

- Tom, spójrz prawdzie w oczy. Czujesz się odpowiedzialny za śmierć Katie. Może zastanawiasz się, czy nadal byłbyś z Katie, gdybyś nie widywał się z tą dziewczyną. A może powinieneś był pojechać z Katie tamtego ranka. Nieważne. Obwiniasz siebie. I nie możesz sobie wybaczyć, zgadza się? Och, może byłoby lepiej, gdybyś kochał Katie.

- Zamknij się, Tobie.

- Tak, to jest trudne. Naprawdę trudne. Gdybyś kochał Katie, wszystko wyglądałoby inaczej. Żałoba wyglądałaby inaczej. Wszystko. Ale to, czego naprawdę nie potrafisz sobie wybaczyć, to grzech *niekochania* jej. Myślisz, że to ją zabiło. Myślisz, że od chwili, w której przestałeś ją kochać, zaczęła umierać. Podwójna śmierć. Śmierć z braku miłości. Czyż nie mawiała: „umarłabym, gdybyś przestał mnie kochać”? Nie mówiła czegoś takiego? Cóż, Tom, musisz mi uwierzyć: nie masz takiej mocy. Jednak możesz biczować się każdego dnia, bo popełniłeś niewybaczalną zbrodnię - nie kochałeś jej wystarczająco.

- Pieprz się, Tobie.

- Sam się ukrzyżowałeś, Tom. Pełno tu tego.

- Powiedziałem, pieprz się.

- Przemyśl to, co ci powiedziałam. Nie masz wyboru.

Tobie się podniosła.

- Przynajmniej wylałeś z siebie trochę wrogości. Zostawię cię na chwilę z Rachel. Ma ci coś do powiedzenia.

Tobie wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Widziałaś to? - Tom krzyknął do Rachel. - Możesz uwierzyć w coś takiego?

- Usiądź - powiedziała Rachel. - Usiądź obok mnie. Mam ci coś do powiedzenia.

Tom opadł na krzesło po drugiej stronie pokoju, więc wstała i usiadła obok niego.

- Byłam jedną z pacjentek Tobie. Poprosiła mnie, abym dzisiaj przyszła i porozmawiała z tobą. Byłam uzależniona od leków, miałam zaburzenia odżywiania i mnóstwo innych przypadłości. Niektóre z nich były wynikiem telefonów, jakie odbierałam. Obscenicznych telefonów od anonimowego mężczyzny, który nękał mnie prawie każdej samotnej nocy. Złożyłam doniesienie na policję, zmieniłam numer, zrobiłam wszystko. Ale to nie pomogło. Z czasem telefony zamieniły się w listy, adresowane nie tylko do mnie, ale do wszystkich ludzi, którzy byli mi bliscy. Listy zawierały rysunki obrazujące wszystkie moje domniemane perwersje seksualne, ze szczegółami. Według nich lubiłam orgie, lubiłam być biczowana. Lubiłam jeść gówno mojego kochanka. Oczywiście wszystko było kłamstwem, ale możesz sobie wyobrazić, jak czuli się moi rodzice dostając pocztą takie rzeczy?

Nie jestem w stanie ci opowiedzieć, co chciałam zrobić temu człowiekowi, gdybym tylko wiedziała kim jest.

Chyba już wiesz, co chcę powiedzieć. To właśnie Tobie pokazała mi, że to ja sama wysyłałam te listy. Może obsceniczne telefony, od których wszystko się zaczęło były prawdziwe, nie wiem. Ale nigdy mnie nie nękały, kiedy miałam towarzystwo.

Tom niezbyt uważnie słuchał opowieści Rachel. Przypominał sobie noc w szkole, w schowku na tyłach klasy zamkniętej na klucz. Wiedział, że zasnął, i że w tym czasie słowa pojawiły się na tablicy.

- Rzecz w tym - kontynuowała Rachel - że jestem tutaj, aby powiedzieć ci, że to się zdarza. Oczywiście nie chciałam w to

uwierzyć. Nie *mogłam* w to uwierzyć. Nawet nie słyszałam o połowie tych dziwnych rzeczy, które wypisywałam w listach. Ale kiedy ktoś mi to uświadomił, wszystkie kawałki układanki zaczęły do siebie pasować, wreszcie przyznałam się sama przed sobą do tego, co robiła moja ciemna strona i poczułam się lepiej.

Tom, to wszystko, co miałam ci do powiedzenia. Nie mogę zostać dłużej: mam rodzinę i muszę do niej wracać. Tobie poprosiła, abym opowiedziała ci moją historię. Rozmawiaj z nią; to fantastyczna terapeutka. Trochę dziwna, ale fantastyczna.

Rachel wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Wszystkiego najlepszego.

Tom bez słowa ujął jej dłoń. Rachel zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

- Do widzenia - powiedziała. - Powiem Tobie, że wychodzę. Nie chce zostawiać cię samego.

Rachel wyszła. Tom siedział w przytłaczającej ciszy. Wciąż słyszał słowa Tobie. Poszukiwanie strasznej prawdy obróciło się przeciwko niemu. Paliło jak ogień.

Dźwięk zamykanych gdzieś na dole drzwi przywrócił mu przytomność. Poderwał się z krzesła i zastawił drzwi szafką.

Tom się zabarykadował.

Sharon wróciła do mieszkania i zobaczyła, że na automatycznej sekretarce mruga światełko. Zanim odsłuchiwała wiadomość otworzyła lodówkę, wyjęła piwo, otworzyła je i biodrem zamknęła drzwi. Nie była w stanie spojrzeć Tomowi w twarz i uciekła z centrum, jak tylko przyjechał.

Dzień był okropny. Wyczerpana po bezsennej, przepłakanej nocy nie była specjalnie przydatna w centrum. Tobie była poirytowana, a reszta kobiet z ośrodka najwyraźniej przechodziła zespół napięcia przedmiesiączkowego. Nigdy nie rozumiała, jak to się dzieje, że kobiety mieszkające w zinstytucjonalizowanej wspólnocie synchronizowały swoje cykle menstruacyjne; sprawdzało się to w college'u, w kibucu, i tutaj. Opadła na krzesło.

Teraz musiała poradzić sobie z Tomem, któremu zwierzyła się ze swojej obsesji. Kiedy tylko ją ujawniła, poczuła, że popełniła błąd. W środku ciągle płakała. Była przygotowana na różne reakcje, ale nie na martwą ciszę, która zapadła po jej oświadczeniu. Tom po prostu zamarł.

Tego wieczora po pracy pojechała do Ahmeda, jemu także wyznała wszystko. Ahmed był w dziwnym nastroju, leżał na poduchach, w milczeniu kiwał ogoloną głową i słuchał emocjonalnych wynurzeń Sharon.

- Więc cierpisz, jak i ja cierpię - powiedział, kiedy Sharon wreszcie zamilkła.

- Jak to, cierpisz?

- Mamy ze sobą wiele wspólnego. Osoby, które kochamy, tylko nas lubią. Dostajemy przyjaźń, a powinniśmy dostawać miłość. Byłoby łatwiej, gdyby chodziło o nienawiść.

Spojrzała w wilgotne oczy Ahmeda i dotarło do niej, o kim mówił.

- Ahmed, proszę, nie mów tego.

Podniosła się.

- Przepraszam. Muszę już iść. To dla mnie za wiele. Nie dam sobie z tym wszystkim rady.

- Widzisz, jak ludzie uciekają od miłości? Od ciebie i ode mnie?

- Przepraszam.

- Jeśli i on cię przeprosi, będziesz wiedziała, że traktuje cię poważnie.

Ahmed nie odprowadził jej do drzwi. Szybko szła przez arabską dzielnicę. Dojechała do domu i przez pół godziny siedziała w samochodzie.

Światelko automatycznej sekretarki wciąż mrugało. Odłożyła piwo, wstała z fotela i nacisnęła przycisk odtwarzania.

- Cześć Sharon, tu Tobie. Bądź tak dobra i przyjedź najszybciej, jak się da. Twój Tom spadł na białą chmurę.

Łomotanie do drzwi ustało. Nawołujące się głosy ucichły. Zastawił drzwi szafą, dołożył jeszcze krzesła i stół. Nikt z zewnątrz nie odepchnie tej sterty mebli. Usiadł pod ścianą, odgłosy walki oddaliły się o dwa tysiące lat.

Usiadła cicho obok niego. Nie zauważył, jak weszła. Jedną ze szczupłych nóg podwinęła pod siebie i Tom zobaczył, że pod białą, bawełnianą sukienką nie ma bielizny. Pociła się. Biała tkanina przylgnęła do jej sutków i ud. Niedojrzałe łono było dobrze widoczne, pachnąca chmurka różowego ciała i puszystych, rudych włosów. Kelly McGovern. Kelly ze szkoły.

Lekko skrzywiła wargi w grymasie rozczarowania.

- Dlaczego mnie nie chciałeś?

- Kelly. Skąd się tutaj wzięłaś?

- Dlaczego mnie odtrąciłeś?

- Kelly, przepraszam. Przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać. Przecież nic się nie zdarzyło, prawda? Nigdy. Wszystko działo się tylko w twojej głowie. Fantazje. Chciałam tego, ale odtrąciłeś mnie. Wtedy, tam, w schowku. To twoje fantazje tam nas zaprowadziły. Ucałowałeś moją dłoń i odesłałeś mnie.

Otaczało ją dziwne światło, szare i złote.

- Czasami - powiedział Tom - czasami myślę, że ten grzech był cięższy, niż inne. To, że cię odtrąciłem. Czy to wtedy wszystko zaczęło się psuć?

- Pamiętasz nasze niedzielne poranki w parku? Nigdy mnie nawet nie dotknąłeś. Wiesz, co wtedy robiłeś? Karałeś się za własne pożądanie. Wbijąłeś się na pal własnych fantazji. Zacząłeś w nie wierzyć. Karałeś się za coś, czego nigdy nie zrobiłeś.

- Wiedziała, jak bardzo cię pragnąłem. Wiedziała i to ją zabiło.

- Nie. Mylisz się. To było tylko w twojej głowie.

Położyła mu rękę na ramieniu. Jej dotyk palił jak ogień, zapach jej potu i odurzająca woń jej ciała przeraziły go.

- Próbowałam ci powiedzieć, co się stało - powiedziała. - Uciekałeś, a ja tylko chciałam ci coś powiedzieć, przez cały czas próbowałam. Chciałam, abyś wiedział.

Usiłował się odezwać, błagać, aby zostawiła go w spokoju, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie był w stanie nic powiedzieć. Pochyliła się nad nim, sukienka zsunęła się jej z ramienia obnażając drobne piersi. Na lewej miała tatuaż z krwawiącą różą. Sięgnął, chciał go dotknąć, ale kiedy położył rękę na jej piersi odkrył, że w dłoni trzyma żywy kwiat. Ukłuł się cierniem. Na palcu pojawiły się kropelki krwi.

Instynktownie wsunął go do ust. Pocałowała go, wsuwając mu język między wargi. Zamknął oczy. Wiedział, że mówiła prawdę. Tamtego dnia do niczego nie doszło. Odesłał ją, choć pragnął jej

bardziej, niż kogokolwiek na świecie. Wszystko było prawdą. Podał się pocałunkowi.

Kiedy otworzył oczy, Kelly nie było, a on całował Katie. Próbował się opierać, ale ich języki splątały się, jej wargi rozrywały się, kiedy chciał się uwolnić. Światło zabarwiło się złotem i fioletem. Katie przyłgnęła do niego.

- Kochaj mnie, Tom - wymamrotała z trudem rozerwanymi ustami. - Kochaj mnie, kochaj!

Róża, którą trzymał w ręce, zwiędła. Opadały z niej wyschnięte płatki. Usta Katie smakowały popiołem.

A potem była Sharon, a nie Katie. Próbowwała go uspokoić.

- Ciii, ciii.

Znów mógł poruszać ustami.

- Spokojnie - powiedziała.

- Sharon? To ty? Ginę, rozpadam się.

- Ciii, ciii. Wszystko w porządku.

Światło wokół niej pojaśniało, Sharon zamieniła się w wielkiego, białego ptaka, gigantyczną gołębicę w jego ramionach. Strużka szkarłatnej krwi z jego ust skalala białe pióra na piersi ptaka. Oczy i dziób przerażały go, lśniły zimno, jak kawałki polerowanego, czarnego kamienia. W jednej chwili ptak znów zmienił się w kobietę, tajemniczą, silną i piękną.

Pachniała balsamem. Przerzucone przez ramię włosy opadały lśniącą, czarną kaskadą. Pokryta olejkiem skóra przypominała cynamon. Paznokcie u stóp miała pomalowane na różowo, a na

kostkach pobrękiwały bransolety z małymi dzwoneczkami. Tatuże na nagich przedramionach przedstawiały jakieś nieznane, mitologiczne bestie. Wiedział, że to Magdalena. Nie tamta stara, odrażająca kobieta ścigająca go po zakurzonych uliczkach Jerozolimy, ale olśniewająca, młoda Maria Magdalena.

- Słuchaj - mówiła - musisz słuchać.

Ujęła jego głowę w dłonie, zmuszając go, aby spojrzał jej w oczy.

- Boję się. Przerażasz mnie.

- Próbuję ci powiedzieć, co się stało. Szeptwała miękko, zmysłowo.

- Katie prosiła, abym ci pomogła. W twoje ręce włożyłam mój zwój. Ukrzyżowanie to fikcja. Byłam sama przeciwko wielu silnym mężczyznom; byłam jego żoną, więc niektórzy poszli za mną, ale jaką miałam szansę? Zostałam wykluczona, zesłana na Qumran. Wiesz, jak to jest, być wykluczonym?

Spisałam zwój, kiedy pracowałam w wytwórni balsamu w Qumran. Wiedziałam, jak to się może potoczyć. Proroctwa pojmovaliśmy sercem. Sprawialiśmy, by się ziściły. Wiedzieliśmy nawet, jak przeżyć ukrzyżowanie. Musisz mieć jad węża, aloes i mirrę. Ale mieliśmy wroga, faryzeusza o sercu pełnym nienawiści do kobiet. Zniszczył nas, bo nienawidził naszej miłości. Domyślił się, jaki mamy plan. Wydał rozkaz, by memu ukochanemu na krzyżu połamano nogi. Przyspieszył jego koniec, zniweczył proroctwo. Nasz

przeciwnik, Saul, zawłaszczył i przeinaczył nauki Jezusa i zastąpił je kłamstwami. I oto narodził się święty Paweł, Apostoł Kłamstwa.

Mój ukochany nauczał, że ludzkie serca błędzą. Jednak Katie poprosiła mnie, abym przekazała ci, że cud *naprawdę* się zdarzył. Jezus po śmierci stał się duchem nawiedzającym własny Kościół. Czeka, jak *djinn*, prześladowuje wszystkich kłamców, z jego imieniem na ustach nauczających i nienawidzących. Oto chrześcijanie zbyt często zapominający, że nimi są.

Magdalena kciukiem otarła łzę z jego oka. Potem wysunęła się z bawelianej szaty i uklękła przed nim. Na udach także miała tatuaże; cudowne bestie ozdabiały jej piersi, przeżyły się ponad pępkiem, symbolizowały siedem wrywających się z niej duchów. Kapłanka zmysłowości. Świątynna prostytutka. Otaczające ją cudowne światło migotało czerwono i fioletowo, złoto i szaro. Rozebrała go, pochyliła się i objęła ustami jego penis. Potem pozwoliła, aby w nią wszedł, zasypała jego głowę swoimi długimi włosami, aż prawie zemdłał. Poddał się. Zatracił poczucie swojego ciała i duszy, zatracił siebie.

Jej ciało wyprężyło się i załśniło jak płynna stal. Skupiła się na nim bez reszty, aż nagle wygięła się jak bicz, raz i drugi. Oddech jej się skrócił, a potem zastygła, wzmocniła jeszcze uścisk, aż wytrysnął w niej. Jej pomalowane paznokcie drapały mu skórę na plecach, kiedy przeżył się i dygotał.

Zemdłał. Czuł, jak odpływa, jego świadomość przygasła i rozbłyskiwała jak światło gwiazdy. Kiedy odzyskał przytomność, wciąż na nim siedziała. Wciąż był w niej, choć jego orgazm

przeminał, a kiedy się z niej wycofał zauważył na swoim członku smugę krwi menstruacyjnej. Odsunął się. To nie była Maria Magdalena.

- To ty - wyszeptał.

- Wiedziałam, że mnie chcesz. Wiedziałam. Wiedziałam.

Christina uśmiechnęła się do niego.

- Jak się tutaj dostałaś?

Wskazała na otwarte okno. Jednocześnie barykada z krzesel i stołów, blokująca drzwi, runęła na ziemię. Usłyszał szuranie. Szafa odsunęła się na bok.

- Tylko nie to - wymamrotał Tom. - Tylko nie to. Naciągnął spodnie. Nie miał czasu szukać koszuli i butów. Przełożył nogę przez parapet okienny.

Do pokoju wpadła Sharon z grupką kobiet.

- Tom, wracaj! - załkała.

- Christina! - wrzasnęła Tobie, patrząc na chichoczącą, nagą kobietę na podłodze.

- Zrobili to. Zrobili. Zrobili-bili.

- Tom, wracaj! Wracaj!

W pobliskim meczecie rozbrzmiewał wieczorny *adhan*. Światło na zewnątrz powoli zmieniało kolor z turkusowego na cytrynowoszary. Ahmed skręcił kolejnego papierosa z haszyszem, jednego z wielu wypalonych od wyjścia Sharon. Kiedy zapalił, wdychając z zadowoleniem wonny dym, ktoś załomotał do drzwi. Pukanie rozległo się trzy razy. Wiedział, że to wezwanie *djinna*, więc nie odpowiedział, dalej rozkoszował się wielkim skrętem przy słodkim dźwięku *shahada*²⁵, sączącym się z podniebnej wieży. Uznał, że to niezwykle - albo raczej bezczelne ze strony *djinna* - żeby odzywać się w takim czasie. Ahmed w żadnym razie nie wychodził z domu po zmierzchu, bał się ryzyka fizycznej konfrontacji z *djinnami* zamieszkującymi miasto tak szalone jak Jerozolima.

Jednak usłyszał czwarte uderzenie, początkowo nieśmiałe, potem zdecydowanie mocniejsze. Poderwał się, zamrugął i przetarł oczy. Podniósł się na nogi, poczłapał do okna i wyjrzał.

Albo miał halucynacje, albo na chodniku stał ten Anglik, z gołym torsem i bez butów. Ahmed zmrużył oczy.

- Jesteś człowiekiem czy *djinnem*?

- Rzuć mi klucze.

Ahmed nie był pewien, czy chce to zrobić. Odsunął się od okna, aby się zastanowić, ale szybko się uspokoił i cisnął na dół pęk kluczy.

²⁵ Shahada: modlitwa, wyznanie wiary.

Zakreśliły łuk w powietrzu i załśniły w gasnącym świetle dnia. W ciągu kilku sekund Tom otworzył drzwi i ruszył po schodach.

Ahmed zabrał mu klucze i cofnął się. Tom miał na sobie tylko spodnie. Bose stopy były brudne, pierś pokrywał pot i kurz. Z włosami w nieładzie stał i nerwowo rozglądał się po pomieszczeniu, na niczym dłużej nie zatrzymując wzroku.

- Na Allaha - powiedział Ahmed. - Wyglądasz jak *djinn* bardziej niż same *djinny*.

- Porozmawiajmy. Chcę porozmawiać.

- Herbaty? A, do diabła z herbatą. Napij się piwa. Masz, potrzyмай.

Ahmed podał Tomowi tłęcego się skręta i poszedł do lodówki. Tom popatrzył za nim i wciągnął głęboko gryzący haust dymu. Kiedy Ahmed wrócił z piwem chciał oddać mu skręta.

- Pal sobie - powiedział Ahmed. - Mam dość tego świństwa. Rzucam to. Usiądź.

Tom usiadł na poduszce ze skrzyżowanymi nogami. Ahmed zerknął na brudne stopy spoczywające na jego nieskazitelnym dywanie. Zażartował, że wygląda jak *djinn*, ale nie był daleki od prawdy; właściwie Tom wyglądał jak ktoś, kto właśnie staje się demonem. Ahmed niejednokrotnie zastanawiał się nad możliwością przemiany człowieka w demona, ale nigdy o czymś takim nie słyszał, ani nawet nie przypuszczał, że jest to możliwe.

- Na co tak patrzysz? - zapytał Tom.

- Wybacz. Gapiłem się? Ostatnio jestem rozbity. Chciałeś porozmawiać o zwoju?

- Do diabła ze zwojem. Nie chcę go. Weź go sobie. Dam ci go, jeśli powiesz mi to, co muszę wiedzieć.

Ahmed wiedział, kiedy zachować ostrożność.

- Powiedz, co chcesz wiedzieć.

Tom łapczywie zaciągnął się skrętem.

- Chcę wiedzieć, jak pozbyć się *djinna*. Ahmed przyglądał mu się spokojnie.

- Tego nie wie nikt.

- Ale musisz mieć jakieś pomysły. Na pewno próbowałeś.

- Uspokój się, proszę. Nigdy nie próbowałem pozbyć się swojego *djinna*. On jest moją karą. Moją pokutą.

- Co? Jesteś zakochany we własnym cierpieniu?

- A jestem w tym osamotniony?

Tom wyglądał na przygnębionego. Podniósł się i zaczął krążyć po pokoju. Zobaczył zwój przypięty do biurka i zapatrzył się w spirale nieznanymi słów.

- Lepiej nie podchodź za blisko. Ten zwój aż roi się od *djinnów*.

- Skłamałem o tamtej dziewczynie - powiedział Tom. - Pamiętasz, jak o tym opowiadałem? Skłamałem. Nigdy nawet jej nie dotknąłem.

- Tak podejrzewałem.

Tom znowu usiadł. Skręt się wypalił. Pochylił głowę w rozczarowaniu. Zapadła cisza. Odchylił się, głowa opadła mu na

poduchę za plecami. Siedzieli w milczeniu, za oknem zmierzch przechodził w noc, tylko od czasu do czasu z ulicy dochodził odgłos kroków na bruku.

Zasypia, pomyślał Ahmed. Jest wyczerpany. Muszę mu coś dać. Na czworakach przeszedł przez pokój. Zdjął kanański talizman i delikatnie założył go Tomowi na szyję. Przysiadł na piętach i zaczął do niego szeptać.

- *Djinn* zamieszkuje nieskończoną liczbę osobowości, a każda z nich należy do ciebie. Pośród snów musisz znaleźć dobrego *djinna* i prosić go, aby się za tobą wstawił. Daj mu prezent, a potem się módl. To wszystko, co wiem.

Tom nie odpowiedział. Ahmed pozwolił mu spać.

Tom stał przed kościołem. W samochodzie nikogo nie było. Wichura wyła jak piekielne zastępy, niemal wyrywała drzwi auta z zawiasów. Po twarzy chłostał go deszcz. Brama prowadząca na dziedziniec skrzypiała, wieża kościelna pod naporem wichru wyglądała jak statek przeklętych ciskany sztormem po okrutnym oceanie. Płyty nagrobne majaczyły w ciemnościach jak balast rzucony w morze dla odciążenia statku, gigantyczne drzewo chwiało się jak złamany maszt. Przez wycie wichru przebijał się dźwięk dzwonu.

Gdzie podziewała się Katie? Przeszedł przez kołyszącą się bramę. Powinna tu być. Powinna być z nim. Na dziedziniec przed kościołem spadały połamane gałęzie. Kruk, który próbował usiąść na

wieży, uleciał w czarne niebo gnany wiatrem. Tom zapatrzył się na wieżę.

Aluminiowa drabina opierała się o ścianę. Na jednym z niższych szczebli wisiał wygięty młotek. Tom spojrział w górę i w niszy okiennej poniżej blanków wieży zauważył jakiś ruch. Posąg Magdaleny zniknął. Teraz stała tam Katie, włosy szarpał jej wiatr, biała szata układała się na krągłościach jej ciała miękko jak najlepszy jedwab. Niebo zasnuwały czarne chmury. Palcami stóp czepiała się kruszejącego kamienia. Patrzyła w dół, na niego.

Burza wzmagała się z każdą sekundą. Wiedział, że powinien gdzieś się schronić, jednak za bardzo bał się wyjść poza ganek. Nagle wrota kościoła otworzyły się z trzaskiem. Masywne, dębowe skrzydła i żelazne okucia złowrogo zaskrzypiały o kamień.

- Katie, zejdź na dół! Nie mogę wejść do środka! Nie mogę wejść bez ciebie! Nie mogę tam wejść!

Ale wiatr porwał drabinę jak źdźbło słomy, unosząc ją w ciemność cmentarza. Katie nie mogła zejść. Wiatr szalał wokół wieży. Kamienie i pojedyncze cegły pod jej stopami rozpadały się w pył. Rozpostarła ramiona jak ptak i rzuciła się w jego stronę. Widział, jak spadała. Frunęła w powietrzu, przez moment tego szaleńczego lotu patrzyli sobie prosto w oczy. Przemknęła tuż nad nim, niemal go dotykając.

Nie słyszał uderzenia. W jednej chwili scena rozviała się i Tom był wewnątrz kościoła. Katie zniknęła.

Na ścianach, namazane w odpychających spiralnych kształtach zobaczył słowa: KŁAMCA. Zgromadzeni przy ołtarzu ludzie schodzili wolno po kręconych schodach prowadzących pod podłogę. Stopnie schodów były bogato rzeźbione, pokryte hebrajskimi literami namalowanymi czarną farbą. Był tam Dawid Feldberg i uśmiechał się do Toma. Nie widział nigdzie Katie. Michael Anthony, ksiądz odstępcza, zachęcał go gestem, aby do nich dołączył.

- Nie mogę iść! Muszę czekać do rana!

Michael Anthony wyglądał na zirytowanego. Pozostali ludzie zatrzymali się i rozglądali się wokół w poszukiwaniu winnego, który im przeszkodził.

Tom nagle zauważył, że w kościele coś się zmieniło. Każda podobizna Jezusa, każdy obraz, rzeźba i witraż zostały zastąpione wizerunkiem kobiety, nagiej, zmysłowej, zakrwawionej i cierpiącej na krzyżu. Miejsce Jezusa zajęła Maria Magdalena. Otaczały ją święte kolory, szkarłat i purpura, szarość i złoto.

- Wstaw się za mną - powiedziała. - Powiedz jej, że wiem, co się wydarzyło. Powiedz jej, że wiem wszystko.

Michael Anthony wyglądał na zaniepokojonego, tak jakby nie rozumiał, co Tom próbuje mu powiedzieć.

- Musisz wstawić się za mną - nalegał Tom. - Módl się za mnie. Poproś, aby zostawiła mnie w spokoju. Powiedz jej, że upublicznię to, co zapisała w zwoju. Powiedz jej, że zrobię to dla niej. I daj jej to.

Tom otworzył usta i wcisnął sobie palce głęboko w gardło. Zwymiotował na dłoń dużą, żywą, bzyzącą pszczołę. Kiedy podawał

ją księdzu, zwinęła się w jego dłoniach.

Michael Anthony przyjął owada i kiwał głową, jakby wszystko rozumiał. Trącił pszczołę palcem. Wrócił do reszty ludzi, którzy podjęli marsz po spiralnych schodach.

Pszczoła bzyczała nieprzerwanie w rękach księdza. Tom, zanim znów wyszedł w burzę szalejącą na zewnątrz, podziękował Marii Magdalenie krótką modlitwą.

Obudził go dźwięk telefonu. Usiadł. Ahmed był w sypialni, Tomowi wydawało się, że rozmawia z Sharon.

- Tak, jest tutaj.

Ahmed mówił ściszym głosem.

- Nie, śpi. Chyba jest wyczerpany. Nie, nigdzie się nie wybiera.

Tom podniósł się z poduchy. Przeciągnął dłońmi po twarzy, próbując zebrać myśli. Na oparciu krzesła wisiała jedwabna koszula. Założył ją. W holu znalazł parę sportowych butów Ahmeda. Cicho wymknął się z mieszkania, podczas gdy Ahmed nadal zapewniał Sharon, że nie spuści go z oka.

Szeroko otwartymi oczami Tom wpatrywał się w lustro. Nożyczki arabskiego fryzjera szeptały mu do uszu, zamykając się tuż przy skórze głowy, włosy zaścielały podłogę wokół fotela. Fryzjer ciął fachowo, szczęknięcie nożyczek nie ustawało ani na chwilę. Odbijały się srebrzyście w lustrze, jak dziwny ptak bezskutecznie próbujący zerwać się do lotu.

Fryzjer skończył strzyżenie i sięgnął po maszynkę elektryczną.

Katie stała obok Toma, z ręką opartą lekko o jego ramię. Włosy miała schludnie zaplecione, szarymi, spokojnymi oczami obserwowała strzyżenie w lustrze.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam, że ci to zrobiłam. Musiałam odnaleźć do ciebie drogę. Musiałam posłużyć się innymi. Jak inaczej mogłam cię odnaleźć? Zablokowałeś mnie. Oboje z Sharon mnie zablokowaliście.

- Czego chcesz? - zapytał Tom.

- Ceny są na ścianie - powiedział fryzjer, nie przerywając starannego wodzenia maszynką po jego głowie.

- Chcę twojej miłości - powiedziała Katie.

- Dlaczego?

- Żeby nikt nie był oszukiwany - odparł fryzjer. Wyłączył maszynkę i zaczął ostrzyć brzytwę, aby dokończyć dzieło.

- Bo cię kocham. Zawsze będę cię kochać.

- Mogę ci ufać?

- Jeśli nie można ufać fryzjerowi - powiedział znad brzytwy - to komu można?

- Możesz - odparła Katie.

- Jak to wygląda?

- Dobrze - stwierdził fryzjer.

- Dobrze - powiedziała Katie.

Tobie przechodziła obok zakładu fryzjerskiego w arabskiej dzielnicy i widziała mężczyznę z ogoloną głową płacącego fryzjerowi. Wyglądał znajomo, ale szła dalej, szukając Toma. Nie czuła się zbyt pewnie w tej muzułmańskiej dzielnicy, w dodatku w nocy, ale obiecała Sharon, że dołączy do niej u Ahmeda.

Kiedy Tom zabarykadował się w pokoju w centrum odwykowym, Tobie zaczęła na Sharon, zanim wdarła się do środka. Wreszcie, kiedy jej się to udało, zastała tam na podłodze nagą Christinę i szeroko otwarte tylne okno. Sharon wróciła wtedy do siebie, w nadziei, że zastanie tam Toma. Nie było go, więc zadzwoniła do Ahmeda. Poprosiła, aby go zatrzymał i skontaktował się z Tobie. Miały spotkać się w jego mieszkaniu.

Tobie była wściekła na siebie, że nie przewidziała reakcji Toma. Zawsze bardzo starannie badała, jaką presję i ile prawdy zniosą pacjenci. Może nie wzięła pod uwagę różnicy między kobietami a mężczyznami? Ostatni raz coś takiego zdarzyło się Ahmedowi. Wpadł

w amok, po którym przysięgła sobie, że nigdy więcej nie wpuści do ośrodka mężczyzny.

Gdyby Tom był kobietą, na tym etapie załamałby się, rozpląkał i szukał siostrzanego wsparcia. Zamiast tego miał delirium. Tobie wyczuwała jakiś ulotny element w seksualnej chemii mężczyzn, który w chwili zagrożenia niweczył jej starannie zbudowaną strategię terapeutyczną. Mężczyźni, wbrew obiegowym opiniom, znacznie szybciej i skuteczniej niż kobiety wypierali ze świadomości niewygodne fakty. Jednak w żadnym przypadku nie przewidziała roli Christiny w tym kryzysie.

Nagle zatrzymała się na środku wąskiej uliczki. Zawróciła do zakładu fryzjerskiego. Mężczyzna z ogoloną głową właśnie wychodził.

- Tom - powiedziała spokojnie Tobie. - Martwiłyśmy się o ciebie.

Tom zamarł. Spojrzał w lewo, jakby czegoś nasłuchiwał i czekał na natchnienie. Kiedy znów popatrzył na Tobie, jego oczy były jak płonące, czarne dziury, zupełnie pozbawione tęczówek.

- Cześć, Tobie. Nie ma powodu do zmartwienia.

Tobie zawahała się.

- Tom, przejdiesz się ze mną? Trochę się denerwuję stojąc tutaj w środku nocy. Może dotrzymasz mi towarzystwa?

- Dokąd idziesz?

- Pomyślałam, że zajrzę do Ahmeda. Chodź ze mną.

Tom odpowiedział po chwili zwłoki.

- Nie mogę. Muszę gdzieś pójść.

- Dokąd? Dokąd musisz iść?

Tym razem cisza trwała bardzo długo. Tobie znała ten objaw i zawsze ją martwił.

- Do Me'a She'arim.

- Me'a She'arim? Tom, dlaczego musisz tam iść? Wierz mi, to nie jest dobry pomysł.

Cisza.

- Tak, tak. Mam rachunki do wyrównania. Muszę się tam z kimś spotkać.

- Rachunki? Tom, o co tu chodzi?

- Tam, w Me'a She'arim, jest pewien człowiek. Rzucił w Sharon kamieniem. Tobie, nie możemy na to pozwolić. Nie możemy pozwolić na takie zachowanie.

- Hej, *koanie*, chodź ze mną. Znajdźmy Sharon i Ahmeda. Chodźmy w jakieś miłe miejsce. No już, weź mnie pod rękę i przejdź się ze mną.

Tom już się wycofywał, gotów do biegu.

- Tobie, nie mogę. Muszę wyrównać rachunki. Pogadamy później.

Zniknął, roztopił się w cieniu wąskich alejek. Tobie wiedziała, że ściganie go nie ma sensu, więc pozwoliła, aby odszedł. Sama pospiesznie ruszyła do mieszkania Ahmeda, gdzie czekała na nią Sharon.

- Poszedł do Me'a She'arim. Witaj, Ahmedzie, dawno się nie widzieliśmy - powiedziała Tobie.

- Me'a She'arim? Ahmed, nie gap się tak. Gdzie twoja gościnność?

Ahmed nie mógł oderwać wzroku od Tobie.

- Przepraszam, okropna, stara kobieto. Siadaj. Siadaj. Musisz mi wybaczyć, w końcu nie co dzień odwiedza mnie najbardziej koszmarna kobieta na świecie. Czego się napijesz?

- Nie mamy na to czasu. Właśnie wpadłam na Toma; wyglądał dość przerażająco. Ogolił głowę i sędzę, że im szybciej nakłonimy go, aby wrócił z nami do domu, tym lepiej.

- Masz rację - powiedział Ahmed. - Był tu wcześniej. Ukradł mi koszulę i buty. Przez cały czas słuchał swojego *djinna*. Nie patrzcie tak na mnie. Mówię wam, jego *djinn* cały czas szeptał mu coś do ucha. Teraz jest pod jego bardzo silnym wpływem.

- Powiedziałaś, że poszedł do getta. Czego tam szuka? - zapytała Sharon.

- Powiedział, że ma rachunki do wyrównania. Jakiś człowiek rzucił w ciebie kamieniem i miał zamiar się z nim policzyć.

- To prawda, jakiś chasyd cisnął kamieniem, kiedy tam byłam ostatnio. Musiałam mu o tym powiedzieć.

- Ten chasyd posieka go na kawałki, jeśli będzie próbował rozrabiać w żydowskim getcie - mruknął Ahmed.

- Chodźmy - powiedziała Sharon. - Ahmed, idziesz?

- Odbiło ci? Ja, Palestyńczyk, mam iść do Me'a She'arim? Nie wygłupiaj się.

- Będziesz z nami.

- Jeszcze gorzej. A poza tym jest noc. Nigdy nie wychodzę po zmierzchu.

- Potrzebujemy cię - powiedziała Tobie. - Musimy go znaleźć.

- Czy ja jestem mu coś winien? Ukradł moją koszulę. Ukradł moje buty. - Łypnął na Sharon. - Co jeszcze mi ukradł? Nie mogę tego zrobić. Wierzcie mi, gdybym mógł pójść z wami, zrobiłbym to. Ale jest noc, a ja ryzykuję wszystkim. Tam może jest mój *djinn* i czeka na mnie.

- Ahmed, proszę cię - powiedziała Sharon. - Potrzebuję cię.

- Nie nocą - bronił się Ahmed. - Nie nocą.

- *De profundis* - powiedziała Katie idąc obok niego, z prawą dłonią opartą lekko na jego lewym przedramieniu. - Z otchłani. Powiedziałam ci wszystko. Zwój Marii otworzył się przed tobą. Teraz wiesz, jak do tego doszło. Teraz wiesz, jak Kłamca nas oszukał. Wiesz, kto jest prawdziwym Kłamcą.

Prowadziła go ulicami dzielnicy arabskiej. Minarety i Złota Kopała za jego plecami były oświetlone, podobnie jak kościelne wieże przed nimi. Ludzie na ulicach mijali go bezszelestnie jak widma, ciche i prawie niewidzialne, jak kurz. Przechodząc przez bardziej zatłoczone miejsca wyczuwali napięcie narastające w powietrzu. Na ulicy tłoczyło się zbyt wielu młodych mężczyzn,

rozmawiali przyciszonymi, ale podnieconymi głosami. Minęli dwóch podenerwowanych żołnierzy. Poborowi byli w stanie podwyższonego pogotowia. Coś wisiało w powietrzu, coś się wydarzyło, albo dopiero miało się wydarzyć.

- Co się dzieje?

- Będą zamieszki - powiedziała. - Chodź.

Dotarli do murów miejskich w pobliżu kamieniołomów Salomona. Katie ścisnęła go za ramię, zatrzymali się. Wskazała sylwetkę żołnierza patrolującego mur. Był odwrócony plecami, poruszał się cicho wzdłuż blanków z karabinem w ręce. Między jego nogami Tom zobaczył kołyszący się ogon.

Niemożliwe!

Ale był tam, demon z błyszczącym, czarnym, zawiniętym ogonem kołyszającym się to w jedną, to w drugą stronę. Tom poczuł, jak ściska mu się żołądek. Oblał go pot.

- Ciii.

Katie ujęła jego twarz zimnymi rękami. Poczuł, że uwięziła go w swoich szarych oczach.

- Pierwszy raz widzisz *djinna* - powiedziała.

Tom znów spojrzał w górę. Żołnierz wydawał się instynktownie go wyczuwać, powoli odwrócił się kryjąc twarz w ciemności. Ogon znów się poruszył, a twarz zaczęła się wyłaniać z cienia.

- Szybko.

Katie wepchnęła go w boczną uliczkę.

- Nie możesz im pokazać, że widzisz. Nigdy. Rozumiesz?

Ale Tom dygotał, przerażony fizycznością *djinna*. Oparł się o ścianę i zaczął wymiotować. Katie położyła mu dłoń na plecach i poprowadziła go dalej. Dotarli do Bramy Damasceńskiej.

Wyjście poza Stare Miasto sprawiło mu ulgę. Powietrze wydawało się łagodniejsze, bardziej czyste. Pod Bramą Damasceńską było mnóstwo ludzi, noc wibrowała hałasem ruchu ulicznego. Znowu trzymała mu rękę na ramieniu. Szli w stronę arabskiego dworca autobusowego. Tom przystanął, spojrzął na mur za plecami i zobaczył jeszcze dwóch żołnierzy.

- Żołnierze - powiedział.

- Nie, nie wszyscy są *djinny*. *Djinny* przebierają się za żołnierzy tak samo, jak przebierają się za zwyczajnych ludzi. Ale to wiesz.

- Tak. Wiem.

Poprowadziła go do stacji benzynowej. Kupił kanister z trzema litrami paliwa i dwie oranżady w plastikowych butelkach. Po drodze na dworzec zatrzymał się, aby je wypić. Miał gorączkę i obficie się pocił. Wlał w siebie obie butelki. Napenił je benzyną, a kanister i resztę paliwa wyrzucił. Zawrócili w stronę Bramy Damasceńskiej.

- Kłamca nienawidził kobiet - powiedziała Katie - widział w nich źródło nieczystości. Nienawidził także Jezusa, ponieważ on je lubił. Kiedy Jezus wypędził z Marii Magdaleny siedem demonów, zostawiła dla niego kanaańską świątynię. Chciał, aby kobiety były kapłankami na równi z mężczyznami; ale Kłamca nie mógł tego znieść. Kłamca czuł tylko nienawiść. Nienawidził wszelkich ludzkich słabości.

- Po ukrzyżowaniu Kłamca zobaczył dla siebie szansę. Zawładnął Kościołem i ruszył na zachód. Karą Marii było wykluczenie. Jakby odcięto jej język. Nie, to nie Kłamca został nawrócony przez Chrystusa podczas słynnej podróży do Damaszku. To Kościół Chrystusa został nawrócony przez Kłamcę.

- Nie idziemy do Me'a She'arim, prawda? - powiedział Tom.

- Nie. Chciałam tylko zyskać trochę czasu. Jesteśmy na miejscu.

Szli drogą znaną jako Derekh Shekhem, dokładnie naprzeciwko Bramy Damasceńskiej i zbliżali się do wrót ogromnego kościoła świętego Pawła.

- Oto świątynia Kłamcy. Pawła nienawidzącego kobiet. Odrzucającego własną krew. Urągającego ziemskiej miłości. Falszywego proroka i Apostoła Kłamstwa. Ojca *djinnów*. Kłamcy nad kłamcami.

Tom spojrział w górę, na kościół świętego Pawła. Ciemność, jak czarne skrzydła, okrywała jego mury. Wspiął się na schody i wszedł do środka.

Sharon, Tobie i Ahmed w milczeniu przemierzali ulice. Wszyscy troje byli przerażeni. Mijali grupki rozgorączkowanych młodych mężczyzn, którzy na ich widok milkli i obrzucali ich wrogimi spojrzeniami.

- Co oni mówią? - spytała Tobie. - Co się dzieje?

- Wiesz, co to jest *intifada*²⁶ - odparł Ahmed. - Zawsze coś się dzieje.

- Ale rozmowy pokojowe...

²⁶ Intifada: powstanie Palestyńczyków przeciwko izraelskiej okupacji Palestyny

- Nie każdy jest zachwycony Arafatem. Wiesz, że Hamas będzie próbował przerwać rozmowy.

W powietrzu wisiało przeczucie zbliżającego się powstania. W rozmowach pobrzmiwało echo przemocy. Mury po obu stronach ulicy zastygły w oczekiwaniu, a ponure plotki bulgotały nawet w kanałach burzowych.

- Na Allaha, czujecie to? Zabierajmy się stąd - błagał Ahmed. - To miejsce jest pełne *djinnów*. Czekają na ciała.

W Bramie Damasceńskiej Ahmed spojrział na wilgotne ściany i zadrzał. Nie mógł przez nią przejść, stał jak skamieniały. Sharon i Tobie nie miały pojęcia, co tam zobaczył. Zachowywał się jak uparta nitka, która nie chce przejść przez ucho igielne.

Przez bramę przemaszerował oddział żołnierzy, spychając na bok tłumek młodych ludzi kręcących się pod łukiem. Okrzyk ich protestu przełamał szok i Tobie wraz z Sharon zdołały popchnąć Ahmeda naprzód.

Od bramy do getta Me'a She'arim dzieliło ich tylko kilka minut marszu. Skręcili w uliczkę przy kościele świętego Pawła. Kątem oka Sharon zobaczyła mężczyznę wchodzącego do kościoła, przyciskającego coś do piersi.

- Powinniśmy się pospieszyć - powiedziała Tobie.

- Dlaczego ja to robię? - jęczał Ahmed. - Dlaczego?

- Ponieważ kochasz Sharon - odparła Tobie.

- Jesteś najokropniejszą kobietą, jaką znam - wymamrotał Ahmed.

Przy wejściu do getta Sharon przystanąła pod napisem „CÓRY JEROZOLIMY: ZAWSZE UBIERAJCIE SIĘ SKROMNIE”.

- O cholera. Zobaczcie, jak jestem ubrana.

Miała na sobie szorty odkrywające uda i bluzkę bez rękawów. Z nadzieją popatrzyła na pozostałą dwójkę, ale żadne z nich nie mogło jej pomóc. Tylko Tobie miała na sobie luźne, długie spodnie i bluzę od dresu.

- Ja za to mam palestyńską twarz. Nie może być gorzej - stwierdził Ahmed.

- Może - odparła Sharon. - Córy Jerozolimy są twarde i dumne.

- Co?

- Nieważne. Jazda, nie mamy czasu, żeby się tym martwić.

Przeszli przez kutą, żelazną bramę do getta, jakby wkraczali do Piekła Dantego. Przemierzali ulice, rzucali się w oczy i próbowali udawać pewność siebie, której nie czuli. Brodaci chasydzi z pejsami i w charakterystycznych kapeluszach rzucali im przeciągłe spojrzenia, ale nic nie robili. Jakiś starzec wyszedł ze sklepu i zobaczywszy Sharon upuścił na ziemię torbę czerwonych jabłek. Potoczyły się do rynsztoka. To był isticie teatralny, choć niezamierzony gest.

- Znam tu paru ludzi - powiedziała Tobie. - Mogliby nam pomóc.

- W porządku, tylko nie odchodź na długo - poprosiła Sharon.

Tobie zanurkowała w mrok. Sharon i Ahmed trzymali się blisko siebie, szli powoli oświetloną latarniami ulicą. Starszy chasyd z pochylonymi plecami i długą, białą brodą patrzył na nich podejrzliwie stojąc w drzwiach. Kiedy go mijali, wrzasnął nagle.

- *To nie jest Nowy Jork! To jest Yerushalayim!*
- Trzymaj się blisko mnie - powiedziała Sharon.
- To ty się trzymaj blisko.
- Powinniśmy trzymać się za ręce?
- *Yerushalayim!*
- To nie jest dobry pomysł.

Pospiesznie minęli starca, który wciąż krzyczał za nimi i skręcili za róg, żeby zejść mu z oczu. Natychmiast pojęli swój błąd. Kilka jardów dalej, pod latarnią stała grupa młodych chasydów. Gdyby kontynuowali marsz, weszliby prosto na nich; odwrót mógłby wyglądać na ucieczkę. Zdecydowali się iść naprzód. Młodzi mężczyźni przekrzywiali głowy, potrząsali nimi, światło latarni odbijało się w ich okularach.

- Dużo tu gówna w okolicy - powiedział jeden.

Sharon warknęła coś po hebrajsku. Ahmed nie dosłyszał, co powiedziała. Musiało być to coś mocnego, bo chasydzi na chwilę umilkli. Potem, kiedy ich mijali, jeden z nich splunął Sharon pod nogi.

- Dziwka.
- Zignoruj to - wyszeptał Ahmed. - Tom, gdzie się podziewasz?

Zostawili młodych mężczyzn za sobą, mając nadzieję, że trafią z powrotem do bramy getta. Zamiast tego skręcili w ślepią uliczkę. Następna prowadziła w odwrotną stronę, stały tam grupki mężczyzn z bujnymi, czarnymi brodami, wyglądających jak kruki pod mdłym światłem latarni.

- Wyprowadź nas stąd - wymamrotał Ahmed.

- Próbuję przecież. Próbuję.

Weszli na jakiś plac. Na jednym z okalających go budynków widniał napis namazany farbą w sprayu: JUDAIZM I SYJONIZM SĄ CAŁKOWITYM PRZECIWIENSTWEM. Sharon przystanęła zdezorientowana.

- Nic z tego. Będziemy musieli wrócić tą samą drogą.

- Nie wydaje mi się - powiedział Ahmed.

Sharon podążyła za jego spojrzeniem. Drogę powrotną odcięła im grupa chasydów, którzy szli za nimi od placu. Milczeli, w czarnych surdutach i kapeluszach z szerokimi rondami wyglądali wyjątkowo groźnie. Wszyscy nosili okulary, jakby to była część ultraortodoksyjnego munduru. Ich oczy, powiększone szklami, były pełne nienawiści. Druga ulica prowadząca na plac zaczęła się wypełniać czarno ubranymi ludźmi.

- Czas na negocjacje - powiedział Ahmed.

Ktoś wykrzyknął po hebrajsku słowo „dziwka”. Inna obelga, zarezerwowana dla Palestyńczyków, padła pod adresem Ahmeda. Zewsząd posypały się drobne kamyki, uderzając o mur za ich głowami. Nie widzieli, kto rzucał. Grupki ludzi wydawały się dziwnie nieruchome. Potem Sharon zobaczyła czyjeś uniesione ramię i o jej nogę uderzył kamień. Poczowała ostry ból. Spazmatycznie wciągnęła powietrze i zachwiała się. Kolejny kamień o włos minął twarz Ahmeda.

W ciągu kilku sekund posypał się na nich grad kamieni. Jeden z nich ostrą krawędzią rozciął policzek Sharon. Uderzały głucho o mur

za ich plecami. Sharon uniosła ręce nad głowę i zobaczyła, jak Ahmed pada na kolana, kuli się, próbuje osłonić się przed gradem kamieni. Potem poderwał się, biorąc atak na siebie, desperacko próbując osłonić ją własnym ciałem.

Oboje upadli.

Deszcz pocisków skończył się tak nagle, jak się zaczął. Usłyszeli krzyki, najpierw po hebrajsku, potem po angielsku. Kiedy ostrożnie odsunęli dłonie z twarzy, zobaczyli wysokiego, młodego chasyda przepychającego się w ich kierunku, krzyczącego coś gniewnie. Sharon pomyślała, że sam chce dokończyć dzieła. Jednak kiedy do nich dotarł, zatrzymał się i odwrócił do prześladowców. Trząśł się ze złości. Jego kapelusz upadł w kurz. Miał gęstą, czarną brodę i przerzedzające się włosy. Na zaczerwienionej z wysiłku twarzy malował się gniew. W obronnym geście rozpostarł ramiona przed Sharon i Ahmedem, którzy wciąż kulili się na ziemi za jego plecami.

- Tchórze! - krzyczał na napastników. - Tchórze! Co wy robicie? Rzucajcie kamieniami we mnie! Czy znajdzie się tu choć jeden sprawiedliwy, który ma prawo rzucać kamieniami? Choć jeden?

Odpowiedzi nie było, tłum milczał. Chasydzki obrońca odchylił głowę i wydał z siebie niemal nieludzki ryk. Odwrócił się i spojrzał na Sharon i Ahmeda. Po czole spływał mu pot. Jego oczy lśniły jak gorąca smoła. Znow odwrócił się do tłumu.

- Czy jest tu jeden sprawiedliwy? Jeden człowiek, którego Bóg stworzył tak dobrym, żeby mógł rzucić kamieniem? Jeśli jest, niechaj rzuci we mnie!

Podniósł jakiś patyk i gorączkowo kreślił coś w kurzu.

- Idźcie do domów! Idźcie do domów i zostawcie ich w spokoju!

Nikt się nie ruszył. Potem od tłumu oderwała się jedna grupka gapiów. Zaraz potem zaczęły znikać następne, poganiane okrzykami rozzłoszczonego Żyda. Urągał im i pytał gniewnie, czy znajdzie się ktoś, kto ma odwagę stawić mu czoła.

Przy Sharon nagle zmaterializowała się Tobie i pomogła jej stanąć na nogi. Wybawca okazał się jej przyjacielem. Sharon miała rozcięty policzek i ramię. Ahmed także był poraniony. Ich ratownik wrócił przez plac po kapelusz.

- Tobie, nie przyprowadzaj tu więcej tych ludzi.

- To moja wina - powiedziała Sharon. - To ja ich tutaj zaciągnęłam.

- Jesteś Żydówką - odparł. - Wiesz, że ci ludzie są jak dzieci. Prowokujesz ich najniższe instynkty. Przykro mi. Więcej się tutaj nie pokazujcie.

Odprowadził ich do wyjścia z getta. Tobie mówiła coś po hebrajsku.

- Zabierz ich stąd - powiedział mężczyzna zdejmując okulary i ocierając brwi białą chusteczką. - Po prostu ich stąd zabierz.

Tom wszedł przez ciemne wrota i zamknął je za sobą. W opustoszałym kościele migotało mnóstwo światełek kłamstwa, pomyślał. Wota płonące miękko, szeptaną modlitwą. W ławce tuż przy ołtarzu ktoś klęczał i modlił się, opierając głowę na

skrzyżowanych rękach. Kroki Toma w pustej świątyni odbijały się echem od sklepienia. Usiadł daleko od modlącego się, przyciskał do piersi plastikowe butelki i czekał.

Świece wypalały się powoli. Od czasu do czasu ich płomyki drżały w przeciągu. Tom myślał o Katie, cierpliwie czekającej na zewnątrz. Nie musiała nic mówić. Wiedział, co ma robić.

Maria Magdalena pokazała mu prawdę. Maria, święta, *djinn*, anioł, demon, inspiracja. Nad ołtarzem wisiał krzyż dźwigający ciało zdradzonego Chrystusa. To nie Judasz go zdradził. Zdrajcą był Paweł. Pamiętaj, myślał Tom, składając przed sobą ręce w symulowanej modlitwie, prawda religijna zależy od tego, kto przeżył. Wersję Marii wymazano z historii. Została zesłana, ponieważ odmówiła rozpoznania człowieka, który miał udawać zmartwychwstałego Chrystusa. Wiedziała, że nadejście Mesjasza było zaplanowanym, starannie wyreżyserowanym spektaklem, manipulowanym przez Pawła, apostoła kłamstwa i wroga kobiet.

Tom, przestań się biczować, powiedziała Tobie. Przestań się biczować.

Mógł odpokutować. Mógł to zrobić, dla Katie mógł zniszczyć świątynię wroga, uzurpatora i kłamcy. Maria Magdalena była prawdą. Paweł był Kłamstwem.

Człowiek modlący się przy ołtarzu zmienił pozycję. Wcale nie ma zamiaru wychodzić, pomyślał. Znów popatrzył na mężczyznę pogrążonego w modlitwie i poczuł, że coś z nim jest nie w porządku. Zaniepokoiło go coś nieuchwytnego w jego postawie. Miał złe

przecucia; w żołądku poczuł kamień. Uczucie niepokoju zaczęło narastać.

Ciężkie wrota otworzyły się, wpuszczając podmuch powietrza. Płomienie świec nagle przygasły. Ktoś wszedł do kościoła i usiadł w ławce z tyłu. Tom rozejrzał się i wtedy obraz się odwrócił.

Nie siedział już na tyłach kościoła. Klęczał w ławce przed ołtarzem, w pozycji tamtego modlącego się mężczyzny. Zerknął przez ramię do tyłu i zobaczył kogoś, kto właśnie wszedł do środka. Tom, przyciskając do piersi butelki z benzyną, nie dostrzegł rysów przybysza, który właśnie siadał w ławce. Wrócił spojrzeniem do ołtarza. W świątyni zaczęło się robić wilgotno. Na kamiennych płytach osadzała się woda, drewniane ławki były nią przesiąknięte. Obrus na ołtarzu, gipsowe figury świętych, złoty krzyż, wszystko emanowało wrogością. W żołądku poczuł skurcz. Przetarł oczy pięścią.

Jego perspektywa zmienacka znów się zmieniła. Siedział na tyłach kościoła i jak przedtem wpatrywał się w samotną postać przy ołtarzu. Wstał i zrobił kilka kroków w tamtą stronę, powoli zbliżając się do skulonej postaci. W ustach poczuł metaliczny smak, dzwoniło mu w uszach. Poczul zawrót głowy, zachwiał się i o mało nie upadł. Pod ławką, w której klęczał modlący się człowiek, Tom zobaczył coś, co przywodziło na myśl zwiniętego, opasłego i połyskującego tłusto węża.

Tom się cofnął. Owo coś poruszyło się, wyciągnęło na całą długość, a potem znów się zwinęło. Teraz widział wyraźnie, że to nie

był wąż. Przełożony przez oparcie ławki, u podstawy kręgosłupa połączony z ciałem modlącego się, zwisał potężny ogon. *Djinn* - Tom spazmatycznie wciągnął powietrze.

Walcząc z narastającym przerażeniem usłyszał za sobą jakiś szmer. Spojrzał przez ramię. W pobliżu wejścia, z ławki, którą sam zajmował przed chwilą, podnosiła się kolejna szara postać. Stworzenie z ogonem siedzące obok niego zniknęło.

W jakiś sposób znów zamienili się pozycjami. Postać z tyłu kościoła zbliżała się do niego, jej czarny ogon był wyraźnie widoczny, ślizgał się po chodniku leżącym na posadzce w nawie. Nadchodzący demon przyciskał mocno do piersi dwie plastikowe butelki żółtego płynu.

Stwór przyspieszał coraz bardziej, podrywając się do biegu. Perspektywa Toma znów się zmieniła; tym razem *djinn* zbliżał się do niego od strony ołtarza. Punkt widzenia Toma zmieniał się coraz szybciej, aż w końcu *djinny* gnały z obu końców kościoła. Był osaczony.

Czekał na zderzenie z *djinnem*, który miał jego własną twarz. Demon biegł w jego stronę z dwóch stron jednocześnie.

W chwili zderzenia zamarły wszelkie dźwięki. Płomienie świec przestały się poruszać. Każdy z nich wyglądał jak nieruchomy, maleńki, biały kwiat, rozkwitający blaskiem, aż pojedyncze białe pęcherzyki zlały się w jedną jasną plamę, tworząc ścianę drżącego światła. Zza ściany dochodził odległy krzyk, stopniowo zwiększał napięcie, w końcu przerodził się w dziwny pisk. Początkowo dźwięk

przesączał się przez ścianę światła szczelinami cieńszymi niż włos, aż wreszcie zapora runęła, czas znowu podjął bieg, a świece zapłonęły zwykłym ogniem. Tom usłyszał krzyk wyrywający mu się z gardła. Zatoczył się na świecznik z dwunastoma płonącymi świecami i upadł na plastikowe butelki z benzyną.

Wybiegł na zewnątrz, trzymając się za gardło i z trudem łapiąc powietrze. Wokół nikogo nie było. Katie zniknęła.

- Katie, byłaś jedyna - powiedział Tom do gęstniejącej ciemności. - Zawsze byłaś tylko ty.

Od Bramy Damasceńskiej niosła się niepokojąca wrzawa. Tom usłyszał wystrzały. Przez otwarte drzwi kościoła zaczął się wydobywać dym. Z trudem zszedł ze schodów. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zauważyć pożogę. Pobiegnął w kierunku Bramy Damasceńskiej.

Sharon, Ahmed i Tobie dotarli do Bramy Damasceńskiej w samym środku zamieszek. Mały oddział uzbrojonych żołnierzy wypychał demonstrantów przez bramę pod łuk krzyżowców. Tymczasem z okolicznych ulic wylaniało się coraz więcej Arabów. Spocone twarze błyszczały w świetle rac puszcanych z muru, a kolejni Arabowie dołączający do tłumu zaczęli spychać ich w stronę łuku bramy.

- Niedobrze - powiedział Ahmed. - Niedobrze.

- Coś się pali - powiedziała Tobie, pokazując smugi dymu unoszące się znad kościoła świętego Pawła. - Podłożyli ogień w kościele.

Słyszeli w tłumie, że podczas demonstracji zwolenników Hamasu we wschodniej Jerozolimie zginął żołnierz. Jego towarzysze odpowiedzieli ogniem, zabijając młodą dziewczynę. Rozwścieczeni ludzie napierali na rząd umundurowanych poborowych próbujących zatarasować bramę.

- Zabierajmy się stąd - powiedziała Tobie.

- Patrzcie! Tam! - krzyknęła z radością Sharon, wskazując na postać przyciskającą się do ściany pod łukiem krzyżowców. - Ahmed, czy to nie twoja koszula?

Ahmed z niepokojem kiwnął głową. Niewątpliwie był to Tom, w jego najlepszej, jedwabnej koszul i z ogoloną głową.

- Musimy go stamtąd wyciągnąć - powiedziała Sharon. Nie było jednak szans, aby przepchnąć się przez tłum.

Ludzie powtarzali różne pogłoski. Że Żydzi podłożyli ogień w kościele świętego Pawła, aby potem obwiniać o to Arabów. Że w odwecie chrześcijanie podpalili meczet. Ahmed zaczął wpadać w panikę.

- Nie mogę tutaj zostać - wysyczał. - Tylko popatrzcie na tych ludzi. Jeden na pięciu jest *djinnem!*

Tobie wzięła go za rękę.

- Trzymaj się blisko mnie.

- Boję się nocy - powiedział Ahmed.

- Ja też się boję - odparła Tobie. - Ja też.

Nagle kordon żołnierzy rozstał się i tłum runął przez siebie. Ludzie tratowali się wzajemnie, zeskakiwali do suchej fosy, próbowali

podnosić tych, którzy upadli. Napierający z tyłu tłum spychał Sharon, Tobie i Ahmeda pod mur. Było gorąco. Strach i przemoc wisiały w powietrzu ciężkie jak dym z płonących opon. Nad ich głowami rozległ się tupot butów. Kolejny oddział żołnierzy zajmował pozycje na murze, kierując w dół lufy karabinów maszynowych.

Sharon złapała Tobie, która wciąż kurczowo trzymała Ahmeda.

- Chodźmy.

Wraz z ludzką rzeką przeszli przez bramę. Pierwsza linia żołnierzy wycofywała się w stronę arabskiego *suku*, za nimi postępowali demonstranci, którzy teraz śpiewali, wzywali imię Boga, wygrażali pięściami, wykrzykiwali jakieś hasła, wrzeszczeli. Znaleźli się na placu otoczonym starymi murami.

- Bóg jest wielki! - wrzasnął młody Arab prosto w twarz Tobie.

- Nie w takich chwilach! - odwdzieczyła się.

Ahmed złapał się za głowę.

- Tam! - krzyknęła Sharon, wskazując Toma znikającego za rogiem. - Udało mu się. Chodźcie!

Ale z Bramy Heroda wypadł na nich oddział wojska, gestami nakazując im się cofnąć. Przywarli do ściany, żołnierze kierowali tłum z powrotem do Bramy Damasceńskiej. Sharon pobiegła do miejsca, w którym mignął jej Tom. Tobie i Ahmed podążyli za nią.

Tom był przerażony. Dołączył do tłumy forsującego Bramę Damasceńską, żeby się ukryć, uciec od płonącego kościoła. Kiedy demonstranci przerwali wojskowy kordon zorientował się, że tłum

spycha go w głąb Starego Miasta. Ściśnięty między spoconymi, krzyczącymi ludźmi widział, że na pięciu z nich przypadał co najmniej jeden *djinn*, podżegający tłum do agresji, prężący w podnieceniu swój lśniący, szaro-czarny ogon. *Djinn*y, już to wiedział, umiały sprawić, że ich ogony pojawiały się i znikwały.

Katie, gdzie jesteś? Potrzebuję cię. Katie. Kelly. Maria. Sharon.

Był otumaniony. Rzuciło nim bezładnie, jak korkiem w wodzie i nie wiedział, co robi w tym oszalałym tłumie. Pamiętał, że poszedł do kościoła zaopatrzonego w benzynę, ale nie mógł sobie przypomnieć, co tam się wydarzyło. Pamiętał, że biegł do Bramy Damasceńskiej. Wiedział, że powinien się stąd wydostać i wrócić do mieszkania Sharon. Miał pewność, że Sharon mu pomoże.

Żołnierze usiłowali wypchnąć ludzi z *suku*. Nagle tłum poderwał się do biegu. Aby go uniknąć, Tom zanurkował w wąską uliczkę odchodzącą od głównej arterii.

Miejsce wydało mu się znajome. Jakby już tutaj był. Przeszedł go nagły dreszcz. Rozpoznał zapach balsamu, niewyraźną woń perfum, mieszaninę piżma i jaśminu. To tutaj spotkał Marię Magdalenę pierwszego dnia w Jerozolimie. To było miejsce, które znalazł na poplamionej mapie. Wyczuł za sobą jej obecność, czekała, aby się odwrócił. Bał się, że jeśli to zrobi, nie zobaczy pięknej, młodej, pełnej erotyzmu Marii, ale starą, pomarszczoną, trędowatą kobietę z twarzą pozbawioną życia, jak Morze Martwe.

Odwrócił się, ale nikogo tam nie było. Nie było ani kobiety, ani *djinn*a, niczego. Zniknęła. Jakimś cudem wiedział, że wraz z Katie,

zniknęła na zawsze.

Obok niego pojawiło się nagle dwóch młodych Arabów z twarzami ukrytymi za arafatkami. Na jego widok stanęli jak wryci, z oczami rozszerzonymi zdenerwowaniem. Szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i wspięli się na mur zamykający alejkę. Pierwszy z nich przerzucił nad nim nogi i zeskokczył na drugą stronę. Drugi poszedł w jego ślady, ale kiedy zsuwał się po szczycie muru, do stóp Toma spadło coś ciężkiego. Chłopak obejrzał się w rozterce. Cokolwiek to było, zdecydował się to zostawić.

Tom spojrzął pod nogi. Leżał tam lekki karabin z krótką lufą. Podniósł go.

Ahmed i Tobie szli za Sharon prowadzącą ich z dala od żołnierzy i tłumu nadal kłębiącego się w bramie, po ulicach rozbrzmiewających krzykami podniecenia, pełnych niezorganizowanych młodych ludzi wciąż szukających celu, na którym mogliby wyładować swój gniew. Większa część tłumu została przeprowadzona przez *suk* i spychana w dół ulicy. Krzyki były coraz bliżej.

Tom znów zniknął. Ahmed pomyślał, że te bezładne poszukiwania nie mają sensu. Puścił rękę Tobie, która była zdecydowana zostać z Sharon. Niechętnie podążał za nimi. Chciał się stąd wydostać, chciał iść do domu. Wszędzie dookoła wyczuwał niebezpieczeństwo. Niegdyś często był świadkiem podobnych wydarzeń, albo nawet w nich uczestniczył. Rozwinął w sobie instynkt ostrzegający go, że zanoszą się na coś złego. Wiedział, że *djinny*

potrafią sprowokować tłum, aby zaczął domagać się ofiar. I wiedział jak *djinny* kochają noc.

Ruszył szybko za Sharon i Tobie, które wyprzedziły go o jakieś dwadzieścia jardów. Potem zobaczył dwóch zamaskowanych młodych ludzi biegnących od strony *suku* i znikających w wąskiej, bocznej uliczce. Popatrzył za nimi i zdumiał się. Tam był Tom! Stał w zaułku, opierał się plecami o ścianę. Wyglądał na zdezorientowanego i przestraszonego. Młodzi ludzie zignorowali go i pośpiesznie przeskoczyli mur. Jeden z nich coś upuścił. Krzyki i zamieszanie spowodowały, że Ahmed odwrócił się. Od tłumy na *suku* oderwało się dwóch izraelskich żołnierzy, którzy ruszyli za uciekinierami. Spojrzał na Toma i zobaczył, jak podnosi z ziemi karabin.

- Nie, Tom! Nie!

Pognał do niego i wyrwał mu karabin.

- Zostaw to, ty durniu!

Zamachnął się, chcąc przerzucić broń przez mur.

Nie zdążył. Jeden z żołnierzy wyszczekał jakiś rozkaz. W ślad za nim nadleciała kula. Pocisk uderzył Ahmeda w brzuch. Dwie kolejne serie wystrzelone przez żołnierza trafiły go w pierś i w gardło. Ciało Ahmeda uderzyło o mur na tyłach uliczki.

Ostrzegawczy krzyk Ahmeda ściągnął Sharon i Tobie do wylotu alejki. Tobie wrzeszczała coś po hebrajsku do jednego z żołnierzy, okładając go pięściami. Sharon odepchnęła kogoś stojącego jej na drodze i podbiegła do zmasakrowanego ciała Ahmeda. Jego ubranie było czarne od krwi. Uniosła mu głowę. Nie żył już, ale była zbyt

zszokowana, aby to dostrzec. Głowa bezwładnie opadła mu w tył, z kącika ust wypływała krew i ślina. Sharon pocałowała go w zakrwawione wargi. Położyła jego głowę na swoich kolanach. Patrzyła na Toma, czekała na pomoc, albo choćby na słowo wyjaśnienia.

Tom, oparty o mur, patrzył oniemiały z przerażenia. Przeniósł wzrok z pytających oczu Sharon na zakrwawione usta Ahmeda. Osłupiały patrzył, jak z ust Ahmeda wypęła duża pszczoła, jakby narodziła się ze strużki krwi. Przez chwilę siedziała na jego ustach, potem zawirowała spiralnie w powietrzu, wznosząc się z trudem w nocne niebo nad Jerozolimą.

Tom patrzył, jak odlatuje.

Niebo nad Jerozolimą oślepiało lazurowym błękitem, Ian Redhead, agent kościoła anglikańskiego, zdjął okulary słoneczne i wstał na widok Toma zbliżającego się do stolika. Nerwowo, zbyt wcześnie wyciągnął rękę i musiał długo trzymać ją w powietrzu, zanim Tom podszedł na tyle blisko, aby ją uścisnąć. Tom usiadł, a Redhead wezwał kelnera.

Odpowiedział na telefon Toma i umówili się na spotkanie w Cafe Akrai przy deptaku Nowego Miasta. Tom zamówił kawę.

- Cieszę się, że skontaktował się pan ze mną - powiedział Redhead zakładając okulary. Miał na sobie ciemny garnitur i wyglądał, jakby było mu gorąco. Włożył dwa palce za biały kołnierzyk i pochylił się nieco.

- Wiedział pan, że kiedyś był to lokal dla gejów?

- Tak? - niewinnie odparł Tom. - Coś takiego!

Spotkanie było wynikiem sugestii Sharon. Powiedziała, że jeśli Tom ma zamiar dać wszystko anglikanom, to powinno się to odbyć w Cafe Akrai. Od śmierci Ahmeda minęły dwa tygodnie. Bardzo się starała odbudować swoje poczucie humoru.

- Dziś po południu wyjeżdżam z Jerozolimy - powiedział Tom. - Jednak przedtem chciałem dać panu to.

Położył na stole dużą kopertę z czerpanego papieru.

- Niech się pan za bardzo nie ekscytuje. To tylko kopia. Nic za to nie chcę.

Redhead popatrzył na kopertę, ale jej nie dotknął.

- Zwój Marii Magdaleny? Co się stało z oryginałem?

- Jest jak klucz do Świętego Grobowca. To muzułmanie powinni go mieć. Jeśli chodzi o ten zwój, nie ufam ani chrześcijanom, ani Żydom, z tego samego powodu. Dałem go więc arabskiemu uczonemu. Przyjacielowi człowieka, który nad nim pracował.

- Czy to prawda, że go zastrzelono?

- Tak - kelner przyniósł kawę. - Naukowiec, który teraz zajmuje się zwojem, obiecał go opublikować. Uznałem, że dam panu kopię. Przekazałem kopię także Muzeum Hebrajskiemu. Jestem pewien, że każdy zinterpretuje zwój inaczej.

- Pewnie powinienem być wdzięczny. Jakkolwiek wolelibyśmy oryginał.

- Nie mogę wam zaufać w kwestiach historycznych.

Redhead z namysłem popatrzył na Toma zza ciemnych okularów. Słońce odbijało się od czarnych szkieł.

- Proszę nas tak ostro nie oceniać. To miasto ma swoisty wpływ na ludzi. Czasami czytam świętą księgę, a kiedy wracam do niej następnego dnia, mógłbym przysiąc, że ktoś pozmieniał słowa. W tym mieście jest coś nieuchwytnego.

- Rozumiem, o czym pan mówi.

Redhead sięgnął do portfela, wyjął z niego banknot i przycisnął spodeczkiem. Potem wstał i znów wyciągnął rękę.

- Muszę iść. W każdym razie dziękuję panu za kopię.
Bezpiecznej podróży.

- Dzięki.

- Byłbym zapomniał. Mam tu coś dla pana.

Redhead wyciągnął spod stołu swoją skórzaną teczkę, otworzył ją, coś z niej wyjął i podał Tomowi. Był to duży obrazek ze złoconymi, karbowanymi brzegami, taki, jakie dostają dzieci w szkółce niedzielnej. Przedstawiał makabryczne, ludzkie szkielety wyłaniające się spod ziemi i wychodzące z trumien, zastygłe w pozach ekstatycznego tańca.

- O! - powiedział Tom. - Dzień Zmartwychwstania. Coś takiego!
Teraz mam cały zestaw.

Redhead uśmiechnął się, wziął teczkę i odwrócił się w stronę Starego Miasta. Tom patrzył, jak odchodzi: spocony człowiek w nieodpowiednim, czarnym angielskim garniturze pod piekącym słońcem Środkowego Wschodu.

Wrzucił obrazek do filiżanki z fusami po kawie.

Wyszedł z kawiarni i powoli poszedł na Stare Miasto. Sharon miała się z nim spotkać za murami i zawieźć go na lotnisko. Po strzelaninie na *suku* Tomowi zaczął wracać rozsądek. Przestał widzieć djinny i demony. Nadal jednak raz dziennie spotykał się z Tobie w centrum rehabilitacji, ponieważ znów czuł się winny czyjejś śmierci. Ani Sharon, ani Tobie go nie winiły. Obie wiedziały, jak ciężki dźwiga krzyż, starały się więc mu ulżyć.

Jednak chciał wrócić do domu, do Anglii. Poprosił Sharon, aby pojechała z nim. Poprosił ją nawet, aby za niego wyszła. Była jednak zbyt mądra i odmówiła w obu przypadkach.

- Nie potrafiłeś kochać Katie. Nie chcę, żebyś znów przez to przechodził.

Przynajmniej obiecała, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem odwiedzi go w Anglii.

Szedł w dół wzgórza Shekhem, z którego po raz pierwszy, przez okno taksówki, zobaczył Jerozolimę. Na końcu ulicy widział samochód Sharon. Oparta o maskę czekała na niego. Zobaczyła go na szczycie wzgórza i pomachała. Zanim do niej podszedł, zatrzymał się, chciał po raz ostatni spojrzeć na Stare Miasto.

Owładnęło nim jego nieopisane piękno. Jerozolima, miasto *djinnów*, snów na jawie, ducha i materii, prawdy i kłamstwa, otchłani i niebytu, rzeczywistości i ułudy, miejsce winy i odkupienia, obietnica pokoju, *axis mundi*²⁷. Miasto jak ludzkie serce, pełne nieskończonej miłości, która pewnego dnia może okazać się zbawieniem.

Złota Kopuła lśniła pośród białych budynków. W nozdrzach miał ostry zapach gorącego kurzu i przez chwilę czuł lęk na myśl o tym, co zostawiał za sobą. To nie było miasto; było to żywe stworzenie, stworzone z krwi i gliny, z kurzu i marzeń.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk naciśniętego przez Sharon klaksonu. Ostatni raz spojrział na Wzgórze Oliwne i niebo nad miastem. Potem zszedł do Sharon.

²⁷ Axis mundi (łac.): oś świata.